

# PRZEGLĄD

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

# NOWOTOMYSKI

---



NR 4(16) PAŹDZIERNIK - GRUDZIEŃ 2010



---

# PRZEGLĄD NOWOTOMYSKI

---

KWARTALNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

pod patronatem

NOWOTOMYSKIEGO

TOWARZYSTWA KULTURALNEGO

---

Nr 4(16)2010

Cena 8 zł

---

## WYDAWCA:

OFICyna WYDAWNICZA *Opalgraf*  
64-330 Opalenica, ul. Łąkowa 3  
tel./fax (061) 447 58 58  
e-mail: opalgraf@wp.pl

## RADA PROGRAMOWA:

Lucyna Kończal - Gnap  
Marzena Kortus  
Maria Tyszkowska  
Andrzej Wałęsa  
Tomasz Wlekły  
Ewa Wojtanowska

## REDAKCJA:

Lucyna Kończal - Gnap  
Sylwia Kupiec - sekretarz redakcji

## Adres redakcji:

ul. Witosza 8  
64-300 Nowy Tomyśl  
tel. (61) 44 21 270  
e-mail: info@bibliotekant.pl

## WSPÓŁPRACA:

Bogumił Wojcieszak

## Na okładce:

Z teki Edwarda Kupca...  
*Drugie życie metalu* - Atlas

Fot.: Sylwia Kupiec

## Spis treści

### Z PRZESZŁOŚCI

- Teresa Tomsia, *Cztery chryzantemy z Nowego Tomysła* ..... 3

### TU I TERAZ

- Grażyna Matuszak, *Jeżeli w człowieku drzemie potrzeba grania...* .  
*Kapela Kozłarska z Bukowca* ..... 30
- Lucyna Kończal-Gnap, Izabela Putz, *...my po prosu lubimy rozmawiać.*  
*November Tango - nowotomyskie CB radio* ..... 38

### NOWOTOMYŚLANIE ZNANI I MNIEJ ZNANI

- Sylwia Kupiec, *Kiedy przyleci ten słowik? Rozmowa z Ireną Jurkiewicz -  
Piekutowską* ..... 51

### WOKÓŁ NAS

- Kuba Czekala, *Kulturotwórcza funkcja nowotomyskich  
Ochotniczych Straży Pożarnych* ..... 84

### Z TEKI... Edwarda Kupca

- Sylwia Kupiec, *Nie tylko drewno* ..... 110

### Z DZIAŁALNOŚCI NTK

- Maria Tyszkowska, *VI Przegląd Dawnej Piosenki Żołnierskiej  
i Niepodległościowej „Idzie żołnierz borem, lasem...”* ..... 98

### KRONIKA WYDARZEŃ

- październik - grudzień 2010* ..... 103

- Autorzy PRZEGLĄDU NOWOTOMYSKIEGO ..... 141

# Z PRZESZŁOŚCI...

Teresa Tomsia

## Cztery Chryzantemy z Nowego Tomysła

Do wielkopolskiego miasteczka położonego nad rzeką Szarką przybyły z czterech stron świata z bagażem wojennych wspomnień, o których chciałyby zapomnieć. Jednak być sobą, to nie znaczy porzucać, co bolesne czy niechciane. Czy jest możliwe wyparcie się swojego dzieciństwa, choćby było trudne do zniesienia? Pamięć przebytej drogi wciąż powraca i nie pozwala wyrzec się własnego życiorysu. Cztery kobiety – dojrzałe i nostalgiczne jak jesienne chryzantemy: Stefania Chorążyczewska (z domu Mazurkiewicz), Longina Eckert (z domu Wyspiańska), Joanna Natkiewicz (z domu Idczak) i Irena Tomiak - Wesoła (z domu Bartkowiak) spotykają się w Nowym Tomysłu na zebraniu Koła Związku Sybiraków – utworzonego tutaj w 1989 roku jako część poznańskiego oddziału ZS. Pogłębiają więzy przyjaźni, wymieniają się doświadczeniami, próbują zrozumieć swój los. Połączyła je podobna przeszłość – za wcześnie musiały dorosnąć, by przetrwać głód, choroby i przymusową pracę ponad siły, gdy zostały deportowane za Ural wiosną 1940 roku. Po powrocie każda z nich swoją dojrzałością, odpowiedzialnością i ofiarnością służyła przez wiele lat rodzinie i przyjaciołom w najbliższym środowisku, za co zyskały szacunek i dobre imię. Nigdy się nie poddały, mimo wielu przeszkód. Dziś radują się osiągnięciami dzieci i wnuków, swoją niezależnością emerytek i obywaterek miasta, w którym znalazły godne miejsce. Każda z tych kobiet może powiedzieć, że wszystko, co posiada, zawdzięcza sobie i swojej pracy, że nigdy żadna z nich nie była na niczyjej łasce.

\*\*\*

Nasze pierwsze spotkanie – połowa września 2010 roku. Spacerujemy uliczkami Nowego Tomysła. Irena, Joanna i Longina pokazują zadbane park, miejską bibliotekę, nowe osiedla i sklepy, a później siadają obok siebie blisko jedna przy drugiej na kanapie w pokoju Stefanii, opowiadają o swoich losach,



ciesząc się wspólną obecnością i możliwością wciąż samodzielnego chodzenia. *Ósmy krzyżyk nosimy na plecach i jeszcze drepczemy na własnych nogach, to już coś* - Stefania żartuje, częstując nas domowym sernikiem. Cztery Chryzantemy wychylają się ku światłu w uchylonym oknie bloku na osiedlu Batorego, w pobliżu sklepu *Chata Polska*. Powiew ciepłego wiatru delikatnie owiewa twarze kobiet. Śmiech. Rozmowa. W pół urwane zdania. Niedopowiedzenia. Westchnienie puentujące ciszę.

Niewielu pozostało wśród nas świadków historii takich jak Stefania, Longina, Joanna i Irena. Dawniej mówiono patetycznie: żywe pomniki polskich dróg. Dziś opowiadamy o kobietach z życiorysem wypisanym na ich skórze syberyjskim mrozem i batem radzieckiego dozorca, ale też powojenną biedą na zrujnowanej niemiecką pożogą wielkopolskiej ziemi, niepewnością losu i ciągłym zmaganiem o tożsamość. Każdą z opowieści przenika nostalgia, bo są to historie wygnanych rodzin, dla których Kresy Wschodnie były pierwszą, najdroższą, utraconą ojczyzną, zanim w Wielkopolsce znalazły swój nowy dom.

*Trzeba dopytywać się o wspomnienia, by zapęłnić białe plamy wspólnej narodowej historii konkretnym imieniem i nazwiskiem, odzyskanym adresem, pod którym bije czułe, kochające prawdę serce, bo nam jest trudno opowiadać o latach upokorzenia.* Longina mówi te słowa cicho, z pochyleniem głowy, z zadziwieniem nad swoimi dziejami, że aż tyle potrafiła unieść. Irena na początku spotkania nie jest w stanie wspominać, słowa nie chcą przejść przez gardło. Rozpoczyna zdanie i milknie, powtarza je i znów zatrzymuje się z niepewnością, czy naprawdę ktoś chce słuchać jej zwierzeń wrywanych z głębi osamotnienia, z ciemnych zakamarków zranionej młodzieńczej duszy. Joanna wspiera ją przyjaznym uśmiechem: *Mów, Irenko, mów, będzie ci lżej. Mało kto chce dziś słuchać o sybirackich losach dzieci wywiezionych z Polski, więc jest szansa, żeby nasze imiona nie popadły w zapomnienie.* Na odwagę zdobywa się Stefania i pierwsza snuje swoją opowieść. Najpierw długo zbiera w sobie siły, nasłuchując głosów z oddali lat, żeby przekazać możliwie najwięcej z tego, co zapamiętała. Czasu przecież zostało niewiele i może nie starczyć tchu, by wypowiedzieć to wszystko, co wydaje się najważniejsze.

## Stefania Mazurkiewicz z Rolikówki

*Rolikówka to moja rodzinna wieś w powiecie Sokal na ziemi lwowskiej. Za nią tęsknię całe życie i nie jestem w stanie pogodzić się z utratą domu rodziców i gospodarstwa. Stefania rozpoczyna wspomnianie rzewną dumką, jaką ułożyła o swoim bolesnym dzieciństwie: Rolikówka moja ukochana! Tam szczęśliwa byłam w domu rodziców każdego rana, o świcie siadałam na progu, lepiałam garnki, malowałam i kwiaty w nich układałam. Tak okrutnie nas z domu w ciemną noc zabrali – jakby skórę ze mnie zdzierali. O lwowska ziemi, Polsko moja ukochana, w sercu zachowana rana zbolata... Tam pierwsze kroki stawiałam i polskiej mowy się nauczyłam. Ukraińskiej mowy nie odrzuciłam, pamiętam, że na lwowskiej ziemi tak bywało, że po polsku i po ukraińsku wieczorami się wspólnie śpiewało. Brzmią mi te dawne pieśni w uszach i do oczu ciśnie się łza...*



Pierwsze spotkanie z bohaterkami opowieści *Cztery Chryzantemy z Nowego Tomysła*;  
(od lewej): Joanna Natkiewicz, Irena Tomiak -Wesoła, Stefania Chorążyczewska,  
Eugeniusz Tomsia, Longina Eckert, Teresa Tomsia; 2010 r.



W bibliotece publicznej – podczas prezentacji archiwalnych fotografii (siedzą od lewej):  
Longina Eckert, Stefania Chorążyczewska, Irena Tomiak-Wesoła, Joanna Natkiewicz  
oraz dyrektor MiPBP Lucyna Kończal-Gnap i autorka Teresa Tomsia; Nowy Tomysł 2011 r.

Żaloszny ton przenika całą historię dziewczynki, która wykazała się determinacją i odwagą, by ratować matkę i chorych starszych braci od głodowej śmierci, a swoim poświęceniem sprawiła, że wszyscy przetrwali. Do dziś żal tkwi w jej ocenach współczesnego świata, w którym dostrzega niesprawiedliwość wobec tych, co z narażeniem życia trwali przy polskości – jak jej matka Maria Mazurkiewicz, uwięziona w Kazachstanie przez NKWD za odmowę podpisania obywatelstwa radzieckiego. Dziesięcioletnia wówczas Stefcia przeszła pieszo w mróz wiele kilometrów, żeby odnaleźć i ratować aresztowaną mamę. Gdy uwolniona już w tym czasie matka właśnie wyruszała w powrotną drogę, ujrzała nadchodzącą córkę i ze wzruszenia upadła przed nią na kolana jak przed świętym obrazem.

Stefania wstaje od stołu, pokazuje nam swoje obolałe nogi – poczerwiałe i nabrzmięte od popękanych żyłaków, z widocznymi przeszczepami skóry – święte polskie nogi warte najtrwalszego pomnika, uratowane do chodzenia dzięki rocznej troskliwej opiece lekarzy w poznańskim (województkim) szpitalu przy Lutyckiej. W całej krzepkiej wciąż postaci Stefanii widać przebytą ciężką fizyczną pracę na roli i trud zmagania o przetrwanie.

*Jak się nie rozkleję, to opowiem dalej...* Stefania przerywa swój życiorys głębokim westchnieniem. Trudno jej mówić głośno o tym, co przez wiele lat starała się w sobie wyciszyć, ułagodzić. Urodziła się 22 lipca 1934 roku we wsi Rolikówka na ziemi lwowskiej, gdzie jej ojciec Jan Mazurkiewicz, legionista piłsudczyk, jako osadnik prowadził gospodarstwo rolne.

*Mamę miałam bardzo dobrą, opiekuńczą, pracowitą. Gdy funkcjonariusze NKWD załomotali do naszego domu o północy 13 kwietnia 1940 roku, nie było czasu, by się pakować. Krzyczeli, poganiali. Ojca już wcześniej aresztowali i uwięzili we Lwowie. O jego dalszych losach dowiedzieliśmy się po wojnie. Mama chwyciła, co było pod ręką: dwa kilimy, koc, garnek, trochę jedzenia; chciała spakować rodzinne albumy, dokumenty czy pamiątki, ale zabronili. Deportowali nas w stępy południowego Kazachstanu. Tak jak tysiące polskich rodzin jechaliśmy w bydłowym wagonie na niepewny los: ja – sześciolatka, dziewięcioletni brat Kazik, dwunastoletni brat Mietek i nasza mama, trzydziestoletnia Maria Mazurkiewicz z Rolikówki. Z początku przewozili naszą rodzinę z miejsca na miejsce, aż zostawili nas z mamą daleko poza kotchozem Dynisówka, w stepie, w ziemiance bez żadnych warunków do egzystowania. Ciężki, bolesny los. Pierwszy zachorował starszy brat, wkrótce młodszy – na tyfus, później ja się rozchorowałam. Kozak, sąsiad, pomagał nam, jak mógł. Mama chodziła na dwie zmiany do pracy za pół kilograma zboża. Mało było jedzenia i brak witamin, więc nie sposób było wyzdrowieć. Gdy nadeszły roztopy, ziemianka tonęła w lodowatej wodzie. Od tamtej pory mam przeziębioną krew, czterdzieści lat męczę się z otwierającymi się żyłakami. Po chorobie przez wiele tygodni jak szkielety stanieliśmy się na nogach. Kozak i jego żona przynosili nam rzadką papkę z ziemniaków, żebyśmy mogli się wzmocnić.*

*Jakoś stanęliśmy na nogi o własnych siłach i mama miała trochę ulgi. A tu ja znów choruję, tym razem na malarię, po mnie brat i w końcu mama – na czarną*



malarię, zakaźną, najcięższą odmianę tej choroby. Lekarz zabrał mamę do szpitala, gdyż była w beznadziejnym stanie, myśleliśmy, że umiera, bo całą skórę miała zsiniałą. Chodziliśmy z bratem kilkanaście kilometrów pieszo pod okno izolatki, żeby ją zobaczyć. Leczenie polegało na odizolowaniu chorego, czasem podawano chininę. W końcu siłą woli mama wyzdrowiała po wielu tygodniach. Wszyscy Polacy trwali tam na granicy życia i śmierci. Gdy mama wróciła ze szpitala, brat Mietek dostał zapalenia płuc. Leżał bez oznak życia i wydawało się już, że go stracimy, ale się nie poddał. Tymczasem ja znów zachorowałam na malarię, bo jest to choroba, która tak łatwo nie odpuszcza i przez kilka lat nawraca, zwłaszcza gdy są niesprzyjające warunki życia. Tak mną trzęsły dreszcze, że brat musiał przytrzymywać moje chude ciało, żebym nie spadła z wysokiej pryczy. Straciłam czucie i widzenie. Leżąc w dreszczach na twardej, wilgotnej pryczy, w ciemnościach, czułam się tak strasznie, jakbym była w piekle.

Sąsiadka Kozaczka poradziła mamie, żeby przykrywała mnie swoim ciałem i ogrzewała – tak też mama czyniła i cudem przetrwałam tę kolejną chorobę. Pewnego dnia przed zmrokiem, gdy zwykle nadchodził atak malarii, przyjechał sąsiad Kozak dwukotowym niewielkim wozem. Razem z żoną wsadzili mnie na wózek i... wyleczyli wstrząsem, strachem, starając się, bym spadła z wózka na ziemię w czasie szybkiej jazdy. Spadłam. Wprawdzie musiałam leczyć rozbitą głowę, ale malaria już nie wróciła. Za wszelką ofiarowaną nam pomoc mama obdarowała ich ostatnią pamiątką zachowaną z Polski – świętecznym kilimem.

Sytuacja naszej rodziny była jednak wciąż tragiczna. Mama poszła więc do przewodniczącego kotchozu z prośbą o przydzielenie pracy bliżej ziemianki, by mogła opiekować się chorymi dziećmi. Otrzymała wprawdzie zajęcie w ogrodach, ale po drugiej stronie rwącej rzeki Toboń, którą musiała co dnia pokonywać sama w łódce o świcie i wieczorem. Skąd brała na to siły, nie wiem, chyba tylko nadzieja, że kiedyś się stamtąd wydostaniemy i powrócimy do ojczyzny, pozwalała przeżyć z dnia na dzień. Trochę owoców, jakie przywoziła, pomogło nam odzyskiwać zdrowie. Lecz to nie trwało długo, gdyż warunki życia nadal były beznadziejne. Znów zachorowałam, tym razem na szkarlatynę, nie mogłam oddychać, dusiłam się. Kozak, życzliwy nad wyraz sąsiad, pojechał po lekarza. Ten nakazał ugotować gęsty syrop z buraków cukrowych. Sąsiadka kropelkami wpuszczała przez cały dzień lekarstwo do mojego obolałego, spuchniętego gardła, a mama w nocy przy mnie czuwała.

Wytrwałam. Chodziłam w pole zbierać łądygi wyschłych krzewów i traw na opał. Kończył się rok 1944. Dostaliśmy dla swoich potrzeb kawatek pola, by posadzić kartofle. W polu zauważyłam świstaki i postanowiłam je upolować. Nosiłam wodę do nory, wyganiałam je, a brat zabijał. Było to dla nas trudne doświadczenie walki o byt, gdy własnymi rękami zabijaliśmy te miłe zwierzęta. Trzy świstaki przynieśliśmy z tego polowania mamie, żeby ugotować na kolację. „Stalin rządzi Sowieckim Sojuzem, a my sami sobą, trzeba sobie radzić” – mawiali tamtejsi Kozacy. Pokazali nam ziola, jakimi trzeba przyprawić mięso. Tak przeżyliśmy kolejny rok. Pewnego dnia na przednówku dowiedziałam się, że kilka kilometrów dalej w polu leżą zdechłe z głodu krowa i koń. Poszłam zobaczyć, czy da się powycinać części mięsa

i przydźwigałam do ziemianki, co udało mi się odciąć nożem; wracałam cała w czarnej krwi, zmęczona do nieprzytomności. Ugotowałam mięso, zanim mama wieczorem wróciła z robót za rzeką. Mama stanęła w progu ze zdziwienia, że tu pachnie ugotowaną strawą. Dziś nie ma takiego zapachu, który by nas zachwycał, bo nie byliśmy nigdy w Polsce powojennej tak głodni jak na Sybirze, chociaż też bywały ciężkie lata. Od sąsiadów na stepie dostaliśmy trochę ziarna i soli, zdobytej przez nich przy pielęgnacji kołchozowych krów (cielaki miały przydział soli do lizania), więc uczta była wyjątkowa jak na tamte warunki.

Brat Kazik chodził na ryby. Jesień 1945 roku była już dla nas łaskawsza. Prałam rzeczy, bielłam ziemiankę, krzotałam się, przy czym mogłam. Gdy sprzątałam podwórze przy zarządzie kołchozu, usłyszałam, że Polacy mają prawo wracać. Serce zaczęło mocniej bić. Wkrótce dotarła do nas jedyna w tamtych latach paczka ze składek rodzin legionistów z Rolikówki, którym tam udało się pozostać, a dowiedzieli się o losie deportowanych – kawa w kostkach, mąka, cukier, to były wtedy niezwykle rarytasy.

Mama, jadąc z nami z powrotem z kołchozu Dynisówka ze Związku Radzieckiego (dwanaście kilkusobowych rodzin umieszczano w jednym towarowym wagonie), snuła plany powrotu do domu. W Brześciu jednak, gdy wreszcie dotarliśmy do polskiej granicy, denerwowała się bardzo i wahała, gdy pytano, kto chce jechać do Polski, a kto zostaje na lwowskiej ziemi na ojcowiznie. Nasz rodzinny dom w Rolikówce, niedaleko powiatowego miasta Sokal, być może jeszcze stał cały, było to blisko polskiej granicy, niespełna dwadzieścia kilometrów. Wprawieni w chodzeniu po stepie, potrafilibyśmy tam dojść pieszo. Dziś to ukraińskie miasto, żyjące własnym rytmem, niewielu Polaków przyjeżdża w te strony, by szukać swoich dawnych domów czy grobów przodków. Wtedy, w wagonie, zaczęłam płakać i błagać mamę, żeby jechać do Polski, a do mojej prośby przyłączyli się bracia. Trafiliśmy do Poznania. Państwowy Urząd Repatriacyjny rozdzielał powracających z deportacji niedobitków ku Zielonej Górze, przejechalśmy więc kawał drogi, szukając miejsca dla siebie, gdzie moglibyśmy osiąść. Lecz miejsc wolnych było mało, znów skierowano nas do Szczecina i z powrotem przez Gryfice, Stargard, Łobez, a mama nie wysiadła, bo wszędzie miejsca wydawały się jej obce. W końcu kolejarze wystawili naszą rodzinę na poboczu poznańskiego dworca. Był koniec czerwca 1946 roku, ostatnie transporty szły z deportowanymi do ojczyzny. Nie wiadomo było, dokąd pójść, jak rozpocząć nowe życie w Polsce Ludowej. Na stacji kolejowej w Poznaniu zauważył nas gospodarz ze wsi Chmielinko koło Nowego Tomysła, który szukał pracowników do służby na roli. Mama zgodziła się przyjmując pracę u niego, bo cóż miała robić – żyliśmy więc znów jako wyrobnicy u obcego dwa lata, aż się odnalazł nasz ojciec.

Gdy rodzina Mazurkiewiczów rozpoczęła nową harówkę na roli, Stefcia miała dwanaście lat, Kazik piętnaście, a najstarszy brat Mietek właśnie ukończył osiemnaście. Sybiracy powracający z katorgi rok po zakończeniu wojny zostawieni zostali sami sobie, uznano ich nie tylko za drugą, lecz wręcz za trzecią kategorię obywateli ludowej ojczyzny, która podobno miała się nimi – ludźmi pracy – opiekować. Maria Mazurkiewicz pozostała wkrótce na roli w miejsce gospodarza, który postanowił opuścić wieś.

Stefania Mazurkiewicz (od lewej) z koleżanką i kolegą w hufcu pracy Służba Polsce; Przywodzie w powiecie pyrzyckim; 1950 r.



Z legitymacyjnej fotografii Stefania patrzy nad wyraz dojrzałe, ale wciąż z nadzieją na lepszy los... ;1950 r.





Stefania z mężem Józefem Chorążyczewskim i rodziną w dniu ślubu;  
Chmielinko 1955 r.



Stefania Chorążyczewska z domu Mazurkiewicz przed swoim domem z córkami, zięciami  
i wnukami; Chmielinko 1995 r.



Dorastająca Stefcia w tym czasie wyruszyła z bratem na poszukiwanie ojca. Jan Mazurkiewicz, jak się później dowiedzieli, przedostał się na Rzeszowszczyznę i osiadł we wsi Różniatów. Nie miał żadnych wiadomości o losach rodziny, tam odnalazły go prawie już dorosłe dzieci wiosną 1948 roku.

Stefania wspomina, że podczas tego pierwszego po wojnie spotkania nadzieja i nieutulony żal z powodu przebytych cierpień łączyły się z radością powrotu, połączenia rodziny, ale też z lękiem o dalszy los ojca.

Postanowili wrócić do Wielkopolski, by cała rodzina mogła być razem i przyjechali wraz z ojcem do wsi Chmielinko. Nastąpiły żmudne miesiące wspólnego urządzania się w nowym miejscu. Prowadzili rodzinne gospodarstwo rolne przez długie lata. Rodzicom Stefanii urodziły się późne powojenne córki. Stefcia, zamiast się dalej kształcić, pomagała je wychowywać. Musiała poprzestać na ukończeniu Rolniczej Szkoły Zawodowej, gdyż jej matka ciężko chorowała na reumatyzm, a co dnia trzeba było rąk do pracy w polu i w oborach. Zanim Stefania wyszła za mąż i także osiadła na gospodarstwie, wybrała się jako osiemnastoletnia ochotniczka na Pomorze i zaciągnęła się do hufca pracy *Śłużba Polsce*, w Przywodziu w powiecie pyrzyckim. Z legitymacyjnej fotografii z 1950 roku patrzy nad wyraz dojrzała, ale wciąż z nadzieją na lepszy los. Pracuje w owym czasie od świtu do nocy w kuchni zakładowej, następnie przez kilka lat podobnie ciężko poza domem. W końcu wraca w pobliże rodziców i zakłada własną rodzinę. Na zdjęciach z rodzinnego archiwum widzimy Stefanię na tle domu rodziców w Chmielinku, z mężem Józefem w dniu ślubu, wiosną 1955 roku. Czterdzieści lat później stoi przed swoim domem z córkami, zięciami i wnukami.

Matka wspierała Stefanię w miarę możliwości, wychowując dwoje wnuków, zanim poszły do szkoły. Poczucie macierzyństwa przekazywane jest w rodzinie Mazurkiewiczów z pokolenia na pokolenie, dzieje się to naturalnie. Najstarsza córka pomagała Stefanii wychowywać najmłodszą, podobnie jak ona kiedyś pielęgnowała swoje młodsze siostry, z którymi do dziś ma dobry kontakt.

*Na gospodarstwie wiodło nam się dobrze, pieniędzy mieliśmy wystarczająco i w banku, i w stoiku, wybudowaliśmy świniaarnię i oborę, ładny dom. Mieszkaliśmy w tym domu w trzy rodziny przez wiele lat. Byliśmy właścicielami trzynastu hektarów ziemi. Polskie rodziny nie poddają się, potrafią wzajemnie wspierać się w trudnych chwilach. Gdy nadszedł czas emerytury, sprzedałam dom, podzieliłam pieniądze między dzieci, by mogły rozpocząć swoje dorosłe życie według własnych planów. Po śmierci męża zamieszkałam w pokoiku wynajętym w Nowym Tomyslu wraz z wnuczką, która ostatnio rozpoczęła studia w Poznaniu, więc teraz gospodaruję tu sama.*

Stefania kończy swoją opowieść pogodnie, bo jest dumna ze swoich dokonań. Ma zamiar nadal być aktywna. Układa na brudno list do prezydenta Bronisława Komorowskiego z zapytaniem o opiekę państwa polskiego nad Sybirakami. Ostatnio nie może wychodzić z domu, bo mocno bołą ją nogi, ale ma zamiar prosić koleżanki o pomoc w zebraniu podpisów pod listem. Pyta: *Jak to będzie teraz, nowy panie Prezydencie, z pamięcią o nas, którzy ratowaliśmy polskość, a dziś mało kto o tym wspomina, jakby historia Polski zaczęła się dopiero od poprzednich wyborów?* Irena, Joanna i Longina uśmiechają się z aprobatą i biją brawo: *Tak,*

*Stefciu, jesteśmy tu przecież jeszcze, trwamy i dopóki ktoś chce słuchać naszych opowieści o tym, jak powstawała współczesna Polska, będziemy opowiadać...*

Listopad. Słota. Ledwo widoczne uliczki nowotomyskiego osiedla w siąpiącym od rana deszczu. Trudno się razem spotkać, a jednak siedzimy znów wszyscy przy stole w pokoju Stefanii, smakujemy nowotomyską szarlotkę i marcińskie rogalie pieczone w Poznaniu. Eugeniusz, mój mąż, przysłuchuje się uważnie i współczująco naszej rozmowie, bo także urodził się w rodzinie przesiedleńców i pamięta trud przeprowadzek z miejsca na miejsce. Cztery Chryzantemy z Nowego Tomysła pochylają białe głowy w popołudniowym słońcu, które z lekka prześwitując przez chmury, rozjaśnia melancholijny nastrój wspomnień. Irena, Stefania, Joanna i Longina zamyślają się nad swoim losem. Skroń Stefanii pulsuje niebieską żyłką, połyskując niezwykłym blaskiem – mówiąc o przemijaniu, o niepowtarzalnym, gorzkim smaku istnienia.

### Longina Wyspiańska wraca do Polski

Rodzicami Longiny byli Pelagia z domu Michałowska i Antoni Wyspiański, pracownik w warsztatach polskich kolei w Brześciu nad Bugiem. Matka zmarła wcześniej, Lola miała wtedy półtora roku, a gdy ukończyła 8 lat, zmarł również jej ojciec. Z rodziny pozostali jeszcze starsza od niej o kilkanaście lat siostra Halina i dziesięcioletni brat Wiktor, którego umieszczono w sierocińcu dla chłopców. Był rok 1936, Lolę przyjęła pod opiekę dalsza rodzina, a w dwa lata później znaleziono dla niej miejsce w sierocińcu u sióstr zakonnych w Rakowie koło Mołodeczna. Tam dziewczynkę zastała wojna. Po wkroczeniu wojsk ZSRR na tereny polskie, 17 września 1939 roku, było wiadomo, że szczególnie Polacy mieszkający przy granicy narażeni są na wywózki na Sybir. Halina zabrała Lolę z sierocińca i zawiozła pod opiekę znajomych do Brześcia, co dla dziewczynki było trudnym przeżyciem, czuła się bowiem jak rzecz przenoszona z miejsca na miejsce. W lutym 1940 roku brat Witek postarał się, aby Lolę przyjęto do tego samego sierocińca w Brześciu, w którym on został obecnie umieszczony.

*Pamiętam, że Witek prowadził mnie wtedy za rękę przez most „przechodni” w kierunku dworca kolejowego i tam widzieliśmy, jak żołnierze radzieccy formują transport. Później dowiedziałam się, że to była pierwsza, lutowa wywózka ludności polskiej na Sybir. Ja wtedy miałam swoje dziecięce problemy i nie przeczuwałam, co mnie jeszcze gorszego czeka, gdyż mocno przeżywałam osierocenie. Uczyłam się pilnie i za dobre postępy w nauce zostałam przez wychowawców sierocińca wytypowana na pierwszy turnus kolonii nad jeziorem Narocz. Było to w maju 1941 roku. Z radością z nadchodzących wakacji zaczęłam pakować swoje skromne manatki. Tymczasem do sierocińca w Brześciu napływało coraz więcej dzieci z rodzin uwięzionych bądź deportowanych Polaków. Do dziś wspominam koleżanki z pierwszych tygodni wojny, z którymi połączył mnie niepewny los: Wandzię Pióro, Lilę Skulską, Renię i Danusię Borek z Berezki Kartuskiej. Umacniała się między nami siostrzana więź, to nas wspierało w niebezpiecznych chwilach. Wprost z kolonii wywieziono nas w bydłących wagonach za Ural. Pierwsza stacja, jaką pamiętam, to chyba była miejscowość Gorwal. Dziewięć*

dni jechaliśmy bez przerwy. Tragicznie kończył się dla nas czerwiec 1941 roku, wiedzieliśmy już też wtedy, że rozpoczęła się niemiecko-radziecka wojna.

Dawniej myślałam, że pobyt w sierocińcu to najgorsze, co mogło mnie spotkać. Prawdziwą szkołę przetrwania przeszłam dopiero wtedy, gdy władze radzieckie zdecydowały o wywiezieniu nas do Sarańska w Mordwińskiej Republice; tam przeszkolono polskie dzieci i młodzież na ślusarzy w rocznej szkole rzemieślniczej, a następnie skierowano do pracy w mieście Azbest koło Świerdłowska. Pracowaliśmy ciężko trzy lata w fabryce amunicji, również na nocne zmiany, zawsze po dwanaście godzin, również w niedziele; wytwarzaliśmy gilzy i inne opakowania do broni. Mieszkaliśmy w barakach w sąsiedztwie jeńców niemieckich, a byliśmy traktowani jeszcze gorzej niż oni. W nasze pomieszczenia wstawiono prycze bez żadnej pościeli, po trzydziści w każdym. Jako okrycie miałam jedyny koc, jaki przywiozłam z sobą z Polski. Za podłogę służyło klepisko, więc najróżniejsze robactwo mocno dokuczowało szczególnie nocą. Trudno nam było, nieprzywykłym do fizycznej pracy dziewczynom, wyrabiać narzucone przez Rosjan normy, zwłaszcza że brakowało jedzenia i szybko traciliśmy siły. Dziś przestępcy w Polsce mają takie wygody w więzieniu jak na wczasach – regularne jedzenie, spacer, resocjalizację, telewizory, a tam, w czasie wojny, młody człowiek dla nikogo się nie liczył, ot, dodatkowe ręce do roboty, a jak padniesz, nikt nie zauważy. Każda z nas musiała radzić sobie sama, by przeżyć i mogła liczyć tylko na własny spryt. Wspierałyśmy się duchowo wzajemnie, by zachować poczucie godności mimo upokarzających warunków pracy i życia. Z lat wspólnego wygnania do Świerdłowska pozostało mi cudem kilka zdjęć z koleżankami z sierocińca. Na jednym z nich siedzę z Felicją Baumgarten w lecie 1942 roku, na innym stoję z Walą Tartacką na początku września 1943 roku. To były wtedy najbliższe mi osoby, nie miałam żadnego kontaktu z rodzeństwem.

Pewnego razu, gdy po całym dniu pracy szłam do stołówki, napadli mnie chuligani i przebili nożem płuco. Trzy miesiące leżałam w szpitalu po krwotoku płucnym, ledwo doszłam do zdrowia. Moim największym marzeniem było powrócić do ojczyzny. Dobytku nie posiadałam, tylko ten wspomniany koc i wiersze Adama Mickiewicza w miniaturowym wydaniu. Uczyłam się ich na pamięć, to mi dodawało ducha, by przetrwać: „Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...”. Wspominałam pejzaż nad jeziorem ostatniego lata przed wojną, kwitnące w Polsce kwiaty, trawy i zioła, najczęściej w gorączkowej malignie powracały tamte obrazy i było mi lżej. Oprócz głodu dokuczwała co jakiś czas malaria, trzęsła całym ciałem. A na duszy było ciężko z tęsknoty. Nie wiedziałam, co się dzieje z siostrą i bratem. Nie ustawałam jednak w staraniach, aby dowiedzieć się o ich losie. W końcu udało mi się nawiązać korespondencję z bratem Wiktorem, który znalazł przytułek w klasztorze w Kobryniu, a wkrótce przedarł się na polskie tereny.

W ostatnich miesiącach wojny, wiosną 1945 roku, fabrykę przeniesiono do Charkowa i tam nadal z koleżankami przymusowo pracowałam dla Związku Radzieckiego nakwaterze przy ulicy Krasnopolskiej 5. Pieniądzy za pracę nie starczało nawet na łóżko, jedynie na skromną strawę. Nic nie mogło tam należeć prywatnie do pracującego człowieka. Gdy jedna z dziewczyn wzięta ze złomowiska fabrycznego stara zarządzać siatkę, by zrobić prycze do spania, NKWD skazało ją na rok więzienia za rzekomą kradzież, zamiast pomóc w poprawie warunków bytowania. Każdy żył



w strachu i niepewności. Gdy ukończyłam osiemnaście lat, zaczęłam intensywniej starać się o prawo powrotu do Polski. W końcu taką zgodę otrzymałam. Wróciłam ostatnim transportem z Charkowa 5 maja 1946 roku, który do Polski dotarł po dwóch tygodniach. Wsiadłam w Grodkowie koło Nysy, bo już wcześniej dowiedziałam się, że mój brat Wiktor Wyspiański, pod imieniem zakonnym ojciec Paweł, wstąpił do tamtejszej wspólnoty franciszkanów.

Zatrzymałam się w pobliskim klasztorze u sióstr Niemek, skąd wkrótce przygarnęła mnie do siebie nauczycielka Anna Andrzejewska. Niedawno wróciła z ojcem z deportacji do Kazachstanu i razem organizowali kursy wieczorowe dla młodzieży. Dzięki nim ukończyłam wieczorowe gimnazjum, jednocześnie pracując jako urzędniczka w Spółdzielni Spożywców „Społem”. Otrzymałam pokój służbowy, więc się skromnie zagospodarowałam i tak przeżyłam powojenny rok, cały czas poszukując przez Biuro Ewidencji Ludności kontaktu z siostrą Haliną. Wreszcie w marcu 1947 roku spotkałyśmy się. Jak się okazało, siostra tuż przed wojną wyszła za mąż i oboje młodzi zostali wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec. Wrócili mocno zabiedzeni. We wsi Stary Tomysł rozpoczęli kolejny etap zmagania o przetrwanie z kilkuletnią córeczką Krysia. Władze PRL-u przeznaczyły im do użytku zrujnowane gospodarstwo, z którego musieli się utrzymywać.

Moja starsza siostra Halina była dla mnie ikoną matki, której nie zdążyłam poznać, dlatego rzuciłam swoją pracę i przyjechałam pomagać siostrze i szwagrowi w pracach polowych, w zagrodzie i w opiece nad siostrzenicą. Szwagier, Eugeniusz Urbański, też Kresowianin, radził sobie, jak mógł, ale to były ciężkie czasy dla wszystkich. Po dwóch latach postanowiłam się usamodzielnąć, zrozumiałam bowiem, że muszę zdobyć zawód i wypracować sobie swoje niezależne miejsce. Przeniostałam się do Nowego Tomysła. W mieście było więcej możliwości. Otrzymałam pracę w księgowości Fabryki Narzędzi Chirurgicznych, tam też poznałam mojego przyszłego męża. Połączyła nas podobna przeszłość patriotyczna. Tadeusz Eckert, rocznik 1922, należał do oddziału Armii Krajowej w Wyszkowie. Pochodził z rodziny wypędzonej przez Niemców z Wielkopolski. Osierocony, wrócił po wojnie do miasta rodziców.

Dzięki temu, że ukrył swoją AK-owską przeszłość, przetrwał na stanowisku głównego księgowego. Był dobry w swoim fachu, więc nawet gdy unikał przyjęcia legitymacji PZPR, nie usunięto go z pracy. Zmarł w 1994 roku. Wychowaliśmy syna Tadeusza i córkę Małgorzatę, czworo wnuków, z ich osiągnięć jestem dumna. Mieszkam dziś w dwupokojowym mieszkaniu na osiedlu Batorego, wśród zieleni, niedaleko moich koleżanek Sybiraczek. Własny kąt daje mi poczucie niezależności i spokoju.

Czasem ktoś, kto nie przeżył zsyłki na Sybir, pyta nas o zdrowie, o samopoczucie. Myślę, że tego, co przeżyliśmy na zesłaniu, nie można rozpatrywać w kategoriach chorobowych, lecz na poziomie heroizmu codzienności. I też nie na poziomie jednorazowego wyczynu, ale ciągłego starania się o przetrwanie w poczuciu polskiej tożsamości i wartości, jakie przekazał nam rodzicielski dom. Wracam do Polski całe życie, odwiedzam groby rodziców w Brześciu, dziś coraz bardziej zaniedbane pomniki polskiej pamięci. Nigdy nie uda mi się wrócić w tak zagospodarowane miejsce, z jakiego zostałam wygnana. Portal kresy.pl podał niedawno wiadomość, że polski cmentarz katolicki założony w połowie XIX wieku we wschodniej części Brześcia, który był



miejszem pochówku urzędników, lekarzy, prawników, został w dużej części zdewastowany przez białoruskich chuliganów (połamano krzyże, poprzewracano nagrobki). Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalała kwatery żołnierzy polskich poległych w walkach wyzwoleniczych w latach 1918-1920.

Longina pochyła nisko głowę, nie jest w stanie mówić więcej. Jej kształtna postać do dziś zachowuje ślady subtelnej urody. Delikatnym głosem prosi, aby umówić się na następny raz, bo tego dnia nie czuje się dobrze. A jednak przyszła, mimo choroby, opowiedziała nam swój los, podzieliła się częścią swojej Polski. Ta częśćka ojczyzny w jej sercu, jaką przechowała i przywiozła z powrotem, służy nam wszystkim do dziś. Bez niej byłibyśmy o wiele ubożsi. Longina Wypiańska-Eckert wraca do Polski z darem pamięci i otwiera przed nami współczesnymi mało znaną kartę narodowej historii, która nosi jej imię.

Na stoliku Longiny leży nowa książka. Staraniem Starostwa Powiatowego oraz Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomysłu ukazała się znacząca dla tutejszego środowiska praca nowotomyskiego historyka dr. Zdzisława Kościańskiego *Nowotomyska lista katyńska. Historia i pamięć* (MiPBP, Nowy Tomyśl 2010). Opracowanie to zredagowane starannie przez Lucynę Kończal-Gnap i dr. Bogumiła Wojcieszaka, różnorodnie udokumentowane, przywraca obecność w historii Polski wszystkim synom tej części wielkopolskiej ziemi, którzy zginęli w Katyniu i Miednoje.

Autor pisze w przedmowie: *Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, ilu godnych naszego szacunku i pamięci ludzi żyło kiedyś na nowotomyskiej ziemi. Mijamy czasem groby, w których spoczywają, nieświadomi tego, co im zawdzięczamy. Są jednak także groby naszych krajan położone daleko stąd, często nieznanne i zapomniane.*

Pożyczam *Nowotomyską listę katyńską* i wiozę z sobą do Poznania. Wczytuję się w losy bohaterów z tej ziemi wspólnie z moją mamą Zofią, która wie, co to znaczy utracić dom i wolność, bo także przeżyła deportację z nowogródzkiego miasta Słonim i dorastała na obczyźnie, pracując pod przymusem w radzieckim kołchozie (ojciec matki, mój dziadek legionista - dowborczyk stracił życie w łagrze za Uralem). Wie, jak długo trzeba być wierną i wytrwałą, by godne miejsce pamięci w ojczyźnie otrzymali wszyscy ojcowie, którzy kiedyś do ostatniego tchu bronili granic Polski przed wrogami, a o których kazano ich dzieciom zapomnieć. Gdy odwiedzamy groby naszych przodków - realnie i symbolicznie - żadne słowa pamięci nie wydają się zbyt wzniosłe. Historia przywraca nasze poczucie tożsamości i wskazuje każdemu z nas w społeczeństwie takie miejsce, na jakie sobie swoją postawą zasłużył.

Gdy Longina podsumowuje swoje życie, podkreśla przede wszystkim to, jak wielkie znaczenie ma dla niej rodzina i jaką radość sprawiało jej wychowywanie - wspólnie z mężem - dzieci, a w późniejszych latach wspieranie wnuków w wykształceniu i realizacji ich zainteresowań. Rodzinę ceniła i ceni ponad wszystko, ponieważ w dzieciństwie doświadczyła osierocenia. Szczęście pojmuje jako wzajemną rodzinną troskę i pokonywanie przeszkód.



Longina Wyspiańska (po prawej)  
z koleżanką z sierocińca Felicją  
Baumgarten; Świerdłowsk 1942 r.



19. letnia Longina Wyspiańska  
po przyjeździe do Grodkowa;  
1946 r.



W dniu pierwszej Mszy św. odprawionej przez o. Pawła w Nowym Tomysłu; od lewej siedzące w centrum rodzeństwo: Halina Urbańska, o. Paweł i Longina Wyspiańska; 1952 r.



Longina Eckert z domu Wyspiańska na spacerze z mężem Tadeuszem Eckertem i bratem o. Pawłem; Lipowa Śląska 1970 r.



## Joanna szuka brata Edwarda Idczaka

Mój ojciec Jan Idczak był przed wojną policjantem. Mieszkaliśmy na ziemi tarnopolskiej w miejscowości Touste, powiat Skalat. Mieliśmy dom z ogrodem i zabudowania gospodarskie na przedmieściu. Pamiętam matkę krzątającą się od rana po domu i ojca w mundurze, który co dnia rano wychodził na służbę. Dzień 12 kwietnia 1940 roku jest w moich wspomnieniach dniem szczególnym – wtedy widziałam ojca po raz ostatni. Wyszedł z domu, zapewne po cywilnemu, do jakiejś dorywczej pracy, nie pamiętam. Od kilku miesięcy na Kresach rządzą Sowieci, polscy policjanci się ukrywali. Wszelki ślad po nim zaginął, do dziś nie wiadomo, w jaki sposób zginął i gdzie został pochowany. Rodzina nasza czeka wciąż na ujawnienie pozostałych list ukraińskich z odnalezionych zbiorowych mogił Polaków w Bykowni i okolicznych miejscach kaźni. Może tam odnajdzie się jakiś ślad.

Tamtej nocy, 13 kwietnia 1940 roku, do naszego mieszkania wtargnęli funkcjonariusze NKWD i kazali się szybko spakować. Odczytali głośno spis mieszkańców: Józefa Idczak, Edward, Joanna, kazali mamie podpisać odbiór domu. Ojca nie wymienili, pewnie wcześniej go aresztowali i wiedzieli, że go nie ma. Nasza dorosła siostra Anna mieszkała osobno z mężem i synkiem, jej też nie wymienili. Mama martwiła się, dopytywała o nią znajomych w drodze, ale nic nie wiedzieliśmy przez całą wojnę o jej losie. Było zimno, trzęsłam się ze strachu, bo krzyczeli i poganiali. Mama narzuciła na plecy płaszcz, mnie pięcioletnią otuliła kocem; byłam drobną dziewczynką, więc wzięta mnie na ręce. Moja mama miała urodę typowej Kresowianki – wysoka, postawna, o wyrazistych pięknych rysach, budziła podziw i respekt. Brat, szesnastoletni Edek, spakował w pośpiechu, co było pod ręką: trochę jedzenia, kilka rzeczy ojca, z nadzieją, że się z nim spotkamy. Poszliśmy na stację kolejową prowadzeni pod karabinami, jak tysiące innych polskich rodzin z Kresów Wschodnich, w tamte niestawne dni sąsiedzkiej agresji. Historia naszej rodziny jest podobna do tragicznego losu wielu Polaków skazanych przez Stalina na zagładę. Wywieziono nas za Ural do północnego Kazachstanu i porzucono w kołchozie Siemipółka.

Józefa Idczak została przydzielona z dziećmi do wspólnego mieszkania w chacie Rosjanki, która sama wychowywała trójkę dzieci, od kiedy jej mąż został powołany do Armii Czerwonej. Joanna nie pamięta, czy powrócił z frontu. Edward pracował przy wyrębie lasu, a jego matka w kołchozowych oborach, w polu, przy suszeniu zboża. Nękały ich choroby, z którymi w Polsce nie mieli styczności, przede wszystkim malaria i tyfus, lecz to nie o swoich fizycznych cierpieniach Joanna chce opowiadać. W jej wspomnieniach najważniejsze miejsce zajmuje postać brata Edka, który przetrwał ponad rok przymusowych robót i doczekał się amnestii dla deportowanych i uwięzionych w łagrach Polaków. Miał już prawie osiemnaście lat, więc dołączył do oddziałów polskiej armii, organizowanej na południu ZSRR przez generała Władysława Andersa. Został przyjęty do 18. Pułku Piechoty we wrześniu 1941 roku. Gdy wkrótce wojsko wyruszyło do Iranu, żołnierze zaczęli się starać o zabranie z sobą pozostałych w kołchozach rodzin. W większości były to ich matki i młodsze rodzeństwo. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności Edward ciężko się roz-



chorował na postojach w Czyrak-czy i zamiast niego - po kilka rodzin z kołchozu Siemipółka - przybył inny żołnierz z jego oddziału. Nastąpiło jednak jakieś nieporozumienie czy przekłamanie i na miejsce Józefy Idczak z córką zabrał z sobą inną rodzinę. Joasia z matką czekały na odległej stacji Mamlutka w mroźną noc, przez wiele godzin, w umówionym miejscu i nikt po nie nie przyszedł. Podobno żołnierz kazał im czekać na stacji Pietuchowo. Jaka była prawda i jak to się stało, że ich nie zabrał, nie wiadomo. Matka rozpaczała, bo oddziały polskie wkrótce wyruszały na szlak bojowy i nie było już innej okazji, by spotkać syna i wyrwać się spod kurateli Sowieców. Musiała pozostać z córką w Kazachstanie do połowy czerwca 1946 roku, zanim pozwolono im załadować się na ostatni transport z Mamlutki.

Edward Idczak, syn Józefy i Jana, walczył w szeregach II Korpusu armii Andersa. Otrzymał wiele odznaczeń wojskowych polskich i brytyjskich, między innymi za odwagę w bitwie pod Monte Cassino, lecz koniec wojny dla jej największych bohaterów okazał się okrutny. Nie mieli dokąd wrócić, bo ojczyzna ludowa - oddana przez aliantów opiece Stalina - nie była im przyjazna. Nie o taką Polskę przecież walczyli. Edward, wraz z kolegami z wojska, przebywał przez rok po wojnie na terenie Wielkiej Brytanii, aż do rozwiązania polskich oddziałów. Nie mając szczególnego wsparcia, by tam pozostać, wyjechał do Argentyny. Stamtąd słał listy do swojej starszej siostry Anny Drechny, osiadłej w Opalenicy, więc po powrocie z deportacji matka wiedziała, co się z nim dzieje.

Jak się okazało, starsza o osiemnaście lat od Joanny jej siostra Anna przedostała się szczęśliwie w czasie wojny z Kresów Wschodnich na teren Wielkopolski. Jej mąż Kazimierz, przedwojenny pracownik Poczty Polskiej, nie wrócił z niemieckiej niewoli. Obie kobiety, matka i córka, żyły w niepewności, jaki los spotkał ich mężów. Córka dowiedziała się wkrótce, że Kazimierz jednak przetrwał w niemieckim łagrze; wyzwolony przez oddziały generała Maczka, przedostał się do Londynu. Anna pozostała wierna mężowi, mimo że on, obawiając się represji, nie wrócił do Polski. Na zdjęciu z 1947 roku widzimy siedzącą Józefę Idczak z córkami - dwunastoletnią Joasią i trzydziestoletnią Anną z synkiem Rysiem. Wojenne dzieci wychowywały się przeważnie w niepełnych rodzinach. Joanna z rozrzewnieniem pokazuje zdjęcie rodziców, Józefy i Jana Idczaka w policyjnym mundurze z 1925 roku, na którym widać ich radosnych, w centrum rozświetlonej słońcem ulicy, spacerujących w towarzystwie siostry i szwagra Józefy (Walentyny i Melchiora Kruków).

Joanna miała świadomość trudnej sytuacji - wiedziała, że brat jest daleko za oceanem i że nie wolno o tym mówić w miasteczku. Jednak często nocą, gdy w marzeniach sennych wydawało się jej, że wrócił do nich i śpi w pokoju obok, wołała głośno jego imię. Szukała Edka, chodząc boso po mieszkaniu, po omacku na kanapie sprawdzała, czy leży, zanim otrząsnęła się z widzeń spowodowanych tęsknotą. Brakowało jej starszego brata, który w pierwszych latach wojny zastępował utraconego ojca, nazywając ją pieszczotliwie Janeczką. Opiekował się nią i matką.

Joanna mówi o swoich bliskich ciepło, przyciszonym głosem pełnym nabożeństwa. Matka i brat, a później mąż, dzieci i wnuki tworzyli jej małą ojczyznę, dzięki ich obecności czuła się Polką. W jednym z listów przysłanych przez Edwarda z żołnierskiego postoju czytamy:

*Droga i Kochana Mamo i Janeczko!*

*List Twój z Mamlutki otrzymałem, za który dziękuję. Piszę do Siemipolki, bo wiem, żeś tam ze stacji wróciła. Droga mammo, bardzo mi ten list zasmucił. Ale cóż ja biedny wam poradzę, chciałem dobrze, lecz cóż cudzymi rękoma dobrze ogień zagartywać.*

*Mammo, cóż teraz poczniesz, zrujnowana jesteś doszczętnie. Ja teraz nie wiem, czy będę w stanie ci dopomóc. Jak możesz, droga mammo, tak się staraj o swoje życie. O mnie się nie martw. Nie płacz, że się tak stało, widocznie Bóg tak chciał. Nie martw się nadaremnie, uważaj na to biedne dziecko, bo masz jeszcze dla kogo żyć. Jak Janeczka się czuje, czy jeszcze chora, bo ja dopiero drugi dzień, jakem wrócił i gdy piszę, to mi się wciąż ręce trzęsą, ale to bajka, przechorowałem i teraz wracam do normalnego zdrowia.*

*Niech was wszechmocny ma w swej Opiece, zasylam ukłony dla państwa Nablów, Jedynowej, Stasiaków i innych. Całuję was mocno, nie rozpaczajcie i o mnie się droga mammo nie martw, dbaj o zdrowie swoje i Janeczkę. Całuje was mocno twój syn i brat Edward.*

*Czyrak-czy, 6. VII. 1942 r.*

Gdy wracaliśmy transportem kolejowym ze Związku Radzieckiego, zatrzymaliśmy się w Poznaniu i mama od razu postanowiła, że tu wysiadziemy, by dostać się do krewnych mieszkających w Opalenicy. Liczyła na pomoc rodziny, jednak w latach powojennych każdy borykał się z biedą i w końcu przygarnęła nas znajoma. Mama podjęła pracę w cukrowni jako fizyczna robotnica. Gdy ukończyłam szkołę podstawową i gimnazjum w trybie przyspieszonym, miałam szesnaście lat i pora była podjąć pracę, by pomóc mamie. Kształcąc się nadal wieczorowo, podjęłam zatrudnienie w biurze Fabryki Narzędzi Chirurgicznych w Nowym Tomyslu, gdzie pracował też przyszły mąż Sybiraczki Longiny Wyspiańskiej, z którą się poznałam w następnych latach. Z początku nikt o sobie nie mówił, ludzie bali się donosów do Urzędu Bezpieczeństwa, posądzenia o szpiegostwo. Sybiracy, którzy wrócili tym samym transportem, a nie poznali się w drodze, najczęściej dowiadawali się o wspólnej wojennej przeszłości za Uralem dopiero wtedy, gdy zapisywali się do Koła Związku Sybiraków w czasie demokratycznych przemian po 1989 roku.

Wynajmowałyśmy z mamą małe mieszkanie na obrzeżu Opalenicy. Nie miałyśmy żadnej własności. Myślałyśmy, że może warto pojechać na Pomorze i szukać szczęścia poza Wielkopolską, ale dowiedziałyśmy się, że rodziny Sybiraków, które powróciły rok po zakończeniu wojny, upychane były przez władzę miejscową po ruderach, PGR-ach, zrujnowanych gospodarstwach, że i tam brakowało lepszych warunków do życia. Trudno było nam, dzieciom powracającym z sowieckich kołchozów, wykształcić się i znaleźć pracę związaną z naszymi umiejętnościami i zainteresowaniami. Dopiero moje wnuki mają szansę studiować, co chcą. Jednak pytanie o możliwość zapewnienia sobie godnego życia dzięki wykształceniu także w obecnych czasach pozostaje aktualne.

Portret Józefy Idczak – mieszkanki  
ziemi tarnopolskiej; Touste 1932 r.



Edward Idczak jako żołnierz II Kor-  
pusu armii Andersa przed demobiliza-  
cją w Wielkiej Brytanii; 1946 r.





Po powrocie z Sybiru – Józefa Idczak z córkami: Joasią i Anną z synkiem Rysiem;  
Opalenica 1947 r.



Spotkanie po trzydziestu latach i spacer ulicami Nowego Tomysła (od lewej): Edward Idczak, jego siostra Joanna Natkiewicz, matka Józefa Idczak z najstarszą córką Anną Drechny; 1971 r.

Najważniejszą cechą mojej matki, pomagającą nam przetrwać, była zdolność do bezgranicznego poświęcenia się dla rodziny. Wdowy po zamordowanych w Związku Radzieckim policjantach czy żołnierzach o nieznanym losie najczęściej pozostawały im wiernie, nie wychodziły ponownie za mąż. Było też tak, jak w przypadku mojego ojca Jana Idczaka, który jako policjant zaginął bez wieści, że mama żyła w głębi serca nadzieją: może gdzieś żyje na obczyźnie... Z lęku o własny byt z początku nie przyznawałyśmy się, że ojciec był przedwojennym policjantem, bo w tamtych latach było to źle widziane.

W kwietniu 1940 roku, gdy nas deportowano, mama była zadbaną, przystojną kobietą. Do dziś jest mi jej żal, że tyle musiała wycierpieć, a jeszcze mnie i mojej rodzinie pomagała, ile sił. Byłyśmy tak mocno związane emocjonalnie, że wciąż – choć już od wielu lat nie żyje – czuję jej duchową opiekę. Długo musiała czekać na spotkanie z dorosłym synem. Ujrzała Edwarda dopiero w 1971 roku, gdy po raz pierwszy po wojnie mógł przyjechać z Argentyny do Polski. Dla bezpieczeństwa nie podawał daty przyjazdu.

Którejś nocy tamtego roku brat Joanny dojechał niespodziewanie z Poznania taksówką i mama w koszuli nocnej stanęła w drzwiach na jego powitanie – ujrzała syna po trzydziestu latach od rozstania, od chwili, gdy wyruszał do armii Andersa. To było trudne i bolesne przeżycie, bo Edward miał już tam własną rodzinę i musiał wracać, jednak to, że matka go przytuliła, wysłuchała, było dla niej i dla niego wielką pociechą. Tak mamę moją najczęściej wspominam – stojącą w światłach nocy w nocnej koszuli i otwierającą ramiona na powitanie syna.

## Franciszka Bartkowiak – matka Ireny

Na fotografii wykonanej w kilka lat po powrocie z deportacji do Kazachstanu stoją przytuleni: matka, córka i syn. Sześć lat poniewierki na nieludzkiej ziemi nie umniejszyło nic z ich urody. Z twarzy Franciszki Bartkowiak bije duma, że wytrzymała i ochroniła przed głodową śmiercią swoje ukochane dzieci. Przystojny brunet, dwudziestojednoletni Franciszek lekko się uśmiecha, pochylając z czułością głowę ku matce; na jego wysokim czole jasną smugą kładzie się nadzieja na lepszą przyszłość. Cierpienia przebyte na zesłaniu widoczne są najbardziej w ciemnych, głęboko wpatrzonych w przeszłość oczach jego starszej o dwa lata siostry Ireny. Mimo że jej usta także zarysowane są uśmiechem, smutne oczy nie potrafią ukryć żalu do losu, jaki przypadł w udziale jej rodzinie. Jest początek września 1953 roku, Franciszek właśnie otrzymał powołanie do zasadniczej służby wojskowej, przed rozstaniem z nim matka prosi fotografa o wspólne zdjęcie.

Ojca z nimi nie ma. Walenty Bartkowiak, urodzony na wielkopolskiej ziemi, służył przed wojną w Policji Państwowej w Tarnopolu. Został zamordowany strzałem w tył głowy przez funkcjonariuszy NKWD i pochowany w Miednoje, tam, gdzie tysiące jego kolegów sprzed wojny, polskich policjantów i żołnierzy uwięzionych po aneksji Kresów Wschodnich, dokonanej 17 września 1939 roku przez wojska ZSRR. Bez sądu, bez winy, skazani zostali na śmierć za patriotyczną postawę, za to, że chcieli pozostać Polakami. Kiedy w sierpniu 1991 roku, staraniem polskich władz, odbyła się ekshumacja mająca charakter śledczy i odkopano ciała ze zbiorowej mogiły w lesie, położonej cztery kilometry od wsi Miednoje na Białorusi, została podana lista zamordowanych. Był na niej również Walenty Bartkowiak. Rodzina żyjąca przez wiele lat w niepewności i z niepotwierdzoną nadzieją co do dalszych jego losów, zdobyła smutne świadectwo, że zginął śmiercią bohatera wiosną 1940 roku.

Tarnopol, lato 1935 roku. Polski policjant Walenty Bartkowiak wyrusza po służbie na spacer z żoną Franciszką, córeczką Irenką i synkiem Frankiem. Szczęśliwa, zwyczajna rodzina w lnianych ubraniach, w godzinie lipcowego wypoczynku. Urody Kresowianek nie sposób przecenić – wyraziście zarysowane kości policzkowe, zdecydowana linia nosa i brody przyciągają uwagę na starych fotografiach. Na wcześniejszym zdjęciu z 1929 roku, wykonanym w dniu ślubu Franciszki i Walentego, widzimy tę piękną młodą parę połączoną przysięgą wierności i marzeniem wspólnego życia, które nie mogło się spełnić. Ojciec, tak wcześniej dla dzieci utracony, stał się mitem, kimś z obrazka, świętym, niedostępnym. Irena opowiada najczęściej o swojej matce – z podziwem i uznaniem, powtarzając kilkakrotnie, że nie wie, jak poradziłaby sobie w życiu bez jej pomocy. Tak jak dawniej w Kazachstanie, tak i w późniejszych latach matka była dla niej najważniejszą ostoją. We wspomnieniach wnuka Jacka Bartkowiaka (syna Franciszka) babcia Franciszka jawi się również jako osoba aktywna, pełna energii i otwartości – inicjowała spotkania z dawnymi znajomymi z Tarnopola, którym udało się powrócić do Polski. Jeździła niestrudzenie w odwiedziny do Wrocławia i Legnicy, pielęgnując więzi przyjaźni z osiadłymi tam Kresowianami.





Portret ślubny rodziców Ireny – Franciszki i Walentego Bartkowiaków; Tarnopol 1929 r.



Walenty Bartkowiak z żoną Franciszką, córeczką Irenką i synkiem Frankiem na spacerze; Tarnopol 1935 r.



Irena Bartkowiak ze swoimi wychowankami w przedszkolu;  
Nowy Tomyśl 1948 r.



Irena (od lewej) z bratem Franciszkiem i matką Franciszką Bartkowiak;  
Nowy Tomyśl 1953 r.

Wywieźli nas do Kazachstanu w masowej wywóźce 13/14 kwietnia 1940 roku. Mama miała wtedy dwadzieścia osiem lat, ja dziewięć, a młodszy brat Franek siedem. O losie ojca nic nie wiedzieliśmy. NKWD zabrało nas w nocy, prosto z pościeli. To był szok dla wszystkich Polaków, których spotkaliśmy w towarowym wagonie. W surowych warunkach dowieziono nas do sowchozu Turkoduk koło Pawlodaru i rozdzielono z innymi. Mama musiała sama wykopać ziemiankę na nasze mieszkanie. Pomagaliśmy zbierać darni i trawę, by wymościć wnętrze. Z pomocą miejscowych Rosjan udało się zdobyć jakiś stary piecyk. Gromadziliśmy w lecie kiziak na opał, by przetrwać zimę. Pierwszego roku zasypało nas śniegiem, nie sposób było wyjść. W końcu odkopali nas miejscowi robotnicy i wezwali mamę do pracy w sowchozowej kuchni. Trwało to krótko, później mama pracowała w polu, kierowała grabiarką z wołami, zwoziła żyto do elewatora, ścinała trawy. Trudno było zarobić na życie. Mama szyla ręcznie kozuchy dla Rosjanek, w ten sposób nocami przy księżycu dorabiała na trochę mąki i mleka. Często chorowałam, więc w pracach polowych pomagał mamie Franek – ręcznie ładowali ziarno na wóz, wieźli je do elewatora kilkanaście kilometrów; sypiali w szopie, w przydrożnych szataśach, gdy nie udało się wrócić na noc do naszej ziemianki.

Do czasu wojny między Niemcami a ZSRR uważano nas w „królestwie Stalina” za niewolników. Amnestia uzyskana dla Polaków uwięzionych w łagrach jaką wywalczył polski rząd na uchodźstwie, dała i nam szansę znalezienia sobie innego miejsca pobytu, lecz każdemu brakowało środków, by wyruszyć w drogę; nie wiedzieliśmy gdzie i jak szukać oddziałów wojska polskiego na południu ZSRR. Zabrakło ojców, którzy mogliby nas stamtąd wydostać. Wprawdzie druga zima okazała się dla nas łagodniejsza, bo już byliśmy zaaklimatyzowani, jednak wciąż gnębiły nas choroby, głód i zimno. Łapaliśmy z bratem Frankiem szpaki, które mama gotowała i tak się dożywialiśmy. Trzeba było trwać, nie poddawać się, żeby wrócić do Polski.

Moja mama Franciszka była bardzo pracowita. Mimo ciężkich przeżyć w czasie wojny, na zesłaniu i w późniejszych latach, pomagała mi w opiece ponad dziesięć lat nad niepełnosprawnym synem i wspierała przez całe życie. Pocieszała mnie po stracie mężów, gdy w dramatycznych okolicznościach dwukrotnie zostałam wdową. Opiekuńczość jest chyba wpisana w życiorysy polskich kobiet, a ich pomysłowość w ratowaniu rodziny przed biedą bywa przystawiona: Gdzie diabeł nie może, tam matkę poslij, a ona nie wróci z pustymi rękami i uratuje swoje dzieci. Gdy rozpoczęliśmy po wojnie swoje skromne egzystowanie w Nowym Tomysłu, mama podjęła pracę kelnerki w restauracji należącej do Spółdzielni Spożywców „Społem”, a w wolnych chwilach szyla na maszynie potrzebne ubrania dla nas i znajomych. Mama umiała szyc już przed wojną i to właśnie dzięki tym jej umiejętnościom mogliśmy przetrwać trudne lata za Uralem. Oprócz tego, że w sowchozie kierowana była do robót przy wyrębie lasu, na traktorze i kombajnie, nocami szyla ręcznie, by dostać trochę jedzenia dla nas. Po wojnie, gdy nie miała pieniędzy, przez pierwsze lata grzecznościowo udostępniał jej maszynę do szycia zaprzyjaźniony inspektor Wydziału Oświaty z Urzędu Miasta Alojzy Kujawski i wraz z żoną pomagali mamie w ten sposób. To on także zachęcił mnie i mojego brata do dalszego kształcenia się. Skierował mnie na ośmiotygodniowy kurs dla wychowawczyń przedszkoli w Sulechowie, a następnie do zaocznego liceum w Poznaniu. Jako przedszkolanka wychowałam kilkanaście pokoleń dzieci w Nowym Tomysłu, także synów i córki moich koleżanek Sybiraczek.



O męczeństwie polskiego narodu na radzieckiej ziemi nie wolno było głośno mówić. Kiedy mój brat poszedł do szkoły po powrocie do Nowego Tomysła, tutejsi koledzy z klasy dziwili się, że jest chudy i ogorzały, że ma obcy (kresowy) akcent. Nietatwo było dzieciom, które przeżyły zesłanie, wejść w nieznanne środowisko. Franek powiedział na lekcji historii w szkole, gdzie był i co spotkało jego rodzinę. Był rok 1947, matkę naszą wezwano do siedziby Urzędu Bezpieczeństwa i straszono, zakazywano, byśmy nie mówili o deportacji. Te wszystkie okoliczności wpłynęły negatywnie na nasze zdrowie i dalszy rozwój zawodowy. W pracy jako wychowawczyni przedszkolna dawałam jednak z siebie wszystko, co potrafiłam, całe serce, pracowałam przecież dla naszej wspólnej odzyskanej Polski.

Irena uśmiecha się z zadowoleniem. Do dziś otrzymuje od swoich dawnych wychowanków znaki pamięci i wdzięczności. Zna tu wielu mieszkańców, lecz w ostatnich latach bardziej od towarzyskich spotkań ceni samotne wspomnianie i wyobrażanie sobie, jak mogłoby się inaczej – zdrowiej czy szczęśliwiej – potoczyć życie jej rodziny. Siada w pogodne dni w fotelu na balkonie i patrzy w dal, snując w myślach różne wersje rodzinnych ścieżek. Mówi, że to właśnie wyobrażnia pomaga ludziom przeżyć najgorsze chwile, gdy już wydaje się, że nie ma ratunku.

W maju 1946 roku jechaliśmy z Pawłodaru znów w wagonach towarowych, poupychani na dwupiętrowych pryczach jak rzeczy, na każdej półce kilka rodzin. Podróż powrotna do Polski zajęła nam cały miesiąc. Bez prowiantu, bez urządzeń sanitarnych czuliśmy się dodatkowo poniżeni i upokorzeni. Na kilku stacjach podano nam żupę i chleb, a przed granicą skierowano wszystkich do łaźni na odkażenie, mieliśmy bowiem wszy i inne zarazy na całym ciele. Nie musieliśmy się martwić o żaden bagaż, bo nie posiadaliśmy nic oprócz zdartego ubrania na sobie. Na jednym z końcowych postojów, już na ziemiach polskich, znalazłyśmy z koleżanką Krysią Łuszczynską garnek z ziemniakami, którego ktoś nie zdążył zabrać, pewnie z poprzedniego transportu. Ugotowałyśmy te ziemniaki, trochę już nadgniłe i takie było nasze powitanie z Polską na stacji w Łobzie. Krysia ze swoją mamą zostały w tym pomorskim miasteczku, inne rodziny policjantów wyruszyły ku Legnicy. Mama poprosiła w urzędzie zajmującym się repatriantami, aby skierowano nas do Karłowic, był to PGR w dawnym majątku koło Poznania. Chciała być blisko Lwówka i Róży – rodzinnej miejscowości ojca. W Karłowicach pracowała w polu przy żniwach i na kombajnie. Przed zimą udało nam się przenieść do Nowego Tomysła, w czym pomógł znajomy ojca z Tarnopola, listonosz Jan Przybylak, którego szczęśliwie ominęła zsyłka. Odstąpił nam jeden pokój w swoim małym mieszkaniu, abyśmy mogli się zagospodarować. Mama nie chciała nadużywać gościnności i przeniosta się z nami do pomieszczeń nad stajnią udostępnionych nam przez właściciela Franciszka Słomińskiego, a w końcu przygarnęła nas rodzina ojca – Marta i Roman Szubowie, zanim udało się mamie znaleźć prywatną kwaterę przy ul. Poznańskiej.

Pamiętam, że mimo wielu przebytych chorób (otwierające się żylaki, pęknięcie woreczka żółciowego, zakażenie otrzewnej) mama nigdy nie narzekała na swój los. Była z natury pogodna, niekonfliktowa i umiała sobie poradzić w trudnych warunkach. Podziwiam jej niezwykłą przezorność i pomysłowość, jaką zachowała do ostatnich dni. Bez pomocy matki trudno mi wyobrazić sobie moje życie. Mama zmarła w 2003 roku, skończywszy 91 lat, zachowując wierną pamięć o swoim mężu i znając już jego tragiczny los.

W książce *Nowotomska lista katyńska. Historia i pamięć* biogramem starszego posterunkowego Policji Państwowej Walentego Bartkowiaka rozpoczyna się rozdział *Cmentarz Miednoje*, a w nim czytamy: *Syn Franciszka i Marii z Bąbelków, ur. 6 I 1898 r. w Róży. We wrześniu 1939 r. pełnił służbę w policji w Tamopolu. Odznaczony Medalem Pamiątkowym za wojnę 1918-921. Awansowany pośmiertnie w 2007 r. na stopień aspiranta Policji Państwowej. L. 050/2 (78), 301. 23. MIEDNOJE. Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego t.1, oprac. zespół pod kier. Grzegorza Jakubowskiego. Warszawa 2005, s. 25; relacja rodziny. Obok biogramu widnieje fotografia przystojnego bruneta w policyjnym mundurze – Walentego Bartkowiaka. Jego syn Franciszek Bartkowiak, dziś żyjący z rodziną w Słupcy, na zdjęciu z 1953 roku jest do swojego młodego ojca bardzo podobny.*

\*\*\*

Nasze trzecie spotkanie planujemy na koniec stycznia 2011 roku. W Kole Związku Sybiraków już trwają przygotowania do uroczystości rocznicowych i wspomnienia tych, którzy nie wrócili z pierwszej masowej zsyłki na Sybir, przeprowadzonej przez NKWD 10 lutego 1940 roku. Pod Pomnik Ofiar Katynia i Sybiru przychodzi wielu świadków historii, również nauczyciele i młodzież ciekawa doświadczeń starszego pokolenia. Pojawiają się coraz częściej głosy, że w pejzażu naszych miast i wsi brakuje pomnika Polskich Matek, które skutecznie broniły polskości na zesłaniu i powróciły z dziećmi do ojczyzny, cierpiąc tu bezdomność, a czasem poniżenie za kresowy akcent i patriotyczny zyciorys.

Obyśmy doczekały wydania książki – wzdycha tkliwie Joanna. *Czytajmy wspólnie maszynopis i róbmy korektę. Jesteśmy Chryzantemami, musimy dotrwać do jesieni, a gdy minie jesień i książka jeszcze się nie ukaże, będziemy czekać do następnej.* – Ładnie to sobie obmyślała, może w ogóle wstrzymać druk, zrobić z tego maszynopisu „półkownika”, to nam da więcej czasu... – Stefania jest wyraźnie zadowolona z konceptu Joanny, bo rzeczywiście sensacyjny scenariusz na polski serial sam pisze się z ich „przygód”. Idąc do kuchni, Stefania pyta telewizyjnie: *Kawa czy herbata?* Kobiety śmieją się i po chwili opowiadają dalej, pijąc zieloną herbatę, pogryzając domowe ciasteczka. Szukają określeń, aż wszystkie wypowiedziane słowa wyrażą właściwie ich intencje. Dzielią się swoją historią, dają świadectwo i przestrozę dla następnych pokoleń. Sybiraczki pamiętają wiele szczegółów, choć minęły lata. Trudno jest pogodnie wspominać, gdy przytłaczają fakty.

Irena, Longina, Stefania i Joanna pochylają posiwiałe głowy i zamyślają się nad swoim wspólnym losem. Jest w ich spojrzeniu na świat wiele różnic, ale i sporo podobieństw, więcej chyba znajdują wspólnego niż odmiennego w opowiedzianych przez siebie historiach z życia wziętych.

Cztery Chryzantemy z Nowego Tomysła obmyślają naprawę świata: *Jeśli powiemy prawdę o sobie i ktoś przekona się, że warto opowiedzieć swoją trudną historię, to już będzie lepiej...* Mniej zafałszowania, więcej wspólnego dobra. Prawdziwie wolne wybory polskich dróg. Bezkonkurencyjne zwycięstwo nad sobą.

Fot. archiwum rodzinne Stefanii Chorążyczewskiej, Longiny Eckert, Joanny Natkiewicz, Ireny Tomiak - Wesolej

# TU I TERAZ

Grażyna Matuszak

*...Jeżeli w człowieku drzemie potrzeba grania...*

## Kapela Kozłarska z Bukowca

Na początku było ich pięciu, ale kozłarz, który stworzył cały „fason” kapeli jest tylko jeden, mieszkający do dziś w Bukowcu – **Marian Świergiel** – muzyk grający na koźle weselnym, członek i inicjator bukowieckiej Kapeli Kozłarskiej.

*Wszystko zaczęło się, kiedy miałem sześć lat, na Złoty Godach moich dziadków, tu w Bukowcu - mówi pan Marian. Na uroczystości tej grał na koźle Franciszek Domagała ze Zbąszyń. Pan Domagała był członkiem znanej, zbąszyńskiej, muzykującej rodziny z tradycjami. Instrument ten zainteresował mnie na tyle, że całą noc nie mogłem spać i zastanawiałem się, jak działa. Potem pan Franciszek przysłał mi piosenki i nuty, mama śpiewała, a ja ćwiczyłem tzw. palcówki. Kiedy byłem w szkole zawodowej, tj. około 1965 roku, pan Franciszek oznajmił, że ma koźla weselnego na sprzedaż. Nie mogłem się oprzeć. Nie miałem pieniędzy, ale umówiliśmy się, że mogę go spłacać w ratach. I tak oto zdobyłem mój pierwszy własny instrument.*

Kiedy już wszedł w posiadanie koźla i grał, stopniowo wychodząc z muzyką poza próg domu, zaczął szukać osób, z którymi można by stworzyć kapelę. Dość szybko znalazł kilku chętnych. Byli to: **Stanisław Cejza** – skrzypek, **Ignacy Kufel** – skrzypek, **Jerzy Sucharzewski** – kontrabasista i **Władysław Barański** – klarneista.

Już po pierwszej próbie w 1971 roku wiedzieli, że będą ze sobą grać.

*Jeżeli w człowieku drzemie potrzeba grania, pierwsze co robi, gdy go los rzuci w nowe miejsce, to poszuka podobnych do siebie zapaleńców, tak też z nami było – mawiał Władysław Barański. Wszyscy byli „zapaleńcami”, związanymi z muzyką od dzieciństwa. Każdy umiał grać na kilku instrumentach. Stanisław Cejza odziedziczył skłonności do muzykowania po ojcu. Sam nauczył się grać na skrzypcach i akordeonie. Kiedy jako dziecku nie pozwalano mu „hałasować” w domu, zamykał się na strychu i tam ćwiczył.*

Z kolei Ignacy Kufel odziedziczył zdolności po mamie, która była bardzo muzykalną kobietą. Umiał grać na skrzypcach oraz na saksofonie. Tak zaczęła się ich wspólna przygoda.





Wielkopolskie Spotkania Budowniczych Dud i Kozłów; Babimost 1999 r.  
Pocztówka okolicznościowa ze zbioru Ireny Barańskiej



Kapela w strażackich mundurach galowych. Od lewej: Ignacy Kufel, Stanisław Cejza,  
Władysław Barański, Jerzy Sucharzewski i Marian Świergiel

Kolejne próby przybliżały przyjaciół, pozwoliły im się zgrać i coraz wyraźniej odtwarzać piękno wielkopolskich melodii. Dawały też wspólne zadowolenie. *Graliśmy wszystko co się dało* - opowiada pan Marian. Można powiedzieć, że z kapelusza, bez nut. Wystarczyło, że mama lub babcia przypomniła jakąś starą melodię i zaraz przekładaliśmy ją na instrumenty.

Początkowo byli grupą samodzielną, ale nie było łatwo. Znaleźli więc opiekuna w postaci miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej. W lutym 1973 roku zarejestrowali zespół jako Ludowa Kapela Kozłarska przy OSP w Bukowcu, a na kierownika zespołu - spośród pięciu jej członków - wybrali Władysława Barańskiego. W późniejszym okresie współpracowali też z miejscowym Domem Kultury. W ramach współpracy z OSP przydzielono im jako strój oficjalny strażackie mundury galowe, ale nie bardzo im to odpowiadało. Granatowy uniform, pasujący bardziej do orkiestry dętej, zbyt kontrastował z zestawem instrumentów oraz z charakterem wykonywanego przez kapelę repertuaru. Z tego też powodu często występowali w ubraniu „cywilnym”.

Po namyśle i konsultacjach z innymi kapelami muzycy postanowili, że ich strój będzie się składał z czerwonego, dwurzędowego kubraka, czarnych spodni i takiego też kapelusza. Marzenie ziściło się w 1975 roku, kiedy to ówczesna Naczelnik Gminy Nowy Tomyśl, Maria Kornowska zakupiła z funduszu gminnego upragnione stroje i przekazała je zespołowi. Przyjęli ten fakt z ogromną radością. W kronice Kapeli Kozłarskiej napisali: *I tak stanęliśmy dziś na progu podwoi naszej wsi. Stanęliśmy strojni i melodyjni...*

Z początku występy ograniczały się do muzykowania na Walnych Zebraniach OSP, obchodach Dnia Kobiet, miejscowych dożynkach, imprezach jubileuszowych oraz ślubach, ale - ku zadowoleniu członków kapeli - okazji do grania ciągle przybywało.

W lutym 1975 roku zostali zaproszeni na Biesiadę Kozłarską w Nądni, organizowaną przez Stowarzyszenie Muzyków Ludowych ze Zbąszynia. Tam bukowicką kapelę zauważyła znana badaczka folkloru muzycznego - profesor Jadwiga Sobieska\*. *Dzielna to była kobieta. Rowerem przejechała całą Wielkopolskę i Ziemię Lubuską. Wysłuchiwanie takich jak my było jej pasją* - wspominał z podziwem osobę pani Profesor w wywiadzie prasowym Stanisław Cejza. Przeprowadziła z nimi wiele długich rozmów, tłumacząc na czym polega ludowe muzykowanie. Za jej namową zespół zrezygnował z kontrbasu, który nie pasował do tradycyjnego modelu kapeli kozła weselnego z terenów Wielkopolski. Dla tego typu zespołu charakterystyczny był zestaw tylko trzech instrumentów - koźła, skrzypiec i klarnetu. Z grupy odszedł więc Jerzy Sucharzewski. Jadwigę Sobieską\* zapamiętali jako wymagającą nauczycielkę, nie szczędzącą krytycznych uwag, ale też tą, która potrafiła zmobilizować ich do pracy i - co ważne - zawsze zauważała i chwaliła czynione przez nich postępy. To również za jej namową nawiązali na krótko współpracę z zespołem tanecznym *Polanie*, działającym przy Technikum Hodowlanym w Trzciance.

Dalej występowali na lokalnych uroczystościach - dożynkach, jarmarkach i imprezach okolicznościowych w Bukowcu, Nowym Tomyślu i Grodzisku Wlkp.,



Występ na VI Biesiadzie Kozłarskiej w Nądni; 1978 r.



Pochód 1.Majowy w Nowym Tomysłu; od lewej Władysław Barański, Ignacy Kufel, Stanisław Cejza, Marian Świergiel





Koźlarz  
Marian Świergiel



Irena Barańska z czerwonym kubrakiem męża



Klarnet Władysława  
Barańskiego

m. in. na grodziskim Piwobraniu, nowotomyskim Jarmarku Chmielo-Wikliniarskim i akademiach jubileuszowych *Chify*. *Muzykowaliśmy cały czas. Jak nie próby to występy. Bywało, że kilka w ciągu dnia* – opowiada pan Marian. Stopniowo jednak zasięg ich działalności znacznie się rozszerzał. Wyjeżdżali na występy do Opalenicy, Kuślina, Środy Wlkp., Konina, Wrześni, Sierakowa, Poznania. Byli też w ówczesnym NRD. W 1977 roku reprezentowali mieszkańców Nowego Tomysła w telewizyjnym programie *Bank Miast 440*.

Regularnie brali udział w Biesiadach Koźlarskich, organizowanych początkowo w Nądni, a później w Zbąszyniu, gdzie w 1994 roku otrzymali nagrodę organizatorów za rozpowszechnianie muzyki ludowej w kraju. Kilkakrotnie uczestniczyli w Ogólnopolskich Konfrontacjach Kapel Dudziarskich w Poznaniu (w latach 1976, 1977, 1978 i 1980) oraz Przeglądach Zespołów Folklorystycznych i Kapel Ludowych w Pobiedziskach (1996). Zamiłowanie do ludowej muzyki zaprowadziło ich w czerwcu 1997 roku nawet do Kazimierza Dolnego, na XXXI Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych.

W 2000 roku przygrywali nowotomyskim plecionkarzom, tworzącym największy wiklinowy kosz, ubiegający się o rekord Guinnessa.

Działali równo trzydzieści lat, czyli kawał wypełnionego pasją, wspólnego życia, ciężkiej pracy, wielu smutków i radości. *Graliśmy do 2001 roku, ostatni występ mieliśmy w Muzeum Wikliniarstwa i Chmielarstwa w Nowym Tomysłu* – wspomina pan Marian. Niestety, w 2001 roku, w wieku 86 lat umarł ostatni skrzypek zespołu - Stanisław Cejza, a rok wcześniej zmarł po długiej chorobie Ignacy Kufel. Władysław Barański – klarncista, zmarł w roku 2005.

Ostatnim żyjącym muzykiem jest najmłodszy z członków kapeli Marian Świergiel, przez kolegów z zespołu nazywany żartobliwie (ze względu na różnicę wieku) „Smarkolem”. Pan Marian oprócz tego, że potrafi grać na koźle, umie go również sam wykonać. Z zawodu jest stolarzem. Samodzielnie zbudował dwa instrumenty, z których jeden ma do tej pory.

*Tego koźła zrobiłem sam, jestem z niego zadowolony. Grać uczyłem się 5 lat, ale jak się mówi - na koźle trzeba umieć grać.... i nie jest to takie łatwe jak się myśli...*

*Gram w tonacji eS, może trochę ostro, ale koziół i jego dźwięk ma moc! Weźmy taką kobzę albo dudy ...to takie instrumenty bez głowy, a koziół ma głowę!*

Zbudowanie takiego instrumentu nie jest sprawą prostą. Zanim wydobędą się z niego charakterystyczne dźwięki, potrzeba dużo pracy i umiejętności. Do budowy koźła używa się kilku gatunków drewna, przede wszystkim śliwkowego, ale główkę wykonuje się z brzozy, a elementy drewniane mechanicznego mieszka - z topoli lub wierzby. Główny miech robi się ze skóry koźła, najlepiej zabitego na zimę, około listopada lub grudnia, ponieważ sierść jest wtedy najbardziej gęsta. Wyprawienie skóry również wymaga specjalnych zabiegów, skóra musi pozostać w całości. Mieszek do pompowania powietrza wyrabiano dawniej ze skóry psa, teraz tego nie wolno robić. Główkę zdobi się szablami dzika i blachą mosiężną, natomiast rezonatory piszczałek wykonuje się z rogu bydlęcego. Obecnie nikt tego już prawie nie robi. W Nądni wyrabia jeszcze koźły Franciszek Mołdrzyk - opowiada nasz koźlarz.



Skrzypce Stainer należące  
do Stanisława Cejzy



Wnuczka Stanisława Cejzy - Klaudia  
Bielecka - gra już na gitarze i piani-  
nie, teraz kolej na skrzypce dziadka  
Stasia



Niestety w Bukowcu do tej pory nie znaleźli się kontynuatorzy działalności zespołu. Władysław Barański w jednym z wywiadów powiedział z żalem: *Obecnie o ludowych zespołach mówi się górnolotnie „kapele folkowe”. Duch ludowego muzykowania pojawia się we współczesnej muzyce estradowej, ale młodzi nie garną się do gry na koźle, skrzypcach i klawnie. Nie mamy następców...*

Po ich muzyce zostały wspomnienia i przechowywane przez rodziny zdjęcia oraz instrumenty; m. in. skrzypce Stainer, służące Stanisławowi Cejzie ponad 60 lat, o których mówił: *Gram na tych skrzypcach jednych i tych samych i bardzo mi są odpowiednie ... i zadowolony z nich jestem.*

Tradycja ludowego muzykowania w Bukowcu zanika, choć nie brakuje tu zdolnej młodzieży grającej na różnych instrumentach. Może w końcu znajdzie się kilku chętnych, by tak jak bohaterowie tego artykułu, przypomnieć znów dźwięki dawniejszych melodii z życia naszych dziadków i rodziców. Melodii granych również na koźle - niegdyś popularnym i najbardziej, obok dud, charakterystycznym dla Wielkopolski instrumentem\*\*.

Może warto zatrzymać się na chwilę w natłoku codzienności i umieć dostrzec, jak oni, urok dawnych czasów. Spróbujmy spytać nasze babcie lub dziadków o to, jak było kiedyś, jakie panowały zwyczaje, jakie przyspiewki i melodie towarzyszyły ludziom w różnych momentach życia. Doceńmy ich piękno i mądrość przekazu, często aktualną do dnia dzisiejszego. To nasze małe historie, nasze pamiątki kulturowe, także w postaci muzycznego przekazu, dające nam poczucie tożsamości i pozwalające lepiej poznać samych siebie.

---

\* **Jadwiga Sobieska (1909-1995)** - polski etnomuzykolog, laureatka nagrody im. Oskara Kolberga za wybitny wkład w upowszechnianie kultury muzycznej. Przed wojną asystentka prof. dra Łucjana Kamińskiego - twórcy pierwszego w Polsce Regionalnego Archiwum Fonograficznego, założonego w 1930 r., przy Katedrze Muzykologii UAM w Poznaniu. Po wojnie, wraz z mężem Marianem Sobieskim, przyczyniła się do powstania Zachodniego Archiwum Fonograficznego w Poznaniu, które w roku 1947 zostało włączone do Państwowego Instytutu Badania Sztuki Ludowej w Warszawie (obecnie Instytut Sztuki PAN). Była inicjatorką Ogólnopolskiej Akcji Zbierania Folkloru Muzycznego w terenie, której celem było archiwizowanie muzyki ludowej. Autorka wielu publikacji na temat folkloru Wielkopolski. Ważniejsze jej prace to: *Dudy wielkopolskie* (1936), *Wielkopolskie śpiewki ludowe* (1956), *Polska muzyka ludowa i jej problemy* (z Marianem Sobieskim; 1973).

\*\* Redakcja PRZEGLĄDU NOWOTOMYSKIEGO, dzieląc tę nadzieję, zdecydowała się zamieścić artykuł nie w dziale „Z przeszłości” lecz „Tu i teraz. Wierzmy bowiem, że ... *Jeżeli w człowieku drzemie potrzeba grania...*

Artykuł został opracowany na podstawie wspomnień, materiałów prasowych oraz dokumentów uzyskanych dzięki uprzejmości pań: Ireny Barańskiej-żony kierownika zespołu, Janiny Bieleckiej; p. Kufel oraz p. Mariana Świergła

Fot. Zygmunt Gajewski; Grażyna Matuszak; Przemysław Mierzejewski oraz z rodzinnych archiwów Ireny Barańskiej i Mariana Świergła

## November Tango - nowotomyskie CB radio

### Początki CB radio

Historia CB radia (Citizen - Band - w dosłownym tłumaczeniu: pasmo obywatelskie) sięga lat 40. XX wieku, kiedy to w USA, dla potrzeb obywatelskiej łączności, zaczęto eksperymentować w paśmie 460 - 470 MHz oraz 250 MHz, a później w paśmie 27 MHz, które jest używane po dziś dzień. Za twórcę CB radia uznawany jest Al Gross, który w 1939 r. stworzył walkie-talkie, a w 1943 r. pierwsze CB radio.

Grupą zawodową, która pierwsza doceniła nowe możliwości komunikacji, byli oczywiście kierowcy. Pogłębiający się w USA kryzys energetyczny z przełomu lat 50. i 60. sprawił, że na autostradach zaczęto stosować ograniczenia prędkości, które miały przełożyć się na mniejsze zużycie paliwa. Rozliczani za ilość przejechanych kilometrów kierowcy ciężarówek natychmiast dostrzegli korzyści wynikające z szybkiej wymiany informacji. Dzięki przenośnym nadajnikom mogli nie tylko poznać warunki drogowe, ale także skutecznie unikać policyjnych patroli. Właśnie tak rozpoczęła się znana wszystkim kierowcom zabawa w „kotka i myszkę”, która trwa po dziś dzień.

Przez ocean CB radio przeprawiło się już latach 60., jednak podróż do Polski trwała jeszcze trzy dziesięciolecia. W czasie, kiedy w Ameryce i Europie Zachodniej udoskonalano technologie radiowe, wprowadzano nowe regulacje prawne, udostępniano coraz większą ilość kanałów, w Polsce panowała cisza. Wyjątkiem potwierdzającym regułę był produkowany w kraju jednokanałowy radiotelefon przenośny ECHO, traktowany raczej jako nowinka, niż coś naprawdę przydatnego. Jednak cisza w polskim eterze była ciszą przed burzą.

### CB radio w Polsce

Prawdziwy boom na CB radia przyszedł do Polski z początkiem lat 90. Jednak w tamtym okresie polscy kierowcy korzystali z nadajników CB niezwykle rzadko, głównie ze względu na brak sprzętu, wysokie ceny i obowiązujące specjalne pozwolenia. Za to jak grzyby po deszczu wyrastały anteny wokół domów i na dachach. Na terenach wiejskich pasmo 27 MHz zastępowało telefony, gdzie radioamatorzy przekazywali błyskawicznie informacje o pożarach, czy konieczności wezwania karetki. Mało kto pamięta, ale dla prawdziwych fanów powstawały nawet miejsca, które moglibyśmy nazwać „CB kafejkami”, a uczęszczających tam ludzi zaczęto nazywać „sibistami”.

Potem nastąpił szybki rozwój telefonii komórkowej, ale ...radio CB w dalszym ciągu radzi sobie znakomicie. Zmienił się jedynie sposób jego wykorzystania. Co prawda liczba przydomowych radiostacji radykalnie zmalała, jednak w ich miejsce pojawiły się urządzenia montowane w samochodach.



Jedne z pierwszych kart  
QSL nowotomyskiego  
Klubu *November Tango*  
i aktualna karta klubowa



Trudno jednoznacznie stwierdzić, ile długich anten CB jeździ po polskich drogach, jednak radionadajniki znajdują się w standardowym wyposażeniu zdecydowanej większości samochodów ciężarowych.

Dodatkowo liberalizacja przepisów, obywanie się bez pozwoleń oraz przystępne ceny sprzętu sprawiają, że z „gruszki” korzystają coraz częściej kierowcy samochodów osobowych.

### Kanały 9, 19 i 28

W odróżnieniu od krótkofalarstwa, użytkownikiem CB radia może być każdy, bez konieczności posiadania licencji nadawczej. Zgodnie z rozporządzeniem Ministra Infrastruktury z lipca 2007 r. nadawanie na terenie Polski w zakresie częstotliwości 26,960 MHz – 27,410 MHz nie wymaga uzyskania pozwolenia. Nie ma też obowiązku, np. w przypadku kontroli drogowej, okazywania homologacji CB radia.

Najczęściej używanym na terenie Polski kanałem jest kanał 19, tzw. drogowy, przeznaczony dla kierowców. Tam dowiesz się, jak we wskazane miejsce dojechać najszybciej i bez przygód. Wcześniej dowiesz się o utrudnieniach na drodze i utrudniających jazdę korkach, poznasz najlepsze miejsca, w których można coś zjeść i odpocząć, być może zdołasz uniknąć policyjnego patrolu albo odnajdziesz służbę drogową. Naprawdę nie sposób wymienić wszystkich informacji, które możemy uzyskać od innych uczestników ruchu.

Nie sposób też przecenić znaczenia CB radia, zwłaszcza wówczas, gdy w nagłych wypadkach potrzebujemy pomocy. Temu celowi służy kanał 9, tzw. ratunkowy, którym posługują się służby ratunkowe (policja, straż pożarna, pogotowie).

Poza oczywistymi korzyściami, o fenomenie CB radia decyduje barwna i żyta społeczność użytkowników. CB radio to także miejsce, gdzie można nawiązać kontakty, poznać ciekawych ludzi, a nawet zawrzeć prawdziwe przyjaźnie. Pamiętajmy jednak, że dłuższe pogawędki prowadzić można poza kanałami 9 i 19, temu celowi służy bazowy kanał 28.

### November Tango

Nowotomyski klub „sibistów” nosi nazwę November Tango (od pierwszych liter nazwy miasta – Nowy Tomyśl). Swoją historią sięga początku lat 90. Jego pierwszym prezydentem był **Julian Strzelecki**, kolejnym **Ryszard Miałkas**. Niegdyś skupiał blisko 60 nowotomyślan. Dziś – w dobie telefonii komórkowej - liczy sobie wprawdzie 82 członków, ale w większości spoza Nowego Tomysła (m. in. z Buku, Kaźmierza, Kościana, Międzychodu, Przeźmierowa, Tarnowa Podgórnego oraz z Gorzowa Wlkp., Zielonej Góry, Głogowa, Kostorzyna, Białegostoku, Szczecina, Stargardu Szczecińskiego, a nawet spoza Polski – ze Szkocji, z Turcji, a od kilku dni należy do niego także pochodzący z Płocka Polak mieszkający w Wenezueli). Wśród kilkunastu nowotomyślan jest także od 1994 roku członek honorowy – burmistrz Henryk Helwing.



Franciszek Pakuła (z prawej) z kolegą z Francji przy swoim pierwszym radiotelefonie (1990 r.)



... - i jednej z radiowych rozmów przed laty; 1994 r.

Są wśród nich tacy, którzy pamiętają pierwsze lata działalności klubu: Franciszek Pakuła – aktualny prezydent klubu, Janusz Frąckowiak, Sławomir Frąckowiak, Maria i Jan Kasperkiewiczowie, Ryszard Miałkas, Waldemar Otulak, Konrad Sarbak, Stefania i Franciszek Sienkiewiczowie, Jan Sobieski, Halina i Jerzy Ziemniewscy i Witold Bartkowiak, który reprezentuje najbardziej aktywną dziś grupę nowotomyskich „sibistów”. Tę radiową rodzinę tworzą ludzie reprezentujący różne grupy wiekowe i najrozmaitsze grupy zawodowe.

### Franciszka Pakuły przygoda z CB radiem

Przygoda Franciszka Pakuły z CB radiem trwa nieprzerwanie od 1989 r. Pasją tą zarazili go starsi, nieżyjący już dziś koledzy: Julian Strzelecki i Jan Gmiąt. CB radio jest jak choroba, tym można się zarazić, ale i trzeba pokochać - mówi pan Franciszek - nie ma dnia, żebym nie siadał przy radiu. Tą pasją zaraził żonę Czesławę. Nie miała innego wyjścia – dodaje ze śmiechem. Porozumiewamy się za pomocą alfabetu Q (cyfrowego kodu porozumiewawczego), ujednoliconego, przyjętego na całym świecie, stworzonego specjalnie dla radiowców. Nie posługujemy się też nazwiskami, każdy ma swoje wywołanie. Moje to Feri, a mojej żony Niteczka. To właśnie wywołanie, czyli znak wywoławczy stanowi podstawę identyfikacji rozmówcy. Czasem jest on po prostu jakąś formą imienia, czasem ma związek z barwą głosu, stylem prowadzenia rozmowy lub jakąś cechą wyglądu zewnętrznego, częściej jednak ma odniesienie do miejsca zamieszkania, wykonywanego zawodu, ulubionego zajęcia lub hobby.

Wśród nowotomyślan spotkać więc można było Jokera (Julian Strzelecki) i Jasią Chmielinko (Jan Gmiąt), a i dziś podyskutować z: Jaskółką (Jadwiga Strzelecka), Marysią (Maria Kasperkiewicz), Jankiem (Jan Sobieski), Witkiem (Witold Bartkowiak), Sandaczem (Ryszard Miałkas), Rozrusznikiem (Janusz Frąckowiak), Batorym (Franciszek Sienkiewicz), Stokrotkiem (Konrad Sarbak), Ułanem (Jerzy Ziemniewski) i Beką (Waldemar Otulak).

Co prawda mamy do dyspozycji 40 kanatów, które Państwowa Agencja Radiowa nam udostępniła, ale często są one zajęte. Trzeba cierpliwie czekać na swoją kolej. Specyfika radia polega na tym, że w jednym czasie mówi tylko jeden człowiek, a słucha go cały świat. Jeżeli ktoś chce zabrać głos, to w przerwie wymawia słowo: „break” (chcę wejść, proszę o to, aby mnie wpuszczono). Wówczas prowadzący rozmowę zezwala na wejście – wyjaśnia pan Franciszek i dodaje - Panuje wśród nas niepisany kodeks nakazujący kulturę prowadzenia rozmów. Jeśli rozmówca nie stosuje się do tej zasady, mówimy krótko: „99 kolego”, co znaczy tyle, co „spadaj”. Przez radio rozmawiamy przecież o różnych sprawach, w tym również o tych osobistych. Jednak nigdy nikogo nie obmawiamy, aby kogoś nie urazić i nie przysporzyć sobie wrogów. „Bo w radiu przyjaciół można mieć bardzo wielu, ale jeszcze więcej wrogów”. Tak stale mówił pan Jasiu Gmiąt - i to są święte słowa.

Warto w tym miejscu dodać, że w roku 1991 Jan Gmiąt z Chmielinka, jako jedyny z nowotomyślan, otrzymał dyplom Państwowej Agencji Komunikacji za etykę radiową, tzn. kulturę prowadzonych rozmów i staranny język ich prowadzenia.





Stanowisko radiowe po latach zmieniło swój wygląd

## Cały świat w moim domu

Poza rodzimym klubem Franciszek Pakuła jest również członkiem innych klubów w Polsce i poza naszym krajem, m. in. francuskiego klubu *India Fox*, a także amerykańskiego – *November Romeo Charlie*. Prowadzi rozmowy nie tylko w języku polskim, ale i rosyjskim, który zna jeszcze ze szkoły i w angielskim, którego uczył się razem z dziećmi i który poznał w stopniu pozwalającym mu na swobodne prowadzenie rozmów przez radio. A rozmawia się przecież o różnych sprawach życiowych, zawodowych, o problemach krajów, z których pochodzą rozmówcy i – oczywiście – o radiowym hobby, które – jak twierdzi pan Franciszek – do najtańszych nie należy. Posiadanie radiotelefonu to zdecydowanie za mało, dla dobrego odbioru potrzebne są przecież anteny, czasem także anteny kierunkowe i osprzęt.

Użytkownik CB radia musi także zaprojektować i wykonać lub wydrukować – fizycznie mające postać zbliżoną do pocztówek o formacie 14 cm x 9 cm – karty QSL, będące jego wizytówką. Przesłane rozmówcy pocztą stanowią podstawę zaliczenia łączności.

Członkowie klubu posiadają tzw. karty QSL, które są potwierdzeniem łączności. Na każdej karcie, która jest wysyłana, znajdziemy znak wywoławczy stacji i rozmówcy, rodzaj emisji, pasmo, częstotliwość, datę i godzinę połączenia. W tych kartach zapisana jest tak naprawdę cała historia naszego klubu - uzupełnia pan Franciszek i na dowód przeprowadzonych przez siebie rozmów pokazuje kilka kartonów kart QSL nadesłanych przez rozmówców z Polski i z całego niemal świata.

Jedni idą do baru, inni mają jakieś swoje inne pasje, a my po prostu lubimy rozmawiać. I tak potrafimy przegadać całe wieczory... CB radio jest bardzo przyjemną rzeczą, bo pozwala poznawać ludzi nie tylko w różnych częściach Polski, ale również na całym świecie. Rozmawiam z kolegami z Konina, Kórnik, Bydgoszczy, Jarocina, Kościana. Może to kogoś zdziwić, ale bardziej zażyły kontakt mam nie z kolegami z Nowego Tomysła, ale ze Stargardu Szczecińskiego czy Krosna Odrzańskiego. Porozumiewam się też z radiowcami z Francji, Włoch, Anglii, Hiszpanii, a nawet z dalekiego Madagaskaru. Całość zabawy polega na tym, aby najwięcej tych państw sobie zdobyć, a potwierdzeniem tego, że z danym państwem czy z danym człowiekiem się rozmawiało są karty QSL wysyłane jako widokówki.

O ile nie ma większych problemów z połączeniami o zasięgu kilkudziesięciu kilometrów, to już pogawędki z kolegami z różnych stron świata nie zawsze są możliwe. Na takie dni czasem trzeba długo czekać.

Dobra propagacja, czyli rozprzestrzenianie się fal radiowych, zależy zarówno od właściwości samych fal, jak i warunków meteorologicznych, zdarza się średnio przez 20-30 dni w roku. Korzystne w latach 90. nasilenie propagacyjne zdarza się teraz coraz rzadziej.

Wyczekując na możliwość dalekich połączeń, CB- radiowcy śledzą informacje w Internecie. Potrafią też – jak pan Franciszek – rozpoznać zbliżające się nasilenie propagacyjne, słuchając zwykłego radia.



Certyfikat Franciszka Pa-  
kuły potwierdzający jego  
przynależność do Klubu  
CB Radio November  
Tango.i jego osobiste  
karty QSL





Dwaj prezydenci Klubu *November Tango*: pierwszy - Julian Strzelecki (z prawej) i obecny - Franciszek Pakuła - podczas jednego z integracyjnych spotkań



Pierwsi członkowie nowotomyskiego *November Tango* podczas zabawy karnawałowej w Restauracji „Iral”; 1994 r.



Spotkanie nowotomyskich „sibistów” z francuskimi kolegami; Nowy Tomyśl 1995 r.

Instalowanie się radiowców na złocie w Boryszynie; 2009 r.



Franciszek Pakuła wśród kolegów – radiowców za złocie w Łochowicach; 2009 r



Półowe stanowisko radiowe zorganizowane podczas nowotomyskiego złotu w wigwamie Andrzeja Skrzypka; sierpień 2010 r.





Gościem CB-radiowców był Honorowy Członek Klubu  
- Burmistrz Nowego Tomyśla Henryk Helwing; sierpień 2010 r.



Pamiętkowe zdjęcie uczestników nowotomyskiego zlotu; sierpień 2010 r.





**RADIO CLUB**



**ESPAÑA**  
**QSL de la Amistad**

**INTERNATIONAL DX CLUB**  
**MADAGASCAR**



**Madagascar**

Potwierdzające odbyłą  
łącność radiową karty  
QSL z: Afryki Północnej,  
Hiszpanii i Madagaskaru

**188 KILO-MIKE-KILO**

## Nie tylko rozmowy

Od czasu do czasu „sibiści” opuszczają swoje radiowe stanowiska po to, by się ze sobą spotkać, by odwiedzić się wzajemnie. Franciszek Pakuła za granicą wprawdzie nie był, ale gościł już w naszym mieście CB - radiowców z Francji i Włoch. Kilka razy w roku CB - radiowcy spotykają się również na wspólnych zabawach, zlotach i integracyjnych spotkaniach. Ostatnie takie spotkanie miało miejsce podczas ubiegłorocznego Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego w Nowym Tomysłu. Trzydniowy zlot, którego miejscem był wigwam Andrzeja Skrzypka, wypełniły tradycyjnie zawody w nawiązywaniu łączności z całym światem. Był też czas na rozmowy, wspólną zabawę i – oczywiście – poznanie naszego miasta i ziemi nowotomyskiej, z jej specyfiką i walorami. Członkowie klubu potrafią również razem pracować i pomagać innym. *Przez kilka lat remontowaliśmy np. Ośrodek dla Dzieci Niepełnosprawnych w Tarnowie Jeziernym, a w zamian za to mieliśmy ten ośrodek do swojej dyspozycji. To jeden z naszych kolegów, mieszkający niedaleko Tarnowa Jeziernego zaproponował radiowcom tę wspólną pracę.* Czasem integracyjne spotkania CB-radiowców wzbogacane są o jakiś element szkoleniowy, zwykle z zakresu ratownictwa drogowego i udzielania pierwszej pomocy przedmedycznej. Nowotomyscy CB-radiowcy – Franciszek Pakuła, podobnie jak Sławomir Frąckowiak, Jan Sobieski, czy przed laty Julian Strzelecki – to przeszkoleni ratownicy drogowi.

Mają swoje ulubione miejsca spotkań, np. Kluczewo i Witkowo (k. Stargardu Szczecińskiego), Boryszyn (k. Międzyrzecza), gdzie spotykają się zawsze podczas majowych długich weekendów, Białą Górę i Łochowice (k. Krosna Odrzańskiego) i wspomniane wcześniej Tarnowo Jeziernie (k. Sławy). Spotykają się chętnie, by podzielić się swoimi doświadczeniami i pomysłami, ale i by bliżej się poznać. To właśnie podczas takich spotkań budują nowe anteny, usprawniając tym samym łączność między sobą, a także nawiązują nowe znajomości i przyjaźnie. Jak wiele one dla nich znaczą zaświadczyć mogą choćby ci spośród nich, dla których CB radio jest jedynym albo najważniejszym łącznikiem ze światem, jak sparaliżowany *Romano* ze Szczecina czy niewidomy *Koliberek* z Poznania.

## Przyszłość

Jaka przyszłość czeka CB radio? To niezwykle przydatne urządzenie liczy sobie już ponad 60 lat i dalej jest w powszechnym użyciu. Obecnie możemy nawet mówić o swego rodzaju modzie na CB. Jednak moda szybko mija, a o popularności urządzenia zadecyduje jego przydatność.

Mimo że CB radio musi dziś konkurować z takimi wynalazkami jak choćby telefonii komórkowa czy – w przypadku komunikacji drogowej - GPS, to pojawiają także nowe jego zastosowania. Można już spotkać się z czymś w rodzaju reklam na CB- radiu. Zachęca się w ten sposób do kupna produktów lub skorzystania z usług, także tych wyłącznie od lat 18. Dowodzi to, że wiele osób dostrzega potencjał w mówieniu do „gruszki”.

W znacznej mierze o przyszłości CB radia zadecydują także sami użytkownicy, którzy nie tak łatwo zrezygnują z tego, co dotąd wypełniało ich życie.

# NOWOTOMYŚLANIE ZNANI I MNIEJ ZNANI

Sylvia Kupiec

## Kiedy przyleci ten słowik?

Była wychowanką dr Stani Zawadzkiej, divą opery łódzkiej, *Królową Nocy* na niemieckich scenach. Mieszkała w Toruniu, Warszawie, Wiedniu i Łodzi, a od niemalże 30 lat jest nowotomyślanką. Była twórczynią zespołu *Witaminki* działającego przy Nowotomyskim Ośrodku Kultury, Balbiną z Kapeli *Zza Winkla*, malarką. Miłośniczką przyrody, brydżystką, dama. O swoim niezwykle barwnym życiu, jego jasnych i ciemnych barwach opowiada IRENA JURKIEWICZ – PIEKUTOWSKA. Za tę zajmującą opowieść, w imieniu Czytelników, serdecznie dziękuję.

Urodziłam się w Toruniu, w Krzywej Wieży...

1932 rok to był niespokojny czas, szykowało się już zawierucha wojenna. Gdy miałam pół roku przenieśliśmy się z Torunia do Warszawy, bo ojciec chciał uzupełnić swoją edukację muzyczną. Zamieszkaliśmy na Pradze. Pamiętam jeszcze numer domu, ulicę. Potem, gdy w czasie wojny były bombardowania, to przez podwórka wyrąbano dziury, by w razie alarmu można było uciekać. Na każdym podwórku stały też kapliczki, w których ludzie się spotykali i wspólnie modlili.

W dzieciństwie zdarzyło się masę rzeczy, które przywołuję do dziś ze swej pamięci. Pamiętam, jak pierwszy raz oddaliłam się na dobre od domu. Miałam wtedy 4, może 5 lat. Rozumek pra-

cował, ale nie w tym kierunku, co trzeba (śmiech). Z moją młodszą (!) koleżanką wzięłyśmy między siebie za ręce lalkę i poszłyśmy na „paciejek”. Przez cały most Kierbedzia - wspaniały most, już dziś rozebrany - aż do centrum Warszawy, na drugą stronę Wisły (śmiech). Mama płakała, szukała mnie, a mój brat miał wtedy powiedzieć: *nie szukaj jej, tak będzie mi lepiej*. I już tak zostało faktycznie, całe życie...

Pamiętam też, jak na kilka dni przed powstaniem mama posłała mnie do babci na Chmielną. A Chmielna to była ulica o złej reputacji. Na tej Chmielnej stał pierwszy, najwyższy dom w Warszawie. Drapacz chmur, w którym potem była telewizja. No i naprzeciwko niego, w dwupoziomym domku, mieszkała moja babka.



Gdy się zjawiłam, kazała mi zaraz wracać, bo tam było niespokojnie. Okolice domu dziadków zostały akurat zbombardowane i poprzerywało rury, więc dziadek poszedł po wodę. Coś długo nie wracał, więc babka – jak potem opowiadała – wyszła go szukać. Znalazła go, ale gdy chcieli wrócić do domu, domu już nie było. Pod gruzami zginęło ponad 70 osób.

Przez większość dnia, gdy były naloty na Warszawę siedzieliśmy w piwnicy. W końcu mama zdecydowała, że będziemy w tej piwnicy spać. Ojciec był w straży obywatelskiej, więc gdy odwoływano alarm sprawdzał, czy się coś nie pali, czy kogoś nie przygniotło. Któregoś razu podczas nalotu usłyszeliśmy straszny huk, no i byliśmy przekonani, że to nasz dom został zburzony, a my zostaliśmy uwięzieni w piwnicy. Okazało się jednak, że na podwórko, owszem, spadła bomba zapalająca, ale wbiła się w ziemię i nie wybuchła. Wtedy to pierwszy raz uniknęłam śmierci. Drugi raz, gdy szliśmy z jakichś zakupów, dźwigając kartofle, a nagle obok nas rąbnął szrapnel, czyli taki rodzaj pocisku, który rozrywa się i razi odłamkami. Szrapnel uderzył w bok naszego domu, gdy wchodziliśmy w bramę. Owszem byłam ranna, ale nic mi się nie stało. Chyba Pan Bóg nas miał w opiece, bo cała rodzina przeżyła wojnę.

Podczas powstania wielu ludzi szukało ratunku. Do naszych drzwi też zapukała pewna pani z chłopcem – wiadomo – poszukiwanym, bo im się ta rasa nie podobała... I ten Jureczek był z nami kilka miesięcy. Miał bardzo charakterystyczną urodę, więc nigdzie nie wychodził. Z tego też powodu miał delikatne jak niemowlę stopy i myśmy

go po tych stopach ciągle łaskotali. Były momenty, że mama myślała, że dostanie zawału, gdy ktoś pukał do drzwi... Ale potem mieliśmy satysfakcję, że chociaż troszkę mogliśmy pomóc. Dużo ludzi pomagało, często przyplajając to życiem.

**Ze szkołą był kłopot, bo jak wybuchła wojna właśnie skończyłam 7 lat.**

Po powstaniu warszawskim wywieziono nas do Wiednia i tam poszłam do niemieckiej szkoły. Wcześniej, w czasie powstania, chodziliśmy na komplety, na ulicę Kruczą. Pamiętam, że nie mogliśmy się skupić, bo w podwórku następnego domu była fabryka wafli i rozchodziły się taaakie zapachy... (śmieszek). Gdy tylko była przerwa, to każdy brał kawałek gazety i robił z niej taką „tytkę”, z którą się biegło do fabryki, by dostać wafelowe skrawki. Drugą atrakcją było to, że dostawaliśmy obiady. Jak wchodziliśmy po schodach, to też już po zapachu wiedzieliśmy, co będziemy jeść.

Przed wyjazdem do Austrii przeszliśmy jeszcze przez obóz w Pruszkowie, ale o tym nie chcę wspominać. Tyfus, choroby, jak to w obozie. Babka była chora, więc tam została, a nas wywieźli. Chyba ze dwa tygodnie nas wozili.

Z Austrii wróciliśmy po trzech latach, w kwietniu 1947 roku, tylko z matką. Rodzina się rozpadła, ojciec został tam. Potem nie widziałam go przez 36 lat, aż do momentu, gdy - po przejściu na emeryturę - pojechałam odwiedzić go do Stanów. Domu w Warszawie już nie mieliśmy, więc zamieszkaliśmy w Gdyni na ul. Wybickiego, gdzie moja babcia prowadziła

restaurację. Dzięki temu człowiek nie był głodny. Trzeba było jakoś żyć, a my byliśmy skazani tylko na siebie. Mama zajmowała się braciszkiem, a ja to tak... Dobrzy ludzie mi pomagali, dosłownie. Widzieli, że jestem zdolna, chętna, uczciwa, solidna.

Mieszkanie przy Wybickiego było bardzo duże, ale zamieszkałe przez 4 rodziny. Moja babcia z dziadkiem, Iwanowscy, ciotka z trójką dzieci, nas troje, pies Czikuś... Dziadek co prawda bywał rzadko w domu, bo był marynarzem i pływał w dalekie rejsy. Było trochę ciasno, a w korytarzu stał jeszcze ogromny fortepian marki *Besendorfer*. Mieliśmy trochę mebli i jakoś się tam zadomowiliśmy. Przypadła nam w udziale służbówka. Nie wiem, czy widziałaś kiedyś kochana, jak taka służbówka wygląda. To było jakieś dwa i pół metra na półtora, może dwa. Stały tam wojskowa szafka, łóżko, pianino. Brat spał w łóżku z mamą, a ja na podłodze pod pianinem. Zawsze w coś wyrzynałam, albo weszłam nogą w gorące żelazko.

Po austriackiej tułaczce znaleźliśmy się w ukochanym kraju, ale on nie mógł nam za wiele ofiarować. Ja, jako młoda osoba, radziłam sobie, jak mogłam. Pracowałam, ale pieniądze trzeba było oddawać mamie, więc nie miałam na nic. Ciuchy zawsze po kims, szkoda mówić jak wyglądałam... Robiłam dekoracje witryn sklepowych, malowałam napisy *Naród z Partią* (śmiech), robiłam kartki świąteczne, potem poszłam do pracy w Polskiej Agencji Drzewnej. Tam pomagałam przy liczeniu słupek, ale gdy zobaczyli, że mam zdolności artystyczne, utworzyli kółko dramatyczne i tam już byłam w swoim żywiole. Popisywałam się na scenie, na

którą ciągnęło mnie od dziecka. Mama zapisała mnie też do szkoły Sióstr Urszulanek. Tamte warunki mi jednak nie odpowiadały. Po 2,5 roku odeszłam stamtąd i poszłam do Liceum Sztuk Plastycznych. Jednak by tam się uczyć, trzeba było mieć pieniądze - kupować płótno, farby, blejtramy. Nie było kieszonkowego, żyło się na innych zasadach - jedne pończochy w prążki i kropka. Nie było mnie stać na tę szkołę. Postanowiłam więc rozwinąć inne swoje zdolności i pójść do szkoły muzycznej. Musiałam sama o sobie decydować. Wiadomo, że zawsze są trudności, ale jest inaczej, jak się ma wsparcie w rodzicach. Może dlatego zrobiłam się taka rzutka i samodzielna, bo wiedziałam, że mogę liczyć tylko na siebie.

Pochodzę z rodziny umuzykalnionej, mój ojciec był samoukiem, ale grywał w profesjonalnych orkiestrach, w zespołach klezmerskich. Grał w nocnych lokalach, bo się tam najczęściej zarabiał. Mama też miała piękny głos, śpiewała, ale nie miała muzycznego wykształcenia. A mnie, dzięki dobrym ludziom i temu, że byłam utalentowana, udało się wykształcić śpiewaczo.

### **Mnie bardzo ciągnęło do muzyki.**

Już gdy chodziłam do Liceum Sztuk Plastycznych, wpadałam do szkoły muzycznej, żeby poćwiczyć. Któregoś razu drzwi do mojej sali się otworzyły, weszła bardzo piękna pani, z długimi warkoczami i zapytała: *A to Ty śpiewałaś, dziecko?... Tak* - odpowiedziałam. *A powtórz mi ten dźwięk, a powtórz ten* - no więc powtórzyłam. Była to Halina Czerny - Stefańska. Też przychodziła tam ćwiczyć. Spodobał się jej mój śpiew i powiedziała do mnie: *Musisz się*

kształcić w kierunku muzycznym i śpiewać. I tak też się stało.

Najpierw jednak wyszłam za męża. Nie musiałam, byłam młoda, ale chciałam mieć dom, bo w moim domu rodzinnym tylko mój brat był „osiekiem”. Znalazłam sobie miejsce u ludzi, którzy stali się moimi prawdziwymi rodzicami. To była moja pierwsza teściowa i teść. Oni mnie wsparli. Pojechałam do Warszawy i dostałam się do klasy Stani Zawadzkiej – legendarnej poznańskiej śpiewaczki. Miałam wtedy 23 lub 24 lata. Zaczęła się nauka. Później miałam jeszcze problemy ze zdrowiem, operacja, szpitala. Nie wiem, jak to wszystko przeżyłam, bo po drodze był jeszcze rozwód, ale udało mi się skończyć szkołę przy ul. Profesorskiej z wyróżnieniem... Musiałam i pracować, i jednocześnie mieć siły do śpiewania, co było trudne, bo czasem byłam po prostu głodna. Gdy widziała to moja maestra, odstąpiła mi połowę ze swojego wykupionego w stołówce obiadu. Wiesz, jak ja się czułam? Łzy mi ciekły po policzkach ciurkiem, ale zjadałam. Pomagały mi też w różny sposób koleżanki. A to jakąś sukieneczkę dały, a to zaprosiły na kolację.

Byłam na śpiewie solowym. Do tego obowiązkowy był fortepian, czyli musiałam też gdzieś ćwiczyć. Chodziłam do koleżanek i w różne miejsca, żeby nauczyć się repertuaru. Na lekcjach przecież ćwiczyło się głównie wprawki, żeby odpowiednio usytuować głos, by śpiew był naturalny i żebym mogła wykonać te utwory. Podczas śpiewu stało się przed lustrem, żeby się nie wdarta żadna minoderia. Potem profesorka siadała za fortepianem i - akompaniując - śpiewała ze mną te wszystkie

sztuczki, gamy. Pani profesor Maria Prytulakowa uczyła nas wszystkiego: od najprostszych, włoskich rzeczy, poprzez pieśń rosyjską, polską, potem utwory Szuberta, Szumana. Wszystko obowiązkowe. Potem, już w trakcie czwartego roku nauki, gdy pani profesor musiała gdzieś wyjść, to kazała mi siodać za nią i śpiewać z kolegami i koleżankami. Wiedziała, że mam dobre ucho. Głos miałam jakby od razu ustawiony. Trzeba było tylko - jak mówiła pani profesor - ten diament wyszlifować. Mogłam iść na studia wyższe, ale ja trzy lata później zaczęłam szkołę średnią, więc dyrektorka, pani Boczarowa, stwierdziła: *A co będziemy ją tu trzymać, dajmy jej wyróżnienie, niech idzie, ludziom śpiewa*. I tak właśnie było. Zresztą i tak po szkole musiałam iść do pracy, zarabiać na chleb. A to, że umiałam zarobić, dało mi poczucie, że sobie poradzę.

**Trzy i pół roku śpiewałam w operetce warszawskiej.**

Gwiazdami operetki byli wtedy Beata Artemska i Mieczysław Wojnicki. Od Artemskiej nauczyłam się chodzić po scenie w długiej sukni i posługiwać się wachlarzem. Byłam jej dublerką. Upatrzyła mnie sobie w sztuce *Panna Wodna* wg tekstu Dołęgi - Mostowicza. Tam grałam taką wariatkę - Bobulińską, co to kręci różne biznesy, ciągle w biegu, szybka, keep smiling itd. Ta rola się bardzo podobała publiczności, ale jak ja dostałam duże brawa, to Artemska nie pozwoliła podać mi kwiatów do garderoby... Tak, divy miały swoje humorki, ale ja się nie zrażałam. Nauczyłam się od niej, czego mogłam i jak wyszłam na wielką scenę, to wszyscy się dziwili, że tak się umiem odnaleźć, tak poruszać



... Z Wojnickim też miałam kiedyś małą scysję. Byłam wtedy nowa, stałam za kulisami i akurat miałam zaraz wyjść na scenę. On grał w *Studencie Żebraku* takiego oficera Olenbacha, czy jakoś tak się nazywał... Słuchaj, on był taki piękny w tym mundurze, jeszcze z epoletami... Białe buty skórzane, pejcz w rękę. Tak stałam, patrzyłam, a on tym pejczem sobie uderzał po nodze... Nagle popatrzył na mnie wyzywająco i spytał: *To co, już się pani kocha we mnie? A ja na to: Muszę pana zmartwić, ale pan jest zupełnie nie w moim typie.* (śmiech) Spurpurowiał i myślałam, że tym pejczem zaraz mnie smagnie. No, ale faktem było, że gdy on wychodził na scenę, to babki miękły... Był uroczy. Taki prawdziwy lowelas, co to wyszedł z *Moulin Rouge*. Nie on zresztą jeden taki był. Widzieli, że jestem młoda, to zaraz składali oferty – *ja ci to załatwię, ja ci tamto załatwię...* A ja mówiłam, że jestem Zosia Samosia i sama sobie poradzę.

Głosy, że jestem zdolna, dotarły aż do Ministerstwa Kultury, a że miałam wyróżnienie na dyplomie, to wezwano mnie tam na rozmowę. *Byłaś naszą stypendystką, a teraz zadowala cię śpiewanie w chórze?* – tak mnie zapytali. Nie zadowalało mnie, ale w operze warszawskiej nie mogłam śpiewać, bo tam dyrygentem był mój były mąż, który powiedział, że dla nas dwojga tam miejsca nie ma.

**Wtedy okazało się, że w Łodzi tworzy się Teatr Wielki.**

Pojechałam tam więc na rozmowę z profesorem Zygmuntem Latoszewskim, który był wtedy dyrektorem od spraw artystycznych. Mój ukochany dyrektor..., już go niestety nie ma. No

i Latoszewski mówi: *Wie pani, strasznie ubolewam, ale mamy 13 własnych sopranów, nam sopranów są po prostu niepotrzebne.* Myślę sobie...trudno. Powiedziałam *przepraszam*, chwyciłam za klamkę i chciałam wyjść, ale Latoszewski popatrzył i mówi: *No, skoro już pani przyjechała, to proszę zaśpiewać.* No i od razu zostałam przyjęta (śmiech). Śpiewałam między innymi arię Lili, a tam są na końcu takie słowa: *Więcej już nie mam nic do powiedzenia, racz panie wybaczyć, żem tu przyszła i nudziła...* Na to dyrektor wstał i mówi: *Ależ myśmy się wcale nie nudzili, pięknie pani śpiewała, a jaka muzykalna...* Wtedy się zaczął dla mnie młyn. Dwa lata trwały przygotowania do premier. W 1967 roku, roku otwarcia, wystawiliśmy 4 opery, a ja brałam udział w dwóch. Było oczywiście mnóstwo zawistnych koleżanek, które sarkają, że *przyszła nowa z Warszawy i coś tam...* I całe życie tam takie miałam. Na szczęście zawsze byłam dysponowana, dobrze przygotowana i nie mogły mi nic zarzucić. Ale ten lokalny patriotyzm był tam wręcz fanatyczny.

Pamiętam swoją pierwszą próbę. To było dla mnie wielkie święto, bo scena ciągle pachniała drewnem. Widownia jeszcze nie miała krzesel, były tylko czyściutki deski. Rozbito szampana, by tradycyjnie otworzyć teatr, a ja do dziś mam kawałek szkła z tej butelki, opisany, że to właśnie z chrzcin teatru. Pamiętam, że uklękałam i pocałowałam te deski. To była dla mnie wspaniała rzecz brać udział w tworzeniu tego miejsca.

Gdy się dostałam do łódzkiego teatru, traktowano mnie jak „nową miotłę, którą trzeba wszystko zamiać”. W każdej roli mnie obsadzali, bo miałam łatwość uczenia się.



Estrada Sopocka, Artos, w roli wodewilistki z Edwardem Ożaną - 1955 r.



Operetka Warszawska, Ptasznik z Tyrolu - 1963 r.



Operetka Warszawska, Student Żebrak  
Cellera, z koleżankami ...w przerwach  
grałyśmy w brydża...



Ślub ze Zbyszkim Piekutowskim ...  
miał niebieskie oczy i zęby tak białe, że aż  
błękitne, więc mówiłam na niego Chabe-  
rek... - Warszawa; 20 października  
1966 r.



# SOLIŚCI ŚPIEWACY

## SOPRANY



DELFINA AMBROZIAK  
TERESA MAY CZYŻOWSKA



JAJNIA HAMERNIK  
WINA KUREWICZ



WERA KUZMINSKA  
EWELINA KWAŚNIEWSKA



JADWIGA PIETRASZKIEWICZ  
DANUTA PRUSKA

Sopranistki Teatru Wielkiego w Łodzi



*Carmen*, w roli Fraskity, z boku Jurek Antypowicz - 1967 r.



*Halka Moniuszki*, z prawej Antoni Majak, z lewej Jerzy Jączak - 1967 r.



*Zemsta nietoperza*, jako Rosalinda - 1968 r.

Nawet jeśli mówiłam, że to nie na mój głos, to słyszałam: *Ty tylko zobaczysz okładkę nut i już możesz śpiewać...* Ale to było tak, jakby ci codziennie dawali tort. W końcu powiesz: *on jest bardzo pyszny, ale ja już nie mogę*. Tak jak teraz w mediach się uwezmą na jakiegoś artystę, to go zawsze pełno w radiu, telewizji i gazecie. Dochodziło do różnych nieporozumień, bo koleżanki też chciały w czymś wystąpić, a znów mnie obsadzali. W *Zemście nietoperza* rolę Rozalindy śpiewałam przez 6 lat. Sama. Bez dublerki. Ani razu nie zaważyłam. Raz zdarzyło się tak, że zachorowałam na gardło. Zadzwoiłam do teatru, bo miałam oczywiście obowiązek ich powiadomić. Gdyby była dublerka, to by ją na scenę sprowadzili, ale byłam sama i musieli coś wymyślić. Dzwonię i mówię, że nie zaśpiewam, bo nie mam czym, a tu zaraz zjawia się u mnie I sekretarz, Ryszard Nowaliński i mówi: *Słuchaj, wszystkie bilety sprzedane, ludzie ze wsi przyjadą!...* Ach, ten smród z widowni, ta kiełbasa, te kanapki, te nie umyte ciała... to jest nie do opisania... Czasem człowiek musiał zacząć śpiewać, a nie mógł... *To ja porozmawiam z dyrygentem* – mówi Nowaliński - i mu powiem, żeby ci zwidował nuty i usunął te większe góry. Przedstawienie musi się odbyć. I ja, idiotka, się zgodziłam. A wiadomo - ludzie zapamiętają, że kiepsko śpiewała, a nie, że wyszła na scenę chora. No, ale zgodziłam się, dla dobra teatru. Poszłam do tego dyrygenta i mówię, żeby mi zwidował to i tamto, a on na to: *Nie kochana, zaśpiewasz dzisiaj wszystko, skoro byłaś tak nie-mądra i tak pokierowałaś sprawą*. I proszę sobie wyobrazić, że ja zaśpiewałam wszystko. Podobno było to jedno z lepszych moich przedstawień, ale jak kur-

tyna poszła w dół, to razem ze mną... Straciłam przytomność z tego napięcia, nerwów, ambicji, że ja muszę. Oczywiście, gdybym nie miała dobrze wyszkolonego głosu, to bym tam nic nie wychrypiała. Miałam dobrze przygotowany „instrument”, nawet do śpiewania w niedyspozycji.

**Tak naprawdę, to wszystkie moje role były trudne.**

Bardzo odpowiadał mi Mozart, bo mam lekki i ruchliwy głos, lubiłam też śpiewać Hanne w *Strasznym dworze*. Najdłużej chyba, bo 6 lat, występowałam w *Zemście nietoperza*, którą graliśmy również gościnnie w poznańskiej operze. To był taki hit, że do końca życia moglibyśmy to wystawiać. O jego powodzeniu decydowali ulubieni artyści, ludzie przychodzili posłuchać konkretnych osób. Potem długo śpiewałam *Straszny dwór* i *Carmen*, gdzie miałam rolę Fraskity, przyjaciółki Carmen. Gdy pan Jerzy Waldorff zaczął przywozić autokary widzów z Warszawy, to fama o naszym teatrze poszła na całą Polskę. Mieliśmy takie przedsprzedaże, że nie było mowy, by przedstawienie się nie odbyło. Publiczność była różna, nieraz wspaniała, kulturalna, a nieraz to były spędy. Bilet dawano w zakładach pracy w nagrodę, albo na siłę ciągnięto młodzież ze szkół i trzeba było dodatkowych pań we foyer, żeby pilnowały porządku, bo ta banda pluła i rzucała czym popadnie w instrumenty. Do mnie strzelano nawet ze zgiętych gwoździ. W sukni miałam dwie dziury...

Przygotowanie do roli trwało bardzo długo. Wszystkiego uczyłam się na pamięć. Na szczęście miałam dobry słuch i pamięć wzrokową. Gdy pianistka po-



dała mi akord, już wiedziałam, w jakim miejscu jestem. Miałam łatwość uczenia się. A kiedy się uczyłam? Często w kuchni – przygotowywałam jakiś posiłek, obok stały nuty, na które zerkałam i sobie podśpiewywałam. Potem szłam do teatru i śpiewałam już pełnym głosem. Musiałam to „wspiewać” w taki sposób, jak u pianisty wgrzywa się utwór w palce, tak, że wie, który klawisz uderzyć. Trzeba było cały utwór „ofrazować”, podzielić oddechy. To była dość mozolna praca, ale można było zapamiętać. Poza tym w klasyce obowiązuje jednolity zapis. W Magdeburgu mogłam śpiewać bez próby, bo wykonywaliśmy utwór według klasycznego opisu. Dzięki niemu każdy muzyk z muzykiem się porozumie.

Jeśli chodzi o przygotowania do przedstawienia w naszym teatrze, to najpierw była praca indywidualna, potem ansamble, czyli tercety, kwartety itd. Jak już to zaczynało „grać”, odbywały się duże ansamblówki z orkiestrą - pierwsza obsada, druga obsada. Oczywiście za każdym razem było także szycie strojów. Te przymiarki! Suknia miała 12 czy 14 metrów materiału w klosz! Salka mała, ja na taborecie musiałam się obracać jak wirniczek, a krawcowa linijką mierzyła wysokość od podłogi i kredą zaznaczała, gdzie podwinąć. Słyszałam tylko takie „szsz, szsz” - odgłos tej kredy i z każdą chwilą byłam coraz bardziej zgrzana w tych zwojach materiału. Przed próbą generalną były jeszcze pokazy kostiumów, no i czasem były dobre, a czasem wymagały poprawki.

Oczywiście musiałam znać nie tylko to, co ja śpiewam, ale także wiedzieć, na czym poprzednik kończy i to, czym następny zacznie. Trzeba też było

umieć zachować zimną krew, jeśli coś poszło nie tak... Kiedyś, pamiętam, w *Uprowadzeniu z Seraju* miałam być skazana na gilotynę i basza turecki pozwolił mi pożegnać się z ukochanym. Liryczna chwila, siedzę w pięknej sukni, on wpada na scenę, klęka przede mną, głowę kładzie mi na kolana i nagle słyszę: *O cholera, szelki!* Jak się zgiął, to się odpięły. Wiedziałam, że zaraz dostanę nimi w zęby, więc zaczęłam go głąskać po plecach, żeby je przytrzymać i jakoś zmniejszyć siłę uderzenia tych szelek. (śmiech) A potem ci, którzy byli za kulisami pytali: *Coś ty go tak głąskała, już tak blisko jesteście?*

Takie pytania padały zresztą często, bo - jak każde małe środowisko - i to operowe było rozplotkowane i podzielone rywalizacją i intrygami. Pamiętam, w *Strasznym dworze* przyszło mi śpiewać z primadonną opery łódzkiej, panią A. Jak były zdjęcia w kostiumach, to ona nie dała mi nigdy do zdjęć kapelusza, który miałyśmy „na spółkę”. To było takie... małe. A co najdziwniejsze, była wybitną śpiewaczką, miała piękny głos, zdobywała pierwsze nagrody na konkursach wokalnych. Nie musiała nic udowadniać, a była zazdrosna o wszystko, choć i tak zawsze miała przywileje. W miesiącu miała do zaśpiewania 5 przedstawień, reszta, którą zaśpiewała była odpowiednio płatna. Ja miałam normę 17 przedstawień, nigdy tylu nie zaśpiewałam, 13 - 14 góra. A jeszcze prowadziła różne gry. W *Strasznym dworze* jest na końcu taka wysoka nuta, z którą ona nie dawała sobie rady, a ja owszem. Poszła więc do dyrektora i powiedziała mu, że ta nuta na końcu jest niepotrzebna, trzeba ją zwiadować... Ale lubiana za bardzo nie

była. Jak mi szewc zrobił piękne, wygodne buty i poszłam mu podziękować, to pukała się w czoło. A ja miałam fantastyczne kontakty ze wszystkimi.

Wracając do samych przedstawień... Nigdy nie mogłam się od razu rozstać z rolą. Gdy wracałam do domu, ona wracała ze mną, jak film. Bałam się też, żeby nie popaść w rutynę, bo gdy wiadomo, że w tym miejscu zrobię tak, a w tym tak, to jest to bardzo możliwe. A mnie chętnie oglądano, bo starałam się śpiewać zawsze trochę inaczej. Oczywiście, nie zawsze wszystko wychodziło idealnie, szczególnie, że to były trudne role. W *Uprowadzeniu z Seraju*, jako Konstancja, miałam do wykonania przepiękną, ale bardzo trudną arię. Kiedyś weszłam nie w tę nutę – jakieś dwie nuty dalej. Dyrygent dał znak, orkiestra przeskoczyła i jakoś sobie poradziła, więc graliśmy dalej. Myślę sobie potem - muszę iść przeprosić... Biegnę, więc do gabinetu dyrektora, a przedstawienie wtedy prowadził Mietek Wojciechowski, bardzo fajny facet, i mówię: *Panie dyrektorze, przyszedłam pana przeprosić...* A on na to: *Kochana, ja biegłem do pani, żeby pani pogratulować, że się pani w tym gównie w ogóle potapała!* (śmiej). Ech, przygód na scenie było mnóstwo.

### Dziś sceniczne wypadki opowiadam jako anegdoty.

Podczas któregoś przedstawienia wychodziłam na scenę w różowej sukni, z pięknym, dużym wachlarzem. Zrobiłam pierwszy krok i tak mnie coś szarpnęło do tyłu, że nie mogłam się ruszyć. Zrobiłam jeszcze raz krok do przodu, uwolniłam się od tego czegoś, wyszłam na scenę i... przyspieszyłam tempo wykonania, tak mnie nerwy po-

niosły. Skończyłam śpiewanie, weszłam za kulisy i mówię do inspicjenta: *Słuchaj, jak mi będziesz jeszcze takie dowcipy robił, to wylecisz z tego teatru!* A on na to: *Tak? To cię następnym razem puszcze na scenę. Wiesz co ty wiozłaś ze sobą na sukni?* – *No nie wiem... ? - Biustonosz ci się zahaczył o koronki!..* A on go przydepotywał, żebym tak nie wyszła. (śmiej)

Moi koledzy też miewali różne historie... Jeden z nich śpiewał kiedyś akurat w operze wagnerowskiej. Stroje były ciężkie, wszystko w pluszach, zawojach. No i kolega przed wyjściem na scenę poczuł, że musi iść do toalety. Tyle, że nie na siusiu, tylko to drugie. Był już ubrany, więc zdążył bez problemu. Z drugim solistą śpiewają scenę kłótni – jeden drugiemu coś tam wygarnia, no i ten drugi szarpie tego od toalety za tunikę... Jak szarpnął tą tunikę, to coś z niej wypadło na scenę. Patrzy - gówno! (śmiej). Skończył swoje śpiewanie i wyszedł, a ten drugi, co został z tym na scenie, potem mówił: *Jasna cholera, to ja do tego gówna musiałem śpiewać!* (śmiej) To się nie da opisać, to trzeba przeżyć. I trzeba się umieć znaleźć w takiej sytuacji.

Mieliśmy też innego kolegę, już niezującego Krzysia Hartwiga. Był pięknym mężczyzną, wspaniale śpiewającym barytonem... Niestety lubił alkohol. Kiedy miał wolne, szedł do SPATiF-u na wódkę. Zdarzyło się tak, że śpiewał rolę na przemian z dublerem. Pewnego razu dubler zachorował, więc trzeba było Krzyśka wziąć na scenę. Szukali go wszędzie, w końcu zajrzeli do baru, no i znaleźli go, ale w stanie nie do użycia (śmiej). Nie było jednak wyjścia, więc wbili go w kostium - to chyba była *Zemsta nietoperza*, gdzie grał Hrabiego i wypuścili

na scenę... Muzyka idzie, sufler mu podpowiada słowa, jakie ma zaśpiewać, a on się do niego odwraca i pyta takim „zachwianym” głosem: *Aaaa... melooodia?* (śmiech).

Ten sam Krzysio był bohaterem i innej sytuacji. Było to w trakcie opery Pucciniego *Madame Butterfly*. Sceneria: piękne, kwitnące wiśnie, japońskie domki. Dekoracje wjeżdżały na scenę w zależności od potrzeby. W trakcie tego przedstawienia do teatru przyszedł Krzysio. Ze swoją suczką, owczarką kudłatą. I ten pies mu gdzieś uciekł. Jak go zaczął szukać, to się znalazł za kulisami. Skutek był taki, że gdy po raz kolejny na scenę wyjechały kwitnące wiśnie, to pośrodku nich stał Krzysio w bułgarskim kożusku i z pieskiem na ręku... (śmiech) Był taki ryk z widowni, że orkiestra nie mogła trafić instrumentami do ust... Żeby się chociaż w jakimś kostiumie tam zaplątał, ale w kożusku! Potem, ponieważ miał różne wyskoki, zakazano mu przychodzić do teatru wtedy, gdy nie grał.

Innym razem koledzy zrobili dyrektorowi ciekawą „niespodziankę”. Wszystkie dekoracje malowane na wielkich płachtach materiału były zwijane w rulony i przechowywane w nieklimatyzowanym pomieszczeniu. Ludzie nie chcieli tam pracować, bo było okropnie gorąco, a do każdego przedstawienia trzeba było te dekoracje wyciągać. Skargi do dyrekcji nic nie dawały, chociaż było tam z 50 stopni. Wreszcie koledzy wzięli się na sposób. Kupili 40 jajek i zostawili w tym pomieszczeniu... Po jakimś czasie wylęgły się kurczaki. I te kurczaki zaprowadzili do dyrektora. Komedia...

Anegdota brała się i z wpadek zawodowych, i z bujnego życia towarzy-

skiego, jakie niektórzy, zwłaszcza panowie, bardzo lubili. Panie to raczej dbały, żeby się wyspać. I gustowały w panach, i intrygach damsko - męskich. Działy się różne rzeczy, jedna drugiej odbijała sympatie, aż trudno pomyśleć, że takie pomysły przychodziły im do głowy. O role walczyły, o mężczyzn walczyły...

A ci mężczyźni jak potulne barany - raz szedł do tej, raz do innej.

### 1969 rok - astronauta na Księżycu i Piekutowscy adoptowali dziecko.

Nie udzielałam się towarzysko, bo już miałam rodzinę. Swojego męża poznałam w operetce warszawskiej, w której pracowałam od 1962 do 1965 roku. Mieszkaliśmy blisko siebie. Poznaliśmy się, gdy już odeszła od niego żona. Podwoził mnie do pracy skuterem. W 1966 roku pobraliśmy się, w Urzędzie Stanu Cywilnego Praga Północ w Warszawie. Potem pracowaliśmy razem w łódzkim teatrze, ale nikt nie wiedział, że jesteśmy małżeństwem. On pracował na innym piętrze, ja na innym. Był inspektorem chóru. Kiedyś nawet miała miejsce taka zabawna scena, że moja koleżanka z garderoby - Halinka, taka rozrabiara, mówi do mnie tak: *Wiesz, ludzie to już nie mają sumienia, co oni nie wygadują, już nawet za ciebie się wzięli!* - *Tak, a co mówią?* - *pytam.* - *Wszyscy mówią, że ty żyjesz z inspektorem chóru.* - *No, popatrz,* - *mówię* - *święństwo straszne. No, ale nie spać z własnym mężem?* (śmiech).

Gdy już potem wszyscy wiedzieli o naszym małżeństwie, miała miejsce inna śmieszna sytuacja. Mój mąż, jak się ekscytował, to się trochę zaczynał jakać. No i kiedyś przychodzi do pracy, z portierni bierze klucze, a portier mówi: *Panie Jurkiewicz, tu jest list do*



pana. A mąż na to: *Piepiepiekutowski się nazywam*. I poszedł. (śmiej)

Najbardziej roztrzęsanymi w naszej operze w 1969 roku wydarzeniami było to, że astronauta wylądowali na Księżycu i że Piekutowscy adoptowali dziecko... Pamiętam, że prośbę o adopcję dziecka złożyliśmy przed wyjazdem na turne do Gruzji. Gdy wróciliśmy, znaleźliśmy w skrzynce list z informacją, że są dwie dziewczynki do adopcji, starsza i młodsza. Zapytałam wtedy dyrektora Domu Dziecka, co on mi radzi. Monika miała wtedy 5 lat, a tamta dziewczynka niecałe 3. Podpowiedział mi, że starsze dziecko można lepiej zbadać, zobaczyć, jakim dysponuje potencjałem. . No i wzięliśmy właśnie Monikę. Miałam co robić. Monika była nie do końca sprawna psychicznie, a w domu – jak mawiałam – był jeszcze pies, kanarek, działka i mąż flegmatyk. (śmiej) Ale dawałam sobie radę. Pracowałam nie tylko na miejscu, ale i za granicą, w Niemczech. Miałam możliwość śpiewania na różnych scenach, ale zawsze wracałam do dziecka.

**Rolę Królowej Nocy w Magdeburgu dostałam przypadkowo. A może właśnie dlatego, że miałam szczęście...**

Kiedys koleżanka z teatru widząc, że mam pierścień ze skarabeuszem, zapytała mnie, czy wiem, że on przynosi szczęście. Odparłam, że jakoś dotąd tego nie zauważyłam, więc ona zadała mi kolejne pytanie o to, czy śpiewam Królową Nocy. Odpowiedziałam, że śpiewałam na dyplomie jedną z arii. Zapytała więc, czy szybko się uczę... *Złóśliwi mówią, że jak tylko zobaczę nuty, to śpiewam* – odparłam. - *A czy chciałabyś*

*zaśpiewać Królową Nocy w Niemczech?* - padło kolejne pytanie. Oczywiście, że chciałam, tylko skąd wziąć paszport, pozwolenie na wyjazd? Załatwianie takich rzeczy trwało zawsze strasznie długo. Ale ona była żoną człowieka, który dla Gierka pisał przemówienia i miała wszędzie „dojścia”. Gdy skończyła karierę śpiewaczą, załatwiła sobie w Magdeburgu stypendium reżyserskie i tam właśnie miał być wystawiany *Zaczarowany flet*. Niby już mieli śpiewaczkę, ale jak przyszło co do czego, okazało się, że ona w ogóle tych dźwięków nie śpiewa. A rola Królowej Nocy jest złożona z najwyższych dźwięków, jakie są w literaturze sopranowej. Alicja - znając mnie - powiedziała, że przywiezie im z Polski Królową Nocy. Mówiłam też i pisałam biegle po niemiecku, więc bardzo im to odpowiadało. Wszystko mi załatwiła. I paszport, i pozwolenia, i kontrakt.

Mój pierwszy wyjazd do Magdeburga był pamiętny. Prosto z pociągu, po około 17. Godzinach podróży w dusznym przedziale, wyszłam na scenę. Na widowni tłum ludzi, którzy chcą mnie posłuchać, bo i dyrekcja, i wielu innych. Śpiewam jedną arię, śpiewam drugą arię, a na widowni kompletna cisza... Nie wytrzymałam i pytam: *Kiedy jest najbliższy pociąg do Polski?* A z widowni odzywa się głos: *Jaki pociąg do Polski, tam krawcowa na panią czeka!* (śmiej) Tak ich zamurowało, że po długiej podróży zaśpiewałam dwie wielkie arie, że się nie odzywali. W Niemczech jest zupełnie inna kultura słuchania muzyki, szczególnie operowej. Na jedną operę chodzi się po kilka razy. I wiem, że wtedy publiczność pytała: *Kiedy przyleci ten słowik z Polski?*. To takie miłe wspom-

nienia. Śpiewałam w Halle i Sale, bo jak się dowiedzieli, że jest taka solistka, to i w innych miastach wystawiali *Zaczarowany flet*. Spędziłam kilka lat na niemieckich scenach. Tam zobaczyłam, że u nas wcale nie jest tak źle. W Polsce stroje miałam piękne, a tam? Jak mnie garderobiane ubrały w workową suknię z pomarańczowo-zielonym brokatem, wyglądałam okropnie... Gdy im pokazałam, jakie w Polsce mam stroje, to były zaszokowane... *Hilfe*- krzyczały!

Ale to jeszcze nic! Żeby śpiewać, trzeba mieć luźne gardło i postawę. A ci kochani Niemcy, pozbawieni absolutnie fantazji, zrobili mi na głowę ogromny hełm, który ważył... – o tutaj jest na zdjęciu... i on mnie ciągnął do tyłu tak, że w ogóle nie mogłam wydać z siebie dźwięku. *Ich kann nicht singen...* -mówiłam, ale jakoś musiałam sobie z tym poradzić. Wymyśliłam więc, że usiądę i oprę głowę o scenografię za mną. I tak się nauczyłam śpiewać, co jeszcze dodało demonizmu mojej postaci. Pracowałam przy tym przedstawieniu z artystami z całej Europy. Niemki to były takie „pitu - pitu”. U nas jak się głos wydało, to poleciał. A tam wszystko musiało być równo. Te końcówki : *gesagt, gegeben...* Bez polotu. No, ale trzeba było się dostosować...

Do polskiej Królowej Nocy zresztą też wymyślili atrakcję – musiałam chodzić na koturnach, które miały 23 centymetry wysokości! A na scenie, na podestach, rozłożone były tkaniny w kolorach ziemi. Wszystko w kawałkach, można się zahaczyć o brzeg... Myślałam tylko, jak ja mam przejść przez te szmaty nie padłszy na twarz... ? Dali mi na szczęście dwóch paziów,

więc przechodziłam przez scenę, wspierając się na nich.

W Niemczech do pierwszej arii wychodziłam spod ziemi. Był taki stary dźwig w piwnicy, stawałam na podeście i „wykręcali” mnie do góry. Jeden człowiek nie dawał rady, bo to był ciężar. Nieraz nie wychodziło to tak płynnie – jechałam, jechałam, nagle ups..... - stoję, a głowa już na scenie. (śmiech)

W czasie pobytów w Niemczech mieszkałam u pani, która też była kiedyś solistką w tym teatrze. Ona wiedziała, czego śpiewaczce potrzeba – spokoju, snu, dobrego jedzenia i mi to wszystko zapewniała. Nazywała się Ilze Szade. Bardzo mnie lubiła, z wzajemnością zresztą. Na początku mieli mi załatwić pokój hotelowy, ale za pierwszym razem zapomnieli to zrobić, więc ona zabrała mnie do siebie i tak zostało. Gdy przyjeżdżałam, wszystko było przygotowane, nawet mój ulubiony budyń. Ja zawsze rewanżowałam się jej masażem pleców.

**Współpracowałam także z Filharmonią Łódzką (czyli o dorszu po bosmańsku).**

Pensja z samego Teatru Wielkiego nie do końca wystarczała na normalne życie, więc szukało się zajęć, dających dodatkowe gratyfikacje. W filharmonii działały zespoły artystów jeżdżące, zgodnie z pewnym programem, do przedszkoli, szkół podstawowych, liceów, krzewiąc – tak zwaną – kulturę muzyczną. Trzeba było oczywiście nauczyć się repertuaru i być dyspozycyjnym, bo wyjeżdżaliśmy czasem na 2 lub 3 tygodnie. Moja koleżanka - Zosia Widerska - była szefową tej naszej grupy. Z przyjemnością wymieniam to nazwisko, bo wiele jej zawdzięczam i wiele się od niej nauczyłam.

Z tych wyjazdów najbardziej utkwiło mi w pamięci jedno zdarzenie. To były lata 70., żywiliśmy się w barach mlecznych. Raz trafiło się na coś dobrego, świeżego, a drugi raz nie. Ta właśnie Zosia, któregoś razu w czasie wyjazdu w okolice Torunia, mówi do mnie: *Słuchaj, tu jest taka niepozorna knajpka, ale dają smacznie zjeść. Pójdziemy na dobrego dorsza po bosmańsku*. No, więc poszliśmy... Następnego dnia miałyśmy audycję w Toruniu. Jest tam ogromna szkoła w starym, gotyckim budynku. Ogromne schody w górę i dół. Kolos. Aula koncertowa na samej górze. Siedzę w gabinecie nauczycielskim i szykuję się do wyjścia. Zosia już poszła robić wprowadzenie. Śpiewaliśmy wtedy *Piękną Helenę* Jakuba Offenbacha. Wspaniała muzyka, młodzież już czekała. No i już mam wychodzić, ale czuję, że coś mi w brzuchu tak zakręciło, że muszę natychmiast gdzieś trafić... Siedziała tam nauczycielka, więc mówię: *Proszę pani, muszę natychmiast do toalety*. Ona na to: *Niestety, toalety są na samym dole, w piwnicy*. Trzeba było pokonać ogromne dwa pięta, długie korytarze, to wszystko nieogrzone, światła ledwie, ledwie, żarówki pod sufitem chyba 25.watowe. No, ale trafiłam tam... po zapachu. Okazało się, że nie ma zamykanych drzwi, tylko są takie kabiny z dziurami na nogi, wystarczy się wypiąć i wszystko idzie w odpowiednim kierunku. Ledwie zdążyłam się nastawić, poczułam ulgę. Zdziwiłam się jednak, bo nie było słychać żadnego dźwięku. Myślę sobie, kiego licha... A kieckę miałam taką szeroką, z anilany. Podrywam ją do góry... i w tym momencie to, co było w sukni mam w koku, w rękawach, wszędzie. A za chwilę mam wyjść do śpiewania.

Wyskoczyłam z tej pułapki, patrzę stoi dziewczyna, pali papierosa. Krzyczę do niej: *Ratuj! Daj waty, szmaty, co masz!* Był też kran z podłączonym szlauchem, więc niewiele myśląc wzięłam ten szlauch i zaczęłam łać po sobie wodę. A zimno było jak cholera - styczeń, 19 stopni mrozu. Ona mi przyniosła jakąś watę, zaczęłam się wycierać. Zdjęłam buty, bo w nich też już było mokro, no i się jakoś doprowadziłam do względnego porządku. W ostatniej chwili wpadłam na scenę. Stał na niej fortepian i wielki filodendron, więc wpakowałam się między ten filodendron, a fortepian i zaczęłam śpiewać. A tekst na początku jest taki: *Widzicie go starego łgarza, jak bezpodstawnie mnie obraża - ja, która nie mam większych plam, ja, której nie poderwał Parys sam*. No, a ja cała w plamach... (śmiech). Wzięłam takie tempo, że pianistka tylko na mnie zerknęła, a ja śpiewałam coraz szybciej. Zeszliśmy ze sceny, a ona pyta, co się stało. *Dotknij mnie - mówię*. Zobaczyła, że jestem cała mokra, podeszła i mówi: *O Jezu, jak Ty śmierdzisz*. I tak miałam szczęście w tym wszystkim, bo przeprowadzaliśmy się właśnie z Torunia do Włocławka i w samochodzie mieliśmy cały bagaż, więc mogłam się zaraz przebrać. Było to niezapomniane przeżycie. (śmiech) Kiedyś Adam Halber robił nocne audycje w radiu, w których opowiadał o operowych zdarzeniach, anegdotach i ja mu tę anegdotę opowiedziałam na antenie. Krzyczał wtedy w słuchawkę: *Naprawdę!?! Naprawdę?!*, bo nie mógł uwierzyć w tę historię. Koledzy też potem prosili wiele razy: *A opowiedz, jak to było z tą sukieneczką, jak ją podniosłaś - i w koczek, i w koczek*. (śmiech) I tak to było z tym dorszem po bosmańsku...



Oprócz tego dorsza, w pamięci naszej wyjazdowej ekipy utkwiło wydarzenie nazywane przez nas „koncertem z myszką”. Na trasie Toruń – Bydgoszcz – Inowrocław, w poniedziałek, o 8 rano rozpoczęliśmy koncert na jakiejś kolejnej szkolnej sali gimnastycznej. Władzio Maniak siedział wtedy przy fortepianie, no i żeby tak wszystkich obudzić, rąbnął porządnie w klawiaturę. W tym momencie z widowni usłyszeliśmy straszny krzyk i pisk, patrzymy, a jedna z nauczycielek rzuciła torebkę i wskoczyła na drabinki przy ścianie. Z torebki posypały się szminki, lusterka i różne inne cuda, a dzieci w śmiech i krzyczą: *Mysz! Mysz!* Władzio, jak uderzył w te klawisze, to zbudził..., ale nie widownię, tylko myszkę, co spała w fortepianie i ona biedna rzuciła się do ucieczki. Jak już skończyliśmy, nasz kochany pianista powiedział: *Dziękujemy państwu, to już koniec naszego koncertu z myszką.*

W przedszkolach też bywało zabawnie. Wykonywałam tam pieśni Szuberta i wśród nich taką śliczną kołysankę. Raz pani prowadząca koncert zapowiedziała maluchom: *Teraz kochane dzieci pani Irena wam zaśpiewa taką piękną pieśń niemieckiego autora...* Szubert – jaki Niemiec...? A te dzieci od razu w krzyk: *Niemcy są niedobrzy, strzelali do nas!* - *Ale to był taki bardzo dobry Niemiec* – pani im odpowiedziała i tak zostało. Gdy śpiewałam Szuberta, to mówiliśmy, że to tego „dobrego Niemca”.

Któregoś razu się zdarzyło, że śpiewałam dzieciom, które były akurat po śniadaniu. Starsze siedziały na ławkach, młodsze na dywanie po turecku. Jednemu z tych maluchów podczas mojego występu, tak główka opadała,

tak opadała, aż zasnęła. Zawsze się śmiałam, że to była najpiękniejsza recenzja mojego śpiewania, chociaż zdarzyło się nawet, że w Moskwie w 1962 roku, śpiewałam dla Chruszczowa.

**Cieszyło mnie to, że w tych różnych miejscach mogłam występować z osobowościami opery tamtego czasu.**

W Łodzi występowałam z panią Antoniną Kawecką, która śpiewała *Carmen*. W Magdeburgu śpiewałam z obcokrajowcami z całej Europy, wzięłam też ze sobą Jasia Kunerta z Łodzi. Teresa Maj – Czyżowska była wspaiała w *Uprowadzeniu z Seraju*. Przez to, że jeździła do Japonii śpiewać *Halkę* - a to ciężka i gęsta rola – miała potem trudności ze śpiewaniem Królowej Nocy, więc na prośbę naszego kochanego dyrektora Kazia Dejmeka, zastąpiłam ją. Dejmek zresztą był kolejnym wspaniałym człowiekiem sceny. Kiedyś, pamiętam, w przerwie próby, gdy wszyscy pobiegli do bufetu, patrzę, a ten nasz Kazio Dejmek stoi w kanale i kombinuje. Podeszłam i pytam: *Panie dyrektorze, może coś do jedzenia przynieść?* - *Tak, tak. Paczkę papierosów i wiadro z wodą.* Nie wolno mu było palić, więc co zapalił, to zaraz gasił, a odpalał jednego papierosa, od drugiego. Wspaniałymi dyrektorami artystycznymi byli też Bogusław Madej, Kazio Kowalski ... Potem już nasz teatr leciał na pysk. Wiesz, jak jest. Jak ktoś jest mierny, to się musi otoczyć jeszcze większą miernością, żeby wypłynąć. I koniec kropka. A nasz teatr swego czasu naprawdę sływał.

Oprócz kontaktów z tymi „wielkimi”, były też wspaniałe kontakty z kolegami. Każdy coś wnosił, każdy miał

osobowość. Gdy jeszcze nie miałam własnego mieszkania i mieszkałam tuż przy teatrze na Narutowicza, przy Placu Dąbrowskiego, gdzie się znajduje opera, te kontakty były bardzo żywe. Mieszkaliśmy tam w 6-7 rodzin, wszyscy z opery. I dyrektor Latoszewski, i moje pianistki, i klarncista Wacuś. To był przekochany kolega, tylko wódka go zgubiła. Był Krzysio Krawczyk, który przyjaźnił się z Krzysiem Hartwigiem, potem był jeszcze trzeci Krzysztof. Ci trzej wszędzie chodzili razem.

W chórze był też świetny chłopak ze wsi, taki Janko Muzykant. A koledzy ciągle mu przyczepiali na plecach kartki: *Sprzedam furę siana albo Słoma ci z butów wychodzi ...* Jakiś czas to trwało, a on po cichu skończył szkołę średnią, potem studia i został panem dyrygentem... Ale wszystkim było łyso! Tylko jego żona wstydziła się, że jest ze wsi. Bała się nas, nie wiedziała, jak z nami rozmawiać. On jej mówił, że przecież jesteście zwykłymi ludźmi. W końcu dała się zaprosić do garderoby. I zapamiętałam taki obrazek: klarncista Rysio, kawalarz nie z tej ziemi, wyszedł z kanału po zakończonym graniu i ciągnie za sobą na pasku swój klarnet, jak psa, drugi jakoś też nietypowo niesie instrument.. a ona tak patrzy i się pyta: *Tak? To są ci normalni?*

**Czy mieliśmy jakieś przesady związane z pracą w teatrze?**

Tak, oczywiście. Nie wolno było gwizdać za kulisami, nie można było wychodzić na scenę ze szklanką herbaty. Nie wolno było, broń Boże, nosić pawich piór, bo zaraz ktoś musiał umrzeć. Nie mieliśmy jakichś wybra-

nych przedmiotów przynoszących szczęście, chociaż moim talizmanem był pierścionek mamy.

Pamiętam zresztą taką niesamowitą historię z nim związaną. Któregoś wieczoru, po długim przedstawieniu – wystawialiśmy akurat *Kniazia Igora* – wróciłam do domu i okazało się, że trzeba jeszcze wyjść na spacer z psem, moją Pusią. Był listopad, ciemno, leżało już trochę śniegu. Gdy wróciłyśmy, naniósłszy go pod butami, więc wzięłam z przedpokoju dywanik i poszłam na balkon go wytrzeć. Strzepuję i nagle patrzę, a nie mam w moim pierścionku oczka. To był koral. Matka wyjechała za granicę, a ja miałam po niej tylko ten pierścionek. Był dla mnie bardzo ważny. Potrafił zmieniać kolor - gdy się źle czułam, to się robił jasny, a jak miałam dobrą sytuację zdrowotną, był piękny koralowy.

Wzięłam malutką latareczkę i idę na dwór. Otwierają się drzwi piętro niżej – to było w tym hotelu operowym – wychodzi koleżanka i pyta: *A ciebie gdzie niesie o tej porze?* Pokazałam jej pusty pierścionek. Ona pokiwała głową i mówi: *Irena, co ty? Myślisz, że to teraz znajdziesz? Była wojna, ludzie tyle biżuterii potracili, a ty oczka będziesz szukać?* Ale ja się uparłam i idę. Nawet nie pamiętałam dokładnie, którądy szłam. Zaszłam na plac, na którym usypany był duży kopiec z gruzu, chodziłam tam z 15 – 20 minut. Igła w stogu siana, co tu dużo mówić. I wyobraź sobie, w pewnym momencie widzę kawałek czystego miejsca na ziemi, bez żadnych śmieci, a pośrodku leży mój koral. Uznałam, że to cud. Wzięłam ten koral w rękę i wracam. Znowu koleżanka wyjrzała i jak zobaczyła, że go niosę, to aż podskoczyła ze zdumienia.

Królowa Nocy w Magdeburgu - 1970 r.



Urowadzenie z Seraju w reżyserii Burlage, jako Konstancja - 1970 r.





KIEROWNIK ARTYSTYCZNY  
BOGUSŁAW MADEY  
KIEROWNIK LUDZKI  
KONSTANTYNY WYKSIK

DYREKTOR  
STANISŁAW PIETKOWSKI  
Z-CIA DYREKTORA  
ZBIGNIEW PIKUSI

WILFRIED AMMERS (MŁODZI)

## ZACZAROWANY FLET

(Jaka Zacher-Missa)

Opera w dwóch aktach  
Libretto (na. Rossini) i tekst muzyki  
Friedrich Schiller (niemiecki)  
Włódzimir Szostakowicz

KIEROWNICTWO MUZYCZNE BOGUSŁAW MADEY  
INSKRYPCJA I REŻYSERIA KAZIMIERZ DEJMKA  
SCENOGRAFIA ANDRZEJ MAJEWSKI

KIEROWNICTWO CHÓRU WŁÓDZIMIERZ PIKUSI

DYREKTOR  
ADWOKAT DREWICZ  
ADWOKAT BEZYMIA  
ADWOKAT SCENOGRAFIA  
ADWOKAT CHOROBY  
MIECYSŁAW SZYMAŃSKI  
TAMARA KOSŁOWSKA  
WISŁAWA KOSŁOWSKA  
NATALIA KOSŁOWSKA  
ZBIGNIEW PAWELC

PREMIERA 1 MARCA 1973

TEL. 042 261 11 11

KIEROWNIK ARTYSTYCZNY  
BOGUSŁAW MADEY  
KIEROWNIK LUDZKI  
KONSTANTYNY WYKSIK

DYREKTOR  
STANISŁAW PIETKOWSKI  
Z-CIA DYREKTORA  
ZBIGNIEW PIKUSI

WILFRIED AMMERS (MŁODZI)

## ZACZAROWANY FLET

(Jaka Zacher-Missa)

Opera w dwóch aktach  
Libretto (na. Rossini) i tekst muzyki  
Friedrich Schiller (niemiecki)  
Włódzimir Szostakowicz

KIEROWNICTWO MUZYCZNE BOGUSŁAW MADEY  
INSKRYPCJA I REŻYSERIA KAZIMIERZ DEJMKA  
SCENOGRAFIA ANDRZEJ MAJEWSKI

KIEROWNICTWO CHÓRU WŁÓDZIMIERZ PIKUSI

DYREKTOR  
ADWOKAT DREWICZ  
ADWOKAT BEZYMIA  
ADWOKAT SCENOGRAFIA  
ADWOKAT CHOROBY  
MIECYSŁAW SZYMAŃSKI  
TAMARA KOSŁOWSKA  
WISŁAWA KOSŁOWSKA  
NATALIA KOSŁOWSKA  
ZBIGNIEW PAWELC

PREMIERA 1 MARCA 1973

TEL. 042 261 11 11

Program Czarodziejskiego fletu według Kazimierza Dejmki



Jako królowa Abba w *Podróżach Pana Kleksa*, z prawej Marek Nizioł, z lewej Stefan Fitas



... zawsze starałam się dbać o swoje kostiumy, bo szanowałam pracę innych...  
z garderobianą, panią Alfredą



Jako Królowa Nocy w Teatrze Wielkim w Łodzi - 1973 r.



Po przejściu na emeryturę - 1979 r.



Na emeryturę poszłam dosyć wcześnie... czyli z wielkiej sceny do małego miasteczka

W Łódzkim Teatrze Wielkim śpiewałam 18 lat, a potem przyszedł taki moment, że moje zdrowie zaczęło szwankować. Zaczęłam przybierać na wadze, kostiumy przestały mi pasować... Głos amantki, a figura... niestety. Przecież teatr to nie jest instytucja charytatywna... Co z tego, że ta pani pięknie śpiewa - przecież wyglądać też musi... Poszłam na wcześniejszą emeryturę, bo spełniałam warunki - skończone 45 lat, 20 lat pracy na scenie. To był kwiecień 1979 roku. Początkowo jeździłam z filharmonią na te wszystkie koncerty, szkolne, przedszkolne itd. Dawałam też koncerty indywidualnie, ale nie było z tego nie wiadomo jakich dochodów. Mąż też poszedł na wcześniejszą emeryturę.

Chciałam swoje starsze lata spędzić w jakimś dobrze zorganizowanym miasteczku. Tak sobie wymarzyłam Wielkopolskę, zaczęliśmy więc z mężem śledzić anonse w gazecie. Znaleźliśmy w ten sposób - równorzędne naszemu - mieszkanie z telefonem w Nowym Tomysłu. To był 1983 rok, więc telefon był luksusem. Wzięliśmy mapy, patrzymy, gdzie ten Nowy Tomysł, a Zbyszek mówi: *Śłuchaj, tam nie widać miasta, tam są same lasy i jeziora. - No to jedziemy!* - zdecydowałam. Porozumieliliśmy się z właścicielami tego mieszkania i przyjechaliśmy na rekonesans. Oni bardzo chcieli przenieść się do dużego miasta. Oba mieszkania odpowiadały metrażem M4, więc po prostu nastąpiła zamiana. Minął zaledwie miesiąc i byliśmy w Nowym Tomysłu.

Oczywiście, przy przeprowadzce nie zabrakło przygód. Staraliśmy się przyje-

chać punktualnie o umówionej godzinie, żeby się wypakować i odstąpić tym państwu transport w drugą stronę, ale jak się zjawiliśmy, z mieszkania jeszcze nic nie było wyniesione. Nasze rzeczy znalazły się na zewnątrz. Zaczął padać deszcz i wszystko mokło, łącznie z moim pianinem. W końcu dwóch sąsiadów zobaczyło, że stoi kobieta i płacze, więc nam pomogli. Po wniesieniu naszych rzeczy do mieszkania okazało się, że meble już się nie mieszczą. Pierwszą noc przespaliśmy przy otwartych na korytarz drzwiach.

Gdy już się tu rozgościliśmy, trzeba było sobie jakoś zorganizować życie. Córka poszła do pracy. Pracowała fizycznie i dostawała trochę więcej kartek na mięso. Z panią Szponową tak się umówiliśmy, że ja jej załatwiłam przedszkole w Łodzi, blisko domu, a ona mi tutaj załatwiła wejście do konsumu milicyjnego po to mięso. Raz w miesiącu mąż chodził do sklepu, który mieścił się naprzeciwko kościoła, na placu Chopina. Wykupywał całe kartki, porpcjowało się i był spokoj.

Powoli się zadamawialiśmy, ale i tak jeszcze wszyscy nas oglądali trochę z nieufnością: *O, artyści przyjechali z dużego miasta...* A my przecież byliśmy normalnymi ludźmi, co potem odkryli i obdarzyli nas sympatią, zresztą ze wzajemnością.

Kiedyś stoję w kolejce, rozmawiam z różnymi paniami i mówię, że moje marzenie się spełniło, mam piękne mieszkanie, ale chciałabym też mieć działkę. Oczywiście zaraz jedna z pań się odezwała: *Wie pani co, jeden doktor, co ma niezagospodarowaną działkę obok mnie, musi szybko się stąd wyprowadzić, ja się z nim skontaktuję.* Kochana, w dwa dni miałam działkę! Znow mi się po-

wiodło. Działka to był mój raj, zawsze lubiałam się kłaniać ziemi i tak zostało. Początkowo nikogo tu nie znaleźliśmy, ani miejsca, ani ludzi. Po krótkim czasie się to jednak zmieniło.

### Zostaliśmy wezwani do urzędu, do pani Kornowskiej... czyli przygoda z NOK-iem

Pani Kornowska przywitała nas pytaniem: *Dlaczego Nowy Tomysl?*, na co odpowiadałam, że mój dyrektor Latoszewski był poznaniakiem i chwalił sobie porządki panujące w Wielkopolsce... Bo my rzeczywiście byliśmy zachwyceni tym, jak choćby na osiedlach, wszystko było uporządkowane. Na klatkach czyściutko, w piwnicy czyściutko, w pralni wykazy, kto kiedy będzie prał itd... Ale to spotkanie nie było wyłącznie towarzyskie, bo pani Kornowska stwierdziła, że leniuchować tutaj nie będziemy i padła propozycja współpracy z ośrodkiem kultury i biblioteką. Wtedy jeszcze dyrektorem biblioteki był świętej pamięci Czesio Krolek i jak tylko się dowiedział, że maluję, to zaraz były organizowane wystawy. Odbywałam też różne spotkania - z młodzieżą, ludźmi starszymi. Sprowadziłam moją przyjaciółkę z Gdyni, ona wystawiała swoje malarstwo, a ja śpiewałam i opowiadałam anegdoty teatralne. Ludzie chętnie przychodzili, bo nie mieli tego na co dzień.

Kiedyś podczas wystawy kwiatów - bukietów układanych przez profesjonalistów i amatorów, ja - w gronie działkowiczów - wystąpiłam ze swoją kompozycją. Z takiego ogromnego rozchodnika w kolorze lila, poprzetykanego zimowitami, zrobiłam bukiet w konwencji ikebany. Dostałam wtedy

pierwszą nagrodę - 5 tysięcy i bukiet róż. Był też "koncert kwiatowy", podczas którego grała Ola Walczak. Potem ten nasz Kroleczek zachorował. Pamiętam, jak wracał do domu trzymając się murku. Żona czekała już na niego. A on tak się kurczył i tylko ten garniturek wisiał na nim. Cienka szyjka, okulary i ten garniturek. Myślałam wtedy, że kończy się życie Czesia i kończy się pewna era w Nowym Tomysłu, bo on tu był w stanie załatwić wszystko, takie miał kontakty. Było wsparcie od niego i od pani Kornowskiej, więc życie kulturalne kwitło. Właściwie dopiero tutaj, w Nowym Tomysłu, zaczęłam żyć dla siebie.

W Nowotomyskim Ośrodku Kultury otrzymałam etat instruktora. Do pracy angażował mnie jeszcze Jurek Sukiennicki. Zajął się prowadzeniem zespołów śpiewaczych dla dzieci. Wystawialiśmy teatryki, prowadziłam zespół o charakterze słowno-muzycznym *Witaminki*.

Mąż z racji swoich zainteresowań stworzył w NOK-u pracownię modelarską, która cieszyła się ogromnym powodzeniem. Jego pasją było modelarstwo lotnicze, papierowe, ale inne modele też robił. Wraz z młodzieżą, za swoje prace zdobył dla NOK-u mnóstwo dyplomów. Lecił tam zawsze jak na złamanie karku, wynosił z domu arkusze papieru, żeby te dzieciaki miały. Ja robiłam to samo. Przerabiałam jakieś łaszki dla nich, uczyłam dzieci zasad wychowania, siedzenia przy stole, bo to wszystko nos w rękaw wycierało... Żeby ich oduczyc, zaczęłam robić tak samo. (śmiech) Jak oni na mnie patrzyli! Mówię do nich: *Teraz widzicie, tak to wygląda*. A potem się bili, kto ma koło mnie siedzieć.



W pracowni plastycznej szpitala sanatoryjnego w Ustroniu Śląskim nad Wiselką



Zbiorowa wystawa malarstwa w bibliotece – lata 80. Od lewej: Danuta Karbowska, Danuta Siarkiewicz, Irena Piekutowska i Maria Fabian.



Podczas bibliotecznej wystawy : Joanną Prątyńską





Martwa natura wykonana pastelami ... pierwsza moja próba pracy w tej technice po latach



Balbina Pisuardessa i Bogdan Górny w tle. Występ Kapeli Zza Winkla, lata 80.



25. rocznica małżeństwa -  
20 października 1991 r.

To jest moja pani Irena! A nie, bo moja! - tak się kłóciły. To były dzieci, które nie miały ciepła w domu, więc jak zobaczyły, że tu nie biją, a głaszczą i jest ta przysłowiowa marchewka, a nie kij, to przychodziły. Nieraz był dramat, bo ktoś przychodził i mówił: *Chcę być w zespole*. Brałam go do fortepianu, a to głuche jak pień, jeden wielki fałsz. I co powiem? Nie przyjmę cię, dziecko? Nie. To mówiłam: *Słuchaj, będziesz się świetnie nadawała do recytacji, do scen aktorskich*. W ten sposób zadowoleni byli wszyscy. Może nie wszyscy mieli słuch, ale mieli wyobraźnię, fantazję. Jak pięknie się nieraz poprzebierali! To były takie czasy, że mogłam coś z siebie dać, bo ja w życiu od ludzi bardzo dużo otrzymałam. Była okazja, by tym maluczkiem jakoś pomóc. Zawsze brakowało krzeseł na moich spotkaniach z dziećmi i młodzieżą. Teraz mi się kłaniają kobiety z dziećmi, a ja nie wiem kto to.

NOK to też Renatka, ten złoty promyk. Od razu się na niej poznałam. Widziałam, że to pasjonatka. Ona była też taką duszą teatru i tej młodzieży, co to się, wiesz, chwiała... I tak jest do dzisiaj. Wiem, że jeśli młodzież przychodzi do domu kultury, to przychodzi do Renaty, bo z nią można o wszystkim porozmawiać. Rzadko kiedy narzekała, była pełna optymizmu i ja też. Potem urwały się nasze kontakty, bo ja odeszłam. Nie mogłam się już wdrapywać z moim nogami po tych schodach.

Gdy kierowanie ośrodkiem kultury objęła Stanisława Hreczyńska, ja już nie pracowałam. Mąż jeszcze jakiś czas prowadził koło modelarskie, ale wtedy już zaczynał się dla niego trudny czas choroby. Pogorszyło mu się w zasadzie w momencie, gdy robił wystawę i skra-

dziono mu te wszystkie modele. Chłopaki rzucali z okien samoloty, wypuszczali na powietrze. On to bardzo przeżył. Wtedy to był już koniec ze Zbyszkciem... Tym bardziej, że choć chłopcy z pracowni wskazali, kto ukradł te samoloty, to nikt konsekwencji nie poniósł, bo to była tak zwana znikoma szkodliwość czynu...

Gdy choroba Alzheimera zaczęła panować nad mężem, stał się niebezpieczny dla otoczenia. Ja - mimo najlepszych chęci - stałam się wrogiem. Czasem rozmawialiśmy normalnie, a nagle jak coś powiedział, to można było spaść z krzesła. Stał się agresywny w stosunku do mnie, kiedyś też chciał rozkręcać rury gazowe. Lekarz zdecydował, że trzeba go umieścić w odosobnieniu, w specjalnym ośrodku. Nastąpiło 7 lat chudych... 6 lat przesiedziałam pod telefonem i spędziłam na wyjazdach do niego do szpitala albo do Łęczeczek. Warunki były tam wspańiałe, ale on już nie miał kontaktu z rzeczywistością. Jeszcze pod koniec swego życia bardzo się nacierpiał. Wskutek dolegliwości, które były pokłosiem choroby Heinego - Medina, na którą chorował w czasie okupacji, wywiązały się dodatkowe bolesne problemy jelitowe i potrzebna była operacja. No, ale wtedy nie był już za bardzo świadomy. Miał jednak taką siłę, że 6 chłopów nie mogło mu dać rady. Ciągłe im uciekał, więc niestety musieli go wiązać do łóżka. Tego się nie da opisać... Masz przyjaciela, człowieka, on nagle ginie na twoich oczach i nie możesz mu pomóc. Nic nie możesz. Po 7 latach choroby odszedł. Pogrzeb miał bardzo piękny, swoim śpiewem żegnał go nawet pan burmistrz Henryk Helwing.



*Jeden z moich obrazów podarowałam naszemu Proboszczowi,  
w podziękowaniu za piękny pogrzeb męża...*



Chciałabym podkreślić, i zawsze tak mówię, że czuję się w Nowym Tomysłu szczęśliwa. Ludzie mnie bardzo serdecznie przyjęli, ja też, co mogłam, to dawałam z siebie. Kiedyś zapraszano mnie do komisji konkursów w szkole muzycznej, ufundowaliśmy też z mężem małe stypendium dla najzdolniejszego dziecka i po takim koncercie zawsze ktoś je dostawał. Staraliśmy się dawać taki impuls, pokazywać, że nawet jeśli to jest małe miasteczko, to nieważne, bo są tu zdolni ludzie. Gdy sprzedawałam swoje pianino, w szkole muzycznej prowadziłam też trochę indywidualnych lekcji wokalnych. Pokazywałam dziewczynom, jak należy prowadzić frazę, jak oddychać.

Oprócz tego, że cieszyli mnie tu ludzie, to zawsze podobała mi się ta skala małego miasteczka. To, że nie musiałam się pchać po tramwajach, że było ciszej, spokojniej. I uroki okolicznych lasów, bo jak się moi przyjaciele dowiedzieli, że jestem w Tomysłu, każdy przyjeżdżał: odwiedzić i na grzyby, odwiedzić i na grzyby. (śmiech)

Zawsze z mężem chodziliśmy sobie po osiedlu, patrzyliśmy co nowego budują, bo przecież za naszych czasów bardzo wiele tu się zmieniło – na miejscu łąk i bagien powstały domy. Okna wymyte, firaneczki powieszono. Zawsze mi się wtedy przypominała ta brudna, brzydko pachnąca Łódź.

Tutaj też miałam swoją ukochaną działkę, lubiłam pracować w ziemi i trochę się na ogrodnictwie znałam, więc sąsiedzi często się radzili, jak zrobić to czy tamto. Potem – niestety – musiałam zostawić działkę i zadowolić się kwiatkami na balkonie. Dzięki działkowym kontaktom zaczęła się jednak inna moja nowotomyska przygoda. Kiedyś

na wystawie w NOK-u podszedł do mnie mój działkowy sąsiad – nauczyciel, Marian Hałas i mówi: *Mamy tutaj takie kółko brydżowe, pani chyba też gra, może by się pani dotoczyła?* No i tak od 15 lat z nimi gram. Jeździliśmy na turnieje, zdobywaliśmy nagrody. Ja gram od czasów szkolnych. Jak mówią – jak się na studiach tego nie nauczysz, to już się nie nauczysz. A to są moi brydżyści: Jurek Konecki, Kazio Gracz, Arek Laufer. Spotykamy się co tydzień. Odkąd Zbyszek umarł, to już prawie 11 lat, spotykamy się u mnie, bo w NOK-u można było grać tylko do 18 czy 19. Mamy masę dyplomów. Jeździliśmy do Buku, do Wolsztyna, były miłe kolacje, spotkania.

**Ach, no przecież jeszcze była Kapela Zza Winkla. Kapela... ech...**

W Kapeli Zza Winkla byłam Balbiną. Znali mnie wcześniej, wiedzieli, że jestem człowiekiem teatru, a im brakowało już pomysłów. Bobkiewicz pyskato, zawsze coś tam stworzył, ale chcieli spróbować czegoś innego. Wymyśliłam taką postać, która miała na imię Balbina, a nazwisko Pisuardessa. (śmiech) Jeszcze mam taką wizytówkę. Oczywiście, byłam śmiesznie ubrana, miałam turban na głowie, dwa loczki i ambicje, by wystąpić z zespołem.

Ludzi bawiły nasze teksty, więc chyba dobrze nam to wychodziło. Pamiętam taki dialog – zamiatam na scenie, przechodzi Bobkiewicz i pyta: *Co tu robisz Balbina?* – *A, byłam u doktora i on mi powiedział, że mam być dużo na świeżym powietrzu.* – *To co będziesz robić?* – *Ja bym chciała z chłopakami tak trochę tego...* – tu się wszyscy zaczęli śmiać – *... no, pośpiewać bym chciała!* – *Aaaa, pośpiewać!* Bobkiewicz dalej: *No, ale jak ty wyglą-*



*Teraz musi mi wystarczyć balkon, ale do dziś pamiętam  
co, gdzie rośnie na mojej działce...*

dasz? – Jak to „jak”? – No, te skarpety...

A ja miałam jedną krótką, drugą długą. – No, bo ty się nie orientujesz - mówiłam – jedna po praniu się skurczyła, a druga nie była prana ... I tak ten tekst się przewijał...

Po występie dostawałam kalosz i szłam w publiczność, zbierać pieniądze. Gdy ludzie pytali: *Balbina, a po co ci te pieniądze*, to mówiłam, że muszę sobie kupić nowe loczki, albo inne takie śmieszności. A ludzie się cieszyli. Śpiewałam piosenki, oczywiście „postawionym” głosem. Kiedyś pamiętam podeszłam do takich państwa prosić znów o pieniądze dla *Balbiny*, a ta babka mi się przyjrzała i pyta zdziwiona: *Co pani tutaj robi?* A ja na to: *Bawię się.* – *A no chyba, że tak...* - odpowiedziała.

Półtora roku jeździłam z Kapelą *Zza Winkla* na występy i włożyłam w nie sporo swojej inwencji i energii. Mieśliśmy swoich fanów, którzy za nami jeździli. Potem też były nagrania z *Balbiną*.

Artystycznie to był bardzo sympatyczny czas. Z kolegów miło też wspominać *Henia* i *Bogdana*. Oni zawsze umieli się wspaniale zachować. Z resztą zespołu moje drogi, z różnych względów, się rozminęły, ale występy z kapelą, kontakt z publicznością, wspominać jako miłą przygodę artystyczną.

**Dziś prowadzę aktywność w zasadzie głównie domową.**

Z moją ukochaną suczką *Pusią*, nazywaną zresztą przez moich znajomych zabawnie *Pusławą Szczyłówną* z domu *Pirlipata*, do niedawna chodziłam na spacer, ale zachorowała i w zeszłym roku musiałam jej pomóc odejść, bo się bardzo męczyła. Miała 17 lat. Ja to tak strasznie przeżyłam, że znalazłam się w szpitalu.

Samotność mi doskwierała, bo słabo chodzę i dość słabo widzę, więc sprawiłam sobie kanarka. Muszę mu codziennie wyczyścić klateczkę, pobawić się z nim, a on mnie dziobnie. (śmiech) Zawsze kochałam zwierzęta, miałam też kiedyś pięknego, mądrego kota. Poza tym kocham kwiaty i latem cały balkon mam w nich skąpany. Sąsiadki zawsze przychodzą podziwiać, co tam pani *Irena* ma nowego, a ja się tak cieszę, jakby mi kto dom wybudował. Mnie wystarcza ten balkon, choć do dziś wspominam moją działkę. Minęło 11 lat od tego czasu, jak po śmierci męża została sprzedana, a jeszcze pamiętam gdzie, co rośło... Mam takie odchylenia (śmiech), ale chyba dość normalne – zwierzęta, ptaki, natura, las. Zawsze się nisko kłaniałam ziemi i szanowałam ludzi, którzy dawali nam chleb.

Co jeszcze robię? Serwetki z kordonku i wszelkie rękodzieło. Teraz trochę mniej, bo chronię oczy. Troszkę piszę, troszkę dzwonię do ludzi. Chociaż widzę, że te nasze kontakty już się wytarły, że to są takie strzępki. Z bratową się nie widziałam przez 3 lata, o *Zbyszku* już właściwie nikt nie pamięta. No i tak życie przeleciało. *Migiem*, bez opóźnień.

Oczywiście, słucham muzyki, zwłaszcza nocnych audycji Programu II Polskiego Radia. Mój kolega *Kazio Kowalski*, który dwa razy był dyrektorem naszego teatru w Łodzi, prowadzi trzygodzinną audycję z niedzieli na poniedziałek. Można do niego dzwonić, zamawiać utwory, jakie chciałoby się usłyszeć. No i właśnie przez *Kazika* mam też kontakt z kolegami i koleżankami z teatru. Słuchamy nie tylko wybranej muzyki, ale i dzwoniemy, żeby



siebie usłyszeć. Pamiętam, że jak pierwszy raz „spotkaliśmy się” na antenie, Kazio zapiał: *Proszę państwa, dzwoni do mnie Królowa Nocy, państwo nie wiedzą, jak ona przepięknie nam śpiewała...* Mówię na to: *Kazio, zlituj się, bo mnie zaraz zemdli. Ale wymieniliśmy trochę grzeczności, ucieszyłam się, że daje ludziom taką edukację muzyczną. Szczególnie starsi nie mogą spać w nocy, więc mogą posłuchać dobrej muzyki. Audycja chyba zaczyna się po północy.*

Codziennie robię zapiski w kalendarzu, notuję kto odszedł od nas, kto przysłużył się Polsce. Mam tych zapisanych kalendarzy cały stos. Chociaż bronię się przed złymi wiadomościami i jak widzę coś takiego w telewizji, to wyłączam. Mój kielich został już dopełniony. Już więcej nie przyjmę. Gdy patrzę, jak się ludzie nie szanują, to wstyd mi, że jestem człowiekiem. Ale to wszystko przyszło z Ameryki. Przecież ja miałam tam zostać – to znaczy chcieli, żebym tam została i opiekowała się rodzicami. Ja jednak miałam tu rodzinę, a oni mojego brata. Całe szczęście nie poleciałam też na „zielone”. Co człowiek jest tam wart bez pieniędzy? Nic.

Gdy pojechałam do tych Stanów, to musiałam zarobić pieniądze na swoje utrzymanie, bo mimo że brat miał tam trzy orkiestry - dwie szkolne i jedną profesjonalną, to nie zaproponował mi żadnego koncertu, a miałam i suknie, i nuty ze sobą. Zaczęłam pracować u pani Rózi Kohn rodem z Będzina, byłej więźniarki Oświęcimia, Polki żydowskiego pochodzenia. Akurat wydała córkę za męża, trzeba było pewne porządki porobić i ja się zgodziłam. Miałam u niej swój „apartament”, a na weekendy ojciec zabierał mnie do siebie. Z mamą i bratem stosunki po la-

tach były - tak jak przedtem - trudne.

Na dodatek pies Rózi pociągnął mnie któregoś razu na spacerze tak, że miałam zerwane ścięgna i miesiąc spędziłam w łóżku. Miałam serdecznie dosyć tej Ameryki. Poleciałam tam na święta, na przelomie lat 1979 - 1980, więc z Polski zaczęły dochodzić wiadomości, że robi się tu coraz niebezpieczniej. Ja z tą nogą... Matka chciałaby, żebym została „do pomocy”... Byłam jak w potrzasku. Poprosiłam więc tę Rózię, by mnie zawiozła do takiego biura, które wysyłało paczki do Polski i stamtąd zadzwoniłyśmy do mojego męża. Wymyśliłam, że Monika wyśle telegram, że mąż jest chory i mam wracać. Wzię miałam na pół roku, a po trzech miesiącach uciekłam.

Gdy znalazłam się na pokładzie samolotu, odetchnęłam. Pamiętam, że mieliśmy godzinę spóźnienia, bo zabieraliśmy specjalny bagaż. Okazało się potem, że pewien pan przewoził trumnę z ciałem swojej żony, która chciała być pochowana w polskiej ziemi. Bardzo mnie to wtedy wzruszyło. Pomyślałam, że jak wyląduję, to chyba będę całować ziemię, jak Papież. Wiesz, bo to było coś niesamowitego dla mnie, że ja się z tego piekła wyrwałam. Inni by pomyśleli, że wariatka, skoro ucieka z Ameryki, a ja się tak czułam.

I pamiętam koniec mojej podróży. Po kilkunastu godzinach lotu, zaczyna świtać. Przychodzi stewardesa i mówi: *Proszę państwa, znajdujemy się już nad terytorium Polski. W tym momencie zdarzyło się coś, czego nigdy nie zapomnę. Wstała kobieta, ubrana po góralsku i cały samolot śpiewał. Boże, jaka ja byłam szczęśliwa. I tak wylądowaliśmy na Okęciu. Tam już czekał na mnie*



Z autorką tekstu – Sylwią Kupiec

mąż, a ja nie miałam nawet siły mówić, tak byłam zgnębiona. Tak więc, jak masz ojczyznę, to siedź w ojczyźnie i nie szukaj skarbów po świecie, bo cię nikt nie doceni.

**Co uważam za swój największym sukces?**

Sukces? (westchnienie...) To, że choć wszyscy pukali się w czoło, adoptowałam dziecko. Uważałam, że to, co od ludzi otrzymałam, muszę przekazać dalej. Dlatego pojawiła się Monika. Wciąż chorowała, miała też problem z pamięcią krótkotrwałą, co wiązało się z określonymi problemami. Po cudem skończonej podstawówce, poszła do szkoły zawodowej na garmazerię. Pomyśleliśmy, że jak będzie pracować przy żywności, to jak nas zabraknie, nie będzie chodziła głodna. I mam nadzieję,

że tak będzie. Ja jej nie mogę pomóc, wiele się wydarzyło, skończyło. Czasem, tak jak przyjaźń się kończy, tak i rodzina się kończy i choćbyś chciał, nic na to nie poradzisz...

Przedwczoraj obchodziłam swoje 78 urodziny. Lata lecą, naprawdę, lata lecą szybko... Jeszcze tak do trzydziestki wolniej, a po trzydziestce tylko wyrzucasz kartki z kalendarza. Mam teraz dużo czasu, żeby rozmyślać, co zrobiłam źle, co mogłam inaczej... Ale tego się nie na zmienić. *To se ne wrati* - jak mówią Czesi.

A na scenie? Było i trudno, i wspólnie zarazem. Czy to jest trudny zawód, czy to jest tak, jak mówiła Hanka Bielicka, że żeby śpiewać wystarczy się tylko nadąć i popuszczać, oceniają Państwo sami.

# WOKÓŁ NAS

Kuba Czekala

## Kulturotwórcza funkcja nowotomyskich Ochotniczych Straży Pożarnych

Ochotnicza Straż Pożarna pełni w naszym kraju bardzo ważną funkcję społeczną. Już od drugiej połowy XIX wieku, kiedy zaczęły się pojawiać pierwsze jednostki OSP, aktywizowały lokalne społeczności, mobilizowały do działania, uczyły wzajemnego szacunku oraz odpowiedzialności. Dziś, prawie 150 lat później, nic się w tym względzie nie zmieniło.

Obecnie strażacy - ochotnicy mogą pochwalić się sprzętem i wyszkoleniem na poziomie „zawodowym”, a także udziałem w bardzo wielu akcjach, nie tylko w gaszeniu pożarów, ale przede wszystkim w akcjach ratunkowych podczas wypadków drogowych, powodzi czy innych miejscowych zagrożeń, których nie ma w codziennym życiu. Jednak strażacka działalność nie ogranicza się wyłącznie do akcji bojowych. Obejmuje ona także szereg działań, zmierzających do pełnej integracji członków ochotniczych straży pożarnych ze środowiskiem lokalnym, a także działania mające na celu prezentowanie i kreowanie wzorca osobowego strażaka, jako wzoru godnego naśladowania. Preferowane wartości, takie jak: odwaga, dzielność, chęć niesienia pomocy, wrażliwość na drugiego człowieka - przybliżane nie tylko członkom ochotniczych straży, wywierają nader pozytywny wpływ na wychowanie młodego pokolenia. To tutaj młody człowiek uczy się odpowiedzialności, zarówno jednostkowej, jak i zbiorowej, a poprzez uczestnictwo w sportowo-pożarniczych zawodach sprawnościowych, w turniejach wiedzy i przeróżnych szkoleniach rozwija się fizycznie i intelektualnie. W powiecie nowotomyskim zrzeszonych jest 48 jednostek OSP, z czego dziewięć działa w Krajowym Systemie Ratowniczo - Gaśniczym. Poniżej prezentujemy najważniejsze z działań pozakacyjnej, kulturotwórczej działalności nowotomyskich OSP.

### Nauka...

Nauka i wiedza to potężne czynniki kulturotwórcze. Są one czynnikami rozwoju nie tylko jednostki, ale i w skali makro, całego społeczeństwa czy ludzkości. Zarówno w życiu prywatnym, jak i w działalności organizacyjnej, m. in. w szeregach OSP, warunkują stały postęp.



Strażacy - ochotnicy, którzy ukończyli kurs ratownictwa medycznego; Nowy Tomyśl 2008 r.



Prezes Powiatowego Zarządu ZOSP RP Leszek Mądry wręcza odznaczenia zasłużonym ochotnikom



Damian Paszek, ochotnik z Wąsowa, podczas pokazu w wąsowskim gimnazjum



Aby strażacy - ochotnicy w pełni mogli wypełniać powierzane im zadania, muszą przejść odpowiednie kursy i przeszkolenia. Bez pozytywnie ukończonych kursów, strażacy nie mogą uczestniczyć w akcjach ratowniczo - gaśniczych.

Zazwyczaj kursy, w których uczestniczą prowadzone są przez funkcjonariuszy zawodowych straży pożarnych z komend powiatowych bądź wojewódzkich. Podczas zajęć ochotnicy wyposażani są w niezbędną wiedzę teoretyczną, utrwalaną poprzez ćwiczenia praktyczne. Kursy zwykle kończą się egzaminem, a ochotnicy otrzymują certyfikaty i zaświadczenia, które muszą jednak odnowić po kilku latach. Do najważniejszych, a zarazem najpopularniejszych kursów, należą kursy na: szeregowego I i II stopnia, dowódców, operatorów sprzętu, strażaków - ratowników, kierowców oraz naczelników oraz kursy ratownictwa medycznego i ratownictwa technicznego. Do szkoleń takich mogą przystąpić wyłącznie pełnoletni druhowie.

Nie zapomniano jednak i o najmłodszych. Dla nich organizowane są obozy szkoleniowo - wypoczynkowe oraz rajdy. Celami takich wyjazdów są: integrowanie środowiska młodzieżowego, popularyzowanie zagadnień związanych z szeroko rozumianym bezpieczeństwem, działanie na rzecz ochrony życia, mienia i środowiska przed pożarami i klęskami żywiołowymi, wykonywanie zadań z zakresu ochrony przeciwpożarowej, bezpieczeństwa i ratownictwa, a także przygotowywanie do zawodów sportowo pożarniczych.

Równie ważne dla młodych są coroczne Konkursy Wiedzy Pożarniczej, z których pierwszy odbył się w 1970 roku. Turniej pod hasłem *Młodzież zapobiega pożarom* ma na celu popularyzowanie przepisów przeciwpożarowych i kształtowanie umiejętności w zakresie ochrony ludności, ekologii, ratownictwa i ochrony przeciwpożarowej. Organizatorem przedsięwzięcia jest Zarząd Główny Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej, przy współpracy z Komendą Główną, Komendami Wojewódzkimi i Komendami Powiatowymi Państwowej Straży Pożarnej, Zarządami Oddziałów Związku OSP PR, Ministerstwem Edukacji Narodowej oraz wieloma innymi instytucjami związanymi z ochroną środowiska oraz zwalczaniem klęsk żywiołowych.

Uczestnicy rywalizują w 3 grupach: I grupa - uczniowie szkół podstawowych, II grupa - uczniowie szkół gimnazjalnych, III grupa - uczniowie szkół ponadgimnazjalnych.

Młodzi strażacy pisemnie i ustnie odpowiadają na pytania dotyczące tradycji i historii straży, przepisów z zakresu ochrony ludności, ochrony przeciwpożarowej, ekologii i ratownictwa, zadań OSP i ich związku, przyczyn powstawania pożarów oraz ich zwalczania, a także sprzętu ratowniczo - gaśniczego.

### **Sport...**

Nie bez znaczenia są również organizowane od lat w całej Polsce zawody pożarnicze o charakterze sportowym. Strażak, jak mało kto, musi cieszyć się dobrym zdrowiem i sprawnością fizyczną. Zawody pożarnicze, bądź jak kto woli - zawody sportowo-pożarnicze, to zmagania pomiędzy strażackimi drużynami.



Strażacy z Kuślin uczcili pamięć ofiar katastrofy pod Smoleńskiem; 10 kwietnia 2010 r.



Ćwiczenia bojowe podczas zawodów



Strażacy z gminy Opalenica przy figurze św. Floriana - 2007 r.



Mogą mieć postać współzawodnictwa między jednostkami z terenu gminy, powiatu, województwa czy kraju. Mogą się także odbywać zawody pucharowe lub memoriałowe. Takie turnieje organizowane są zarówno dla dorosłych, jak i dla młodych strażaków. Zawody te zwykle przeprowadzane są w okresie wiosenno-letnim.

Rywalizacja odbywa się według określonych i wcześniej ustalonych zasad. Zazwyczaj zawody rozgrywane są w dwóch kategoriach sprawnościowych: tor przeszkód i rozwinięcie linii gaśniczej z podaniem wody w celu strącenia jakiegoś obiektu z tarczy. Prócz samego „łania wody” warto wspomnieć o rajdach medycznych oraz zawodach konnych sikawek.

Statystyki jasno pokazują, iż tylko 30 % działań straży pożarnej to gaszenie pożarów. Reszta zdarzeń, do których jest wzywana, to tzw. zagrożenia miejscowe, czyli walka ze skutkami kataklizmów, ale przede wszystkim walka o życie i zdrowie ludzi, poszkodowanych we wszelakiego rodzaju wypadkach.

Od kilku lat sukcesywnie wzrasta liczba strażaków przeszkolonych z zakresu ratownictwa medycznego, dlatego właśnie strażacy posiadający te cenne umiejętności, co jakiś czas spotykają się i przystępują do rywalizacji. Scenariusz imprezy zwykle zakłada wykonanie ustalonych zadań, które pojawiają się na wyznaczonej przez organizatorów trasie. Liczy się czas, ale także precyzja i dokładność ich wykonania. Ostatnia tego typu impreza odbyła się w Gołuchowie, a udział w turnieju wzięli m. in. strażacy zawodowi z Nowego Tomysła oraz ochotnicy z Opalenicy i Granowa.

Zawody sikawek konnych przeprowadzane są od 2001 roku. Pomysł na tego rodzaju imprezy zrodził się w Zarządzie Oddziału Powiatowego ZOSP RP w Kościanie. Celem tego typu zawodów jest ocalenie przed zapomnieniem sprzętu i dawnego wyposażenia ochotniczych formacji strażackich z miast i wsi oraz uświadomienie współczesnym jak duży dokonał się w tym zakresie postęp techniczny.

W imprezach tego typu - nie tylko krajowych, ale i zagranicznych - biorą udział strażacy z OSP w Bolewicach oraz Przyprostyni, którzy to dysponują pięknie odrestaurowanymi gaśniczymi bryczkami konnymi.

### **Bogu na chwałę...**

Stałym i niezmiernie ważnym aspektem strażackiej działalności jest też uczestnictwo w uroczystościach kościelnych. Od zarania dziejów straż pożarna wiązana jest z kulturą katolicką. Strażacy zawsze chętnie wspierali działalność kościoła, a kościół wspierał rozwój straży. O wspólnych tradycjach mogą świadczyć chociażby słowa: *Bogu na chwałę, ludziom na pożytek*, będące mottem strażackich ochotników.

Ochotnicy w galowych mundurach stanowią nieodzowny element obchodów świąt i uroczystości kościelnych. Podczas Świąt Wielkanocnych pełnią warty przy Grobie Pańskim. Podczas uroczystości Bożego Ciała uczestniczą w procesjach. Członkowie OSP biorą także udział w pogrzebach czy weselach. Ubrani w galowe mundury, nadają tym uroczystościom jeszcze bardziej podniosły charakter.

Strażacy z OSP Opalenica podczas rajdu medycznego w Gołuchowie



Pogrzeb ks. kanonika Zbigniewa Grussa, wieloletniego proboszcza parafii Kuślin, honorowego strażaka oraz kapelana OSP



Strażacy uczestniczący w uroczystościach państwowych; Opalenica 1 IX 2008 r.





Wójt gminy Kuślin Jerzy Dziamski wręcza nagrody podczas Turnieju Wiedzy Pożarniczej



Strażacy z Kuślina podczas pokazu w przedszkolu w Głuponiach



Kuślińscy strażacy podczas warty przy Grobie Pańskim



Jak można się domyślić, szczególnie uroczyste są strażackie śluby. Ceremonie te bywają różne, w zależności od pomysłowości samych nowożeńców. W Kuślinie na przykład na ślub strażaka przybywa do kościoła delegacja z kwiatami, a po wyjściu pary nowożeńców z kościoła rozlega się dźwięk strażackiej syreny.

W Grodzisku Wielkopolskim podczas ceremonii zaślubin para młoda przechodziła pod wodną kurtyną, utworzoną przez kolegów pana młodego. Ustawieni w rzędach strażacy kierowali w powietrze strumień wody z węży, tworząc - nad młodymi - swego rodzaju daszek. Rytuał ten znany jest także w wielu regionach kraju. Często zdarza się również, że wozy strażackie jadą na czele ślubnej kolumny bądź też same pełnią funkcję pojazdu weselnego.

### **Imprezy kulturalne i rozrywkowe**

Druhowie chętnie biorą też czynny udział w organizowaniu wszelakich imprez kulturalnych, odbywających się na terenie działania danej jednostki OSP. Uczestniczą w koncertach, festynach, zabawach.

Często zastępują firmy ochroniarskie, dbając o bezpieczeństwo osób biorących w tych imprezach udział, ale także - przy okazji różnych festynów i spotkań o charakterze kulturalnym czy rozrywkowym - chętnie swoją wiedzę i umiejętności przekazują innym. Pokazy ratowniczo - gaśnicze prowadzone przez strażaków, a także prezentacja posiadanego sprzętu zawsze przyciągają tłumy ludzi.

### **Strażacy dzieciom ...**

Ważnym elementem działalności OSP jest współpraca z placówkami edukacyjnymi. To właśnie z myślą o najmłodszych organizowane są dni otwarte remiz. Strażacy jeżdżą też do szkół podstawowych i przedszkoli.

Najpierw zwykle przeprowadzana jest pogadanka na temat pracy strażaka, przyczyn i skutków pożarów, a także metod walki i radzenia sobie z innymi zagrożeniami. Następnie dzieci zapraszane są do wozu strażackiego, gdzie prezentowany jest gaśniczy sprzęt. Niezmiernie wielką frajdę sprawia wszystkim obwożenie „na sygnale” wozem strażackim. To m. in. dzięki takim spotkaniom brać strażacka zapewnia sobie swoich następców.

Coraz częściej strażacy zapraszani są do szkół, gimnazjów i liceów, by tam przeprowadzić pokazy ratownictwa medycznego. Spotkania takie odbywają się zazwyczaj przy okazji przypadającego w danej szkole święta czy imprezy sportowo-kulturalnej.

Ochotnicze straże pożarne bardzo mocno wrosły w krajobraz nie tylko wielkopolskich wsi i miasteczek. Były, są i będą. Zawsze z wyciągniętą pomocną dłońią.

Fot.: Kuba Czekala, archiwum PNT

# Z TEKI...

... Edwarda Kupca

Sylvia Kupiec

## Nie tylko drewno ...

W lutym 2011 roku w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysłu oglądać będzie można kolejną wystawę prac Edwarda Kupca. Tym razem autor zaprezentuje prace wykonane nową dla siebie techniką i w materiale, jakiego do tej pory nie wykorzystywał. Na ekspozycję *Drugie życie metalu* złożą się bowiem figurki wykonane ze starych gwoździ i elementów metalowych, których funkcje użytkowe już przeminęły. Ze starych okuć, skobli, śrub, zawiasów i innych metalowych detali, pozyskanych w czasie remontów starych domów, dworców czy kościołów, przez cały miniony rok artysta wyczarował prace nawiązujące do archetypicznych postaci i opowieści naszej kultury. Metalowe wyobrażenia m.in. Chrystusa, Wieży Babel, Atlasa, Don Kichota, Sancho Pansy, Nosiwody, Stańczyka oraz figuratywne obrazy ludzkich losów, typów czy aktywności złożą się na przygotowywaną przez artystę kolekcję. Metal – jak się rzekło – nie był zwykle materiałem, w jakim Edward Kupiec tworzył swoje prace.

Z zawodu stolarz. Przy każdej okazji podkreśla, że pierwsze szlify w tym zawodzie zdobywał w nowotomyskim zakładzie Stefana Kromy, który nazywa „starą szkołą mistrza”. Po zakończeniu nauki w 1972 roku, przez 22 lata pracował w Fabryce Samochodów Rolniczych POLMO jako brygadzysta w filii zakładu w Borui Kościelnej. Obecnie jest pracownikiem zakładu stolarskiego ART-MEBEL Tomasza Szuby. Pochodzi z Borui Nowej, a od 1981 roku mieszka z rodziną w Nowym Tomysłu.

Od ponad 40 lat pracuje z drewnem. Z racji zawodu, z racji pasji oraz z racji faktu, że zawód jest jednocześnie jego pasją.

*Majsterkowałem od dziecka. Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam niczego innego poza majsterkowaniem. Począwszy od lepienia w glinie domków na podwórzu rodzinnego domu, przez kompozycje wydlubane w korze, po modele wielkich żaglowców, a na miniaturach statków kończąc. Dużo zmieniło się w tej dziedzinie, kiedy rozpocząłem naukę i pracę w zakładzie stolarskim. Prawdziwym zakładzie, przedwojennym, pachnącym politurą i klejem kostnym. Przez 4 lata pracy nauczyłem się ogromnie dużo, bo i ogromnie dużo było pracy. Budowa mebli od podstaw, tworzenie różnych wzorów użytkowych, projektowanie i wykonywanie elementów dekoracyjnych do konkretnych wnętrz*



Edward Kupiec ze swoimi rzezbami podczas *Wieczoru anielskiego* w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysłu; 2004 r.



Wykonane w 2006 roku tancerki i inne formy drewniane zaprezentowane podczas wystawy - *Edward Kupiec Rzeźby* - w nowotomyskiej ksiąźnicy; 2007 r.



– kościołów, szkół, mieszkań prywatnych. Naszym konikiem była renowacja mebli, a intarsjowanie drewnem, czyli składanie wzorów z małych, okleinowych kawałków, to było to, co lubiłem najbardziej. Tak, jak dłubanie w drewnie i innych, coraz bardziej oddalonych od drewna surowcach, w których można było tworzyć to, co akurat przychodziło na myśl. [...]

Edward Kupiec od 1998 roku prowadzi zajęcia artystyczne dla dzieci i młodzieży w Świetlicy Socjoterapeutycznej. Prace, jakie tworzył z dziećmi podczas tych zajęć, prezentowane były w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysłu, m.in. podczas wystaw: *Dzieci dzieciom* w 1999 roku i *Wiosenny świąteczny czas* w roku 2000. Na zaproszenie wychowawców prowadzi czasem zajęcia plastyczne dla dzieci w szkołach i przedszkolach na terenie Nowego Tomysłu. Uczestniczył również w *Nocach twórczości*, organizowanych w Szkole Podstawowej nr 1 w Nowym Tomysłu. Za pracę z młodzieżą otrzymał wyróżnienie australijskiej Fundacji Polcul im. Jerzego Bonieckiego, wspierającej kulturę polską.

Świetlica jest bardzo ważnym miejscem. Zajęcia są usystematyzowane i uporządkowane, ponieważ skupiają dzieci z rodzin, znajdujących się – z bardzo różnych przyczyn – w trudnej sytuacji życiowej, społecznej, środowiskowej... Długo by mówić na ten temat... W każdym razie[...] staramy się wychowywać te dzieci przez pracę. W czasie moich zajęć poznają najróżniejsze techniki plastyczne: malujemy, tworzymy obrazki na szkle i drewnie, wykonujemy figurki gipsowe, witraże, biżuterię z drewna i metalu, zajmujemy się wycinaniem z papieru [...] Ciekawym pomysłem jest również ręczne wykonywanie kartek świątecznych, które rozpowszechnia potem Urząd Miejski. Czas zajęć świetlicowych to dla wielu dzieci magiczne trzy godziny w każdym dniu. Trzy godziny, które pozwalają im uwierzyć, że jest jeszcze inne życie poza tym, jakie znają z domu rodzinnego.

Wystawy prac podopiecznych ze Świetlicy Socjoterapeutycznej były pierwszą okazją do zaprezentowania przez artystę – amatora własnych prac. Potem przyszły pomysły na wystawy indywidualne, jednak pierwsza, jaką można było w bibliotece oglądać, również poświęcona była dzieciom.

Kilka lat temu wpadłem na pomysł zrobienia serii aniołów dla dzieci z Domu Dziecka w Gościszynie koło Wolsztyna. Przez rok, co tydzień tworzyłem jednego anioła. Przed Świętami Bożego Narodzenia w 2004 r., w bibliotece publicznej odbył się „Wieczór anielski” z udziałem specjalnych gości - dzieci wraz z dyrektorem Domu Dziecka. Wystawa aniołów wykonanych przeze mnie i dwie inne artystki zakończyła się ich sprzedażą. Moje anioły powędrowały nie tylko do domów nowotomyszan, ale trafiły także do Anglii, Czech czy nawet USA. Pozyskane w ten sposób pieniądze i pozostałe anioły przekazałem na rzecz Domu Dziecka.

Do figur anielskich artysta wracał często. W 2008 roku również w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej zaprezentował Anioły na starej desce. Wykonane one zostały z materiału szczególnego, bo pozyskanego podczas prac remontowych w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Tomysłu. Na fragmentach dobrze zachowanych desek podłogowych z 1780 r. artysta namalował figury anielskie, Chrystusa i świętych, łącząc styl ludowy ze stylem charakterystycznym dla wschodnich ikon.



*Anioły na starej desce; 2008 r.*



*Drugie życie metalu - Chrystus*



Edward Kupiec w swojej pracowni

Ze względu na temat, materiał czy sposób wykonania prace Edwarda Kupca powstają najczęściej seriami. Anioły, kobiety - sportsmenki, kobiety - tancerki, anioły na starej desce, maski, pary, pary taneczne wykonane z jednego kawałka drewna. Można by jeszcze wiele wymieniać. Zobaczyć trudniej, bo autor nie kolekcjonuje swoich rzeźb. Woli, by trafiły do domów innych, bo jak sam mówi, woli dawać niż gromadzić. Pojedyncze sztuki zdobią niewielką pracownię usytuowaną w podwórzu przy pl. Niepodległości, jaką po latach starań udało mu się wynająć za rozsądną kwotę.

Od kilku lat Edward Kupiec uczestniczy w Międzynarodowych Plenerach Malarskich Piękno Ziemi Powiatu Nowotomyskiego oraz w prezentacji produktów regionalnych Powiatu Nowotomyskiego (takie miano uzyskały jego prace) podczas Jarmarków Chmielo - Wikliniarskich. Jest też autorem okolicznościowych statuetek wykonywanych w niewielkich ilościach dla różnych instytucji.

*Czy mam jakiś niezwykły zmysł sztuki? Nie sędzę. Patrząc na kawałek materiału, widzę w nim możliwość odzwierciedlenia jednego z chodzących mi bez przerwy po głowie pomysłów i właściwie nic więcej. Jestem prostym stolarzem, który ma zręczne palce i pomysły, które te zręczne palce, uzbrojone w narzędzie stolarskie, są w stanie zrealizować. I to wszystko.*



## Wystawy Edwarda Kupca

2004 rok – Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomysłu  
– *Wieczór anielski* (dochód ze sprzedaży aniołów Edwarda Kupca i innych twórców został przeznaczony na rzecz Domu Dziecka w Gościeszynie)

2006 rok – prezentacja prac podczas Jarmarku Chmielo – Wikliniarskiego w Stodole Olęderskiej w ramach promocji produktów regionalnych.

2007 rok – Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomysłu  
– wystawa indywidualna *Rzeźby*

2008 rok – Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomysłu  
– *Anioły na starej desce* – wystawa indywidualna malowanych na deskach aniołów i pasyjek łączących w sobie elementy sztuki ludowej i pisanie ikon

2009 rok – Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomysłu  
– wystawa indywidualna *Rzeźby*, na którą składały się, wykonane z jednego kawałka drewna, figury ludzkich postaci i tańczących par w różnych pozach.

2011 rok – Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomysłu  
– *Drugie życie metalu*, najnowsza kolekcja prezentująca nową technikę i materiał

Zródło cytatów: Witold Machura, *Dla innych, dla siebie*, *Kwartalnik Nowotomyski*, nr 1(3), marzec 2005

Fot.: Sylwia Kupiec, Ryszard Ratajczak, Renata Bogusz, Krzysztof Adamczak

# Z DZIAŁALNOŚCI NTK

Maria Tyszkowska

## VI Przegląd Dawnej Piosenki Żołnierskiej i Niepodległościowej „Idzie żołnierz borem, lasem...”

8 listopada 2010 r., tradycyjnie od kilku już lat, z okazji zbliżającego się Święta Niepodległości, w sali widowiskowej Nowotomyskiego Ośrodka Kultury spotkały się szkolne zespoły muzyczne, by uczestniczyć w VI Przeglądzie Dawnej Piosenki Żołnierskiej i Niepodległościowej „Idzie żołnierz borem, lasem...”. Celem muzycznych spotkań - organizowanych przez Nowotomyskie Towarzystwo Kulturalne - jest poznawanie, prezentacja, a także wspólne śpiewanie pieśni żołnierskich i niepodległościowych, zarówno bardziej popularnych, jak i tych dawnych, mniej znanych czy zapomnianych.

Młodzi muzycy, niektórzy w strojach i z elementami dekoracyjnymi nawiązującymi do święta oraz charakteru i tematyki wykonywanych utworów, zaprezentowali pieśni o zróżnicowanym charakterze.

Pierwsi zaprezentowali się uczniowie ze Szkoły Podstawowej w Jastrzębsku Starym. W ich wykonaniu usłyszeliśmy pieśń o wielkiej tęsknocie za ojczyzną *Polskie kwiaty* oraz *Płynie Wisła, płynie*, którą gromko śpiewała także zgromadzona publiczność - dzieci i młodzież szkolna.

Szkołę Podstawową w Wytomyślu reprezentowały dwa zespoły. Pierwszy z nich przedstawił pieśń z repertuaru Sławy Przybylskiej *Gdzie są kwiaty z tamtych lat* oraz wspólnie ze słuchaczami - *Pierwszą Kadrową* - pieśń radośnie opowiadającą o Pierwszej Kompanii Kadrowej utworzonej w 1914 r. w Krakowie przez Józefa Piłsudskiego. Drugi zespół z werwą zaśpiewał wesołą, opartą na melodii ludowej, pieśń z okresu I wojny światowej - *Wojenka, wojenka*.

Dzieci uczęszczające do świetlicy Szkoły Podstawowej nr 2 w Nowym Tomysku wykonały liryczną pieśń partyzantów polskich z okresu II wojny światowej *Rozszumiały się wierzby płaczące*, do wspólnego śpiewu zapraszając widownię,

Uczniowie Szkoły Podstawowej w Jastrzębsku St. rozśpiewali publiczność wspólnym wykonaniem pieśni *Płynie Wisła, płynie*



Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 2 w Nowym Tomysłu otrzymali wielkie brawa za wykonanie dowcipnej piosenki ułańskiej *Stoi ułan na widcie*



Z żołnierską werwą zaprezentował się zespół uczniów ze Szkoły w Wytomysłu





Ułańskie pieśni zaprezentowali uczniowie Szkoły Podstawowej w Borui Kościelnej



Nowotomyskie gimnazjalistki śpiewająco opowiadały o Józefie Piłsudskim



Ewelina Kawa i Patryk Śliwiński z Zespołu Szkół nr 2 w Nowym Tomysłu porywająco wykonali solidarnościową pieśń Mury



a następnie dowcipną pieśń *Stoi ułan na widecie*.

Uczniowie Szkoły Podstawowej w Borui Kościelnej, w pięknych strojach ludowych, przy akompaniamencie fortepianowym p. Arkadiusza Łapińskiego, przedstawili ciekawą interpretację popularnych pieśni ułańskich - *Wojenko, wojenko*, a potem wraz z całą salą - *Przybyli ułani pod okienko*.

W tym roku szczególnie pamiętaliśmy o *Rocie*, pieśni do słów Marii Kopopnickiej, skomponowanej 100 lat temu przez poznańskiego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego na uroczystość odsłonięcia w Krakowie pomnika upamiętniającego 500. rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem, przez wiele lat pełniącej funkcję drugiego hymnu polskiego. Wykonała ją młodzież nowotomyskiego Gimnazjum i - po krótkiej nauce - wzruszająco zaśpiewali ją na stojąco wszyscy zgromadzeni w sali uczestnicy przeglądu. Gimnazjalistki zaśpiewały też *Po ten kwiat czerwony* oraz mniej znaną pieśń *Wodzu miły mój*, opowiadającą o Józefie Piłsudskim.

Jako ostatnie zaprezentowały się uczennice Zespołu Szkół nr 2 w Nowym Tomysłu: Ewelina Kawa, która brawurowo - przy akompaniamencie gitarowym Patryka Śliwińskiego - wykonała pieśń *Mury*, będącą hymnem „Solidarności oraz Małgorzata Nowak, której piękny głos i interpretację pieśni *Po ten kwiat czerwony* gromkimi brawami nagrodziła publiczność.

Podczas spotkania z pieśnią młodzi słuchacze i wykonawcy mieli możliwość poznania, w dużym skrócie, historii pieśni żołnierskiej i niepodległościowej. Była też sposobność, aby wspomnieć wielkie rocznice, które pieśniami uczcili młodzi śpiewacy w ostatnich latach: 90. rocznicę wybuchu Powstania Wielkopolskiego - obchodzoną w 2008 r., 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej i 65. rocznicę Powstania Warszawskiego - wspomniane w roku 2009, a także wielkie rocznice przypadające w roku 2010 r. - 65. rocznicę zakończenia II wojny światowej, 600. rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem, 100. rocznicę *Roty* oraz 200. rocznicę urodzin Fryderyka Chopina, muzyka i wielkiego patrioty, który podobnie jak dzieci i młodzież nowotomyskich szkół spotykał się z kolegami na wspólnym śpiewaniu pieśni patriotycznych.

W VI Przeglądzie Dawnej Piosenki Żołnierskiej i Niepodległościowej i wspólnym śpiewaniu uczestniczyli także zaproszeni goście: reprezentująca Burmistrza Nowego Tomysłu - naczelnik Wydziału Rozwoju i Promocji Urzędu Miejskiego - Ewelina Szofer-Pajchrowska, komendant Wojskowej Komendy Uzupelnień w Nowym Tomysłu - ppłk Czesław Bogucki, inspektor ds. obrony cywilnej w Urzędzie Miejskim - Jerzy Kimstacz, członek Zarządu Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego - Genowefa Hreczyńska oraz uczniowie i nauczyciele szkół naszego miasta i gminy. Koncert prowadziła Maria Tyszkowska.

Z rąk organizatorów i zaproszonych gości uczestnicy przeglądu otrzymali dyplomy oraz słodkie upominki ufundowane przez NTK. Po koncercie młodzież miała możliwość odwiedzenia stoiska promującego nowoczesną służbę wojskową. Spotkanie zakończyło się wspólnym złożeniem wiązanki kwiatów



Zespół wokalny z Wytomyśla wykonał liryczną pieśń *Gdzie są kwiaty z tamtych lat*

pod pomnikiem Powstańców Wielkopolskich na pl. Niepodległości.

W VI Przeglądzie Dawnej Piosenki Żołnierskiej i Niepodległościowej udział wzięli uczniowie reprezentujący następujące szkoły: Szkołę Podstawową nr 2 im. Marii Curie-Skłodowskiej w Nowym Tomysłu (opiekun: Ilona Kwiatkowska), Szkołę Podstawową im. Marii Konopnickiej w Borui Kościelnej (opiekun: Arkadiusz Łapiński), Szkołę Podstawową w Jastrzębsku Starym (opiekun: Maria Zawarta), Szkołę Podstawową w Wytomyślu (opiekunowie: Beata Chwalisz, Jolanta Przewoźna, Małgorzata Lipiecka, Justyna Kardasz, Anna Bodzio), Zespół Szkół nr 2 w Nowym Tomysłu oraz Gimnazjum w Nowym Tomysłu (opiekun: Piotr Witczak).

Fot.: Izabela Putz



Małgorzata Nowak z Zespołu Szkół nr 2 w Nowym Tomysłu we wzruszającym utworze *Po ten kwiat czerwony*



# KRONIKA WYDARZEŃ

październik - grudzień 2010

## U przyjaciół za miedzą...

Od 7 października do 14 grudnia w dziesięciu miejscowościach gminy Nowy Tomysł: Cichej Górze, Glinnie, Jastrzębsku Starym, Kozich Laskach, Paproci, Przyłęku, Sątopach, Wytomyślu, Róży i Nowej Róży odbywały się spotkania z cyklu *U przyjaciół za miedzą czyli na szagę przez tradycje i obyczaje*. Cykl spotkań organizowanych przez Nowotomyski Ośrodek Kultury otrzymał dofinansowanie z Unii Europejskiej w ramach osi 4 Leader Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013. Celem projektu było ocalenie od zapomnienia polskich tradycji i obyczajów. Podczas każdego spotkania, które odbywało się w świetlicy wiejskiej, prezentowany był dorobek artystyczny wsi – gospodarza spotkania. Zespół Pieśni i Tańca *Kębtowo* wykonywał ludowe piosenki i przyśpiewki oraz uczył mieszkańców poszczególnych wsi regionalnych tańców. Imprezom towarzyszyło przygotowywanie, pokaz i degustacja najpopularniejszych lokalnych potraw. Podczas każdego spotkania prezentowana była wystawa i pokaz rzemiosła twórców z danego terenu, np. pokaz darcia pierza, szycia na starej maszynie, klepania kosy, prania na tarce w starej cynkowej balii czy robienia masła.



Spotkanie z cyklu *U przyjaciół za miedzą czyli na szagę przez tradycje i obyczaje*; Róża 18 listopada 2010 r.

### Kampania dla trzeźwych umysłów

Gmina Nowy Tomyśl po raz 10 uczestniczyła w ogólnopolskiej kampanii *Zachowaj Trzeźwy Umysł*. W tegorocznej edycji udział wzięło 8 szkół z terenu gminy. We wszystkich placówkach przeprowadzono konkursy, odbyło się także wiele imprez dla dzieci i rodziców, m.in. majówki, rajdy rowerowe, konkursy plastyczne, festyny rodzinne. Do kampanii czynnie włączyła się Komenda Powiatowa Policji, organizując spotkania dla rodziców. Ponadto - wraz z młodzieżą gimnazjalną - funkcjonariusze ruchu drogowego przeprowadzali kontrole kierowców, wręczając ulotki dotyczące bezpiecznego poruszania się po drogach. 5 października w Urzędzie Miejskim odbyło się podsumowanie kampanii. Zaproszono nagrodzonych uczniów, koordynatorów ze szkół oraz dyrektorów. Nagrody uczniom wręczali: Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing i pełnomocnik burmistrza ds. uzależnień Jolanta Szade. Dyrektorów szkół uhonorowano certyfikatami.



Nagrodzeni w ramach kampanii uczniowie wraz ze nauczycielami, dyrektorami szkół i przedstawicielami Urzędu Miejskiego

### W Dyskusyjnym Klubie Książki

Podczas kolejnego spotkania w Dyskusyjnym Klubie Książki, działającym w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, we wtorek 5 października, klubowiczki miały okazję ponownie spotkać się ze skandynawskim kryminałem. Omawiana była powieść Henninga Mankella *Mężczyzna, który się uśmiechał*, opowieść o bezdrożach Skanii, gdzie ma miejsce tragiczny wypadek samochodowy, w którym ginie znany prawnik. Wkrótce wychodzi na jaw, że ze sprawą tego tragicznego zdarzenia wiążą się inne zagadkowe zbrodnie. Podobnie jak w swoich wcześniejszych powieściach,

szwedzki mistrz kryminału stopniowo buduje napięcie, perfekcyjnie kreśląc nardziny zła. Podczas październikowego spotkania moderatorem DKK została Aleksandra Tabaczyńska - wierna czytelniczka i redaktor prasy katolickiej, członek Gminnej Koalicji na Rzecz Rozwoju Bibliotek.



Podczas październikowego spotkania dyskusję nad książką - po raz pierwszy - moderowała Aleksandra Tabaczyńska

### Kulturalna wizyta

7 i 8 października gościła w naszym mieście kilkunastoosobowa Grupa Wymiany Doświadczeń w zakresie kultury, powstała w ramach projektu prowadzonego przez Związek Miast Polskich. W projekcie tym, oprócz Nowego Tomysła, uczestniczyli pracownicy instytucji kultury i przedstawiciele samorządów lokalnych z takich miast jak: Tarnów, Bytom, Dzierżoniów, Konin i Sępólno Krajeńskie. Służące wymianie doświadczeń spotkania odbywały się kolejno w poszczególnych miastach uczestniczących w projekcie. Pierwszy dzień dwudniowej roboczej wizyty wypełnił warsztat prowadzony Anną Michalak-Pawłowską - dyrektora Ośrodka Działań Artystycznych dla Dzieci i Młodzieży *Dorożkarnia* z Warszawy. W drugim dniu goście zapoznali się z działalnością Nowotomyskiego Ośrodka Kultury, Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej, Środowiskowego Domu Samopomocy, Domu Dziennego Pobytu i Muzeum Wikliniarstwa i Chmielarstwa. Spotkali się także z osobami, działającymi w nowotomyskiej kulturze nieinstytucjonalnie, m.in. z przedstawicielami Zarządu Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego oraz liderem plecionkarzy Andrzejem Pawlakiem. Była też okazja do zwiedzenia miasta i *kulturalnego* spędzenia czasu podczas kolejnej edycji *Śpiewnika domowego* odbywającego się właśnie w NOK-u. Gospo-



darzami dwudniowego spotkania byli – uczestniczący w projekcie - przedstawiciele nowotomyskiej kultury: Genowefa Hreczyńska – dyrektor NOK-u, Lucyna Kończal-Gnap – dyrektor MiPBP i Arkadiusz Łapiński – kierownik Wiejskiego Domu Kultury w Borui Kościelnej.



Wrażeniami z *kulturalnej* wizyty w naszym mieście członkowie Grupy Wymiany Doświadczeń podzielili się z nowotomyskimi samorządowcami

### Śpiewnik domowy

7 października w Nowotomyskim Ośrodku Kultury odbyło się kolejne spotkanie z cyklu *Śpiewnik domowy*. Spotkanie przebiegało pod hasłem *Radość najpiękniejszych lat*. Wspólnie z Karolem Rogaczem oraz *Śpiewającymi Przyjaciółmi* wykonano wiele znanych piosenek, takich jak *Jedzie pociąg z daleka*, *Walentyna twist* czy *Kawiarenki*. Gośćmi spotkania byli członkowie Grupy Wymiany Doświadczeń – pracownicy instytucji kultury z różnych regionów Polski, którzy gościli w naszym mieście z roboczą wizytą.

### Konferencja opiekunów szkolnych kół PCK

11 października w sali konferencyjnej Urzędu Miejskiego odbyło się spotkanie szkolnych opiekunów kół PCK z terenu powiatów nowotomyskiego i grodzkiego.

Do udziału w konferencji zaproszono również gości z instytucji ściśle współpracujących z Zarządem Rejonowym PCK w Nowym Tomyślu oraz wspomagających jego działalność. W trakcie konferencji podsumowano działalność szkolnych kół PCK oraz wytyczono dalsze kierunki działania i rozwoju organizacji. Prezes Zarządu Rejonowego PCK w Nowym Tomyślu Jerzy Kimstacz podziękował wszystkim opiekunom za krzewienie idei wolontariatu i bezinteresownej pomocy drugiemu człowiekowi. Szczególne podziękowania za długoletnią działalność w organizacji i krzewienie idei czerwokrzyskich wśród młodzieży otrzymała Krystyna

Józefowska – emerytowana nauczycielka Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Policealnych im. Mikołaja Kopernika.



Uczestnicy konferencji opiekunów szkolnych kół PCK

### Spotkania autorskie z Adamem Seredyńskim

11 października uczniowie szkół podstawowych z Nowego Tomysła i Jastrzębska Starego spotkali się z Adamem Seredyńskim – trzynastolatkiem, mającym w swoim pisarskim dorobku już dwie wydane powieści. W trakcie spotkania, pochodzący z Długoleki, młody autor i jego tata, za pomocą komputerowej prezentacji i czytanych fragmentów książki *Przyjaciele z Breslau*, starali się wprowadzić słuchaczy w atmosferę wojennego Wrocławia i zainteresować perypetiami trójki nastoletnich bohaterów powieści, przyjaciół różnych narodowości: Polaka, Niemca i Żyda. Uczestników spotkań interesowały nie tylko szczegóły dotyczące powstania książki, samego pomysłu na nią, ale także wyników młodego autora w nauce i sposobów spędzania wolnego czasu. Niedawno ukazała się druga już powieść młodego pisarza pt. *Przyjaciele z leśniczówki*. Przykład Adama pokazuje, że swoje zainteresowania, w tym przypadku zamiłowanie do historii, z powodzeniem można rozwijać i twórczo wykorzystywać, dzieląc się nimi z innymi.

### Jan Grzegorzczak gościem nowotomyskiej książnicy

Z czytelnikami swoich książek, m.in. rozchwytywanej przez czytelników trylogii o przypadkach księdza Grosera: *Adieu, Trufle* i *Cudze pole*, spotkał się 12 października w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej twórca książek o duchowości i wierze

- Jan Grzegorzczak, nie tylko pisarz, ale również dziennikarz, autor scenariuszy filmowych i słuchowisk radiowych, współpracownik dominikańskiego pisma *W drodze*. Podczas autorskiego spotkania bardzo interesująco, z dużą dawką humoru i dystansu do samego siebie, mówił o sobie i swoim pisaniu. Czytał również fragmenty swojej książki pt. *Pieśń słoneczna Róży Błuszcz*. Zainteresowanie uczestników spotkania wzbudziły, m.in. o inspiracje do napisania zbioru opowiadań *Niebo dla akrobaty*, którego bohaterami są pacjenci hospicjum.



Gościem nowotomyskich czytelników był Jan Grzegorzczak

### **Dzień Edukacji Narodowej**

Z okazji Dnia Edukacji Narodowej w Nowotomyskim Ośrodku Kultury 14 października odbyło się spotkanie władz samorządowych z dyrektorami gminnych placówek oświatowych i wyróżnionymi nauczycielami.

Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing wraz z Przewodniczącym Rady Miejskiej w Nowym Tomyslu Piotrem Szymkowiakiem złożyli życzenia wszystkim pracownikom placówek oświatowych. Pedagodzy wyróżniający się w swojej zawodowej pracy uhonorowani zostali nagrodami. Burmistrz Nowego Tomysła przyznał Nagrody Gminy dyrektorom: Marii Wolskiej - Mleczak - dyrektorowi Szkoły Podstawowej nr 1, Władysławowi Cegleckiemu - dyrektorowi Szkoły Podstawowej w Bukowcu, Iwonie Jarzyna - dyrektorowi Przedszkola nr 1, Elżbiecie Bobrowicz - dyrektorowi Przedszkola nr 2, Annie Wojcieszak - dyrektorowi Przedszkola nr 3, Halinie Olekszy - dyrektorowi Przedszkola nr 4. W uznaniu wyróżniających osiągnięć w pracy dydaktyczno-wychowawczej i opiekuńczej, na wniosek dyrektorów szkół, Na-





Dyrektorzy placówek oświatowych uhonorowani Nagrodami Gminy

grodami Gminy uhonorowano także nauczycieli: Aleksandrę Funka - nauczycielkę języka polskiego i Mirosławę Hajt - nauczycielkę edukacji wczesnoszkolnej ze Szkoły Podstawowej nr 1; Monikę Maciołek - nauczycielkę języka polskiego, Hannę Kowalska - nauczycielkę edukacji wczesnoszkolnej, wykonującą zadania doradcy metodycznego i Mirosławę Jurga - nauczycielkę matematyki, pełniącą funkcję wicedyrektora szkoły ze Szkoły Podstawowej nr 2; Lidię Kawa - nauczycielkę historii i języka polskiego i Lucynę Kowalczyk - nauczycielkę edukacji wczesnoszkolnej ze Szkoły Podstawowej w Borui Kościelnej; Hannę Janus - nauczycielkę fizyki, Jana Klimko - nauczyciela historii i wiedzy o społeczeństwie i Wiesławę Skoczylas - nauczycielkę wychowania fizycznego, wykonującą zadania doradcy metodycznego z Gimnazjum im. Feliksa Szołdrskiego w Nowym Tomysłu.

### Święto Pieczonej Pyry

15 października Klub Osiedlowy Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Tomysłu zorganizował imprezę pod hasłem *Święto Pieczonej Pyry*. Spotkanie rozpoczęło się programem artystycznym dla dzieci zatytułowanym *Kolorowe Bajusie*, podczas którego najmłodszy mieszkańcy osiedli brali czynny udział we wspólnych zabawach, śpiewach i tańcach. Głównym punktem imprezy był koncert kapeli podwórkowej *Śmieszna z Trzemeszna*, która swoim repertuarem rozbawiła zgromadzoną publiczność. Po koncercie organizatorzy zaprosili wszystkich uczestników na degustację produktów Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej *Top-Tomyśl* oraz „gotowaną pyrę”.

### Koncert Dzieci – dzieciom z Bogatyni

18 października w Nowotomyskim Ośrodku Kultury odbył się koncert charytatywny pod nazwą *Dzieci - dzieciom z Bogatyni*. Organizatorem koncertu był Zarząd Rejonowy Polskiego Czerwonego Krzyża w Nowym Tomysłu, a patronat honorowy nad koncertem objął Burmistrz Nowego Tomysłu Henryk Helwing. Na scenie wystąpiły dzieci z nowotomyskich przedszkoli i szkół. Poprzez udział w koncercie przedszkolaki i uczniowie włączyli się w akcję niesienia pomocy ludziom poszkodowanym przez tegoroczną powódź.



Udział w koncercie był dla najmłodszych okazją do zaprezentowania artystycznych talentów

### Spotkanie z kulturą i religią Indii

19 października w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej zainaugurowano nowy cykl spotkań pod hasłem: *Zrozumieć innych, zrozumieć siebie...* To propozycja poznania różnych wyznań i religii, obecnych również w Polsce, wpisanych w historię, tradycję i szeroko pojętą kulturę różnych części świata. Pierwsze spotkanie z tego cyklu było okazją do wyprawy do Indii, na spotkanie z wyznawcami Kryszny. Gościem biblioteki był kapłan, znawca filozofii wschodniej, a także nauczyciel i wykładowca Uniwersytetu III Wieku - Dariusz Rusin (imię duchowe Divya Simha Das), którego -być może - wiele osób kojarzy z kajakarstwem. Był wielokrotnym Mistrzem Polski i Mistrzem Świata, otrzymał nominację olimpijską - Barcelona 92. Dzięki dobrym wynikom sportowym zwiedził prawie cały świat. To właśnie podróże, a szczególnie obcowanie z Bengalczycami, zainspirowały go do skłonienia się ku życiu duchowemu. Swoją opowieść o kulturze i religii Indii wzbogacił śpiewem pieśni modlitewnych w sanskrycie. Podczas prezentacji po sali unosił się zapach nie tylko orygi-



Podczas spotkania w bibliotece unosił się zapach egzotycznych potraw

nalnych, indyjskich kadzideł, ale również pysznych potraw, które przygotowywał - w części na oczach publiczności - zakonnik Janusz Jankowski (imię duchowe Jagat Siva Das). Nowotomyślanie zjadali się: papadam - smażonymi na głębokim oleju plackami z mąki groszkowej; niezwykle aromatyczną sałatką z cykorii, czatnej - rozgotowanymi gruszkami i śliwkami na słodko z ostrymi przyprawami, khir - gęstym ryżem gotowanym w mleku z bitą śmietaną i czarną porzeczką. Nie zabrakło oczywiście słynnej halawy, czyli kaszy manny prażonej na maśle z orzechami i zalewanej słodkim syropem. To bardzo interaktywne spotkanie przypadło do gustu bibliotecznym gościom. W swoich planach biblioteka ma także spotkania z buddyzmem, islamem, judaizmem i prawosławiem.

### **Bezpieczeństwo na pokazie mody**

22 października w Szkole Podstawowej w Bukowcu już po raz piąty zorganizowany został Dzień Bezpieczeństwa. By uświadomić dzieciom, jak ważna jest w ich życiu rozważa i ostrożność, do szkoły w Bukowcu przyjechali przedstawiciele policji, straży pożarnej, pogotowia, inspekcji sanitarnej i ratownictwa medycznego. Autorką projektu była nauczycielka Anna Tobys, pełniąca w szkole funkcję koordynatora do spraw bezpieczeństwa. W akcję włączyli się również wychowawcy klas od "O" do VI oraz klasy I gimnazjum.

Podczas Dnia Bezpieczeństwa dzieci prezentowały scenki tematyczne dotyczące bezpieczeństwa, odbył się też pokaz mody wybranych zawodów. Prezentacja miała na celu pokazanie, jaki strój obowiązuje pracowników wykonujących zawody





Dzieci ze Szkoły Podstawowej w Bukowcu podczas prezentacji scenki tematycznej

związane z bezpieczeństwem. Odbyły się konkurs plastyczny i konkurs wiedzy z zakresu przepisów drogowych oraz pojęć związanych z bezpieczeństwem. Na szkolnym boisku można było obejrzeć wóz strażacki OSP w Bukowcu oraz karetkę pogotowia. Dużą niespodzianką dla dzieci była wizyta Pyrka.

### **Malarstwo Barbary Nowickiej**

Amatorzy abstrakcyjnych, barwnych pejzaży mieli okazję, począwszy od 25 października, podziwiać prace Barbary Matuszewskiej-Nowickiej, które zostały wyeksponowane w sali wystawowej Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomysłu. Barbara Matuszewska-Nowicka – absolwentka Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, emerytowana nauczycielka akademicka, najchętniej wyrażająca się w oleju na płótnie, pastelach i akwareli, jest dziś mieszkanką podopalenickich Rudnik. Mówi o sobie, że jest spełnioną artystką i kobietą. Czuje się spełniona, bo cząstki jej myśli i talentu wędrują po całym świecie. Jej obrazy znajdują się w zbiorach muzeów, instytucji kulturalnych oraz zbiorach prywatnych w Polsce, byłej Jugosławii, Szwecji, Francji, Wenezueli, Hong-Kongu, Grecji, Stanów Zjednoczonych, Danii i Niemczech. Eksponowane były na wielu wystawach w Polsce i za granicą. Wystawie malarstwa Barbary Matuszewskiej-Nowickiej towarzyszyła prezentacja niezwykle pomysłowych kompozycji z dziedziny kowalstwa artystycznego, autorstwa Janusza Stariata.



Biblioteczni goście chętnie obcowali z pracami Barbary Matuszewskiej-Nowickiej

### Dzień Seniora

W Klubie Osiedlowym Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Tomysłu 26 października obchodzono Dzień Seniora. Wraz z seniorami z Nowego Tomysła w imprezie uczestniczyli zaproszeni goście z Dziennego Domu Seniora w Pniewach. Podczas uroczystości, która rozpoczęła się wspólnym wzniesieniem toastu za zdrowie wszystkich seniorów, na ręce przewodniczącej Klubu Seniora, pani Emilii Reich, wręczono kwiaty oraz listy gratulacyjne. Wspólne śpiewy i tańce trwały do późnych godzin wieczornych.

### Bo mój chłopak piłkę kopie

We wtorkowy wieczór, 26 października, w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej odbyło się spotkanie promujące książkę Marii Żmudy *Bo mój chłopak piłkę kopie*. Przywołane w książce wydarzenia, relacjonowane z perspektywy kobiety, żony sławnego niegdyś sportowca Władysława Żmudy, stanowią bardzo subiektywny obraz okresu *złotych lat* piłki nożnej, których owocem były jedyne dotychczas w dorobku polskich piłkarzy medale mistrzostw świata.

Spotkanie wraz z autorką poprowadził wydawca książki, właściciel Wydawnictwa- Drukarni *Fortes* z Wolsztyna - Artur Skorupiński, a piękną muzyką wieczór okrasili: Iwona Chołuj - aktorka znana z serialu *Na Wspólnej* oraz akompaniujący jej na pianinie Józef Wasielewski. Swoją opowieść o *złotych latach* polskiej



Artur Skorupiński - wydawca książki w rozmowie z jej autorką - Marią Żmudą

piłki Maria Żmuda wzbogaciła o anegdoty, a nowotomyskich działaczy sportowych zachęciła do udziału w quizie sportowym. Niespodzianką wieczoru był - imitujący książkę - imponujących rozmiarów tort, ufundowany przez właściciela Firmy *Redos*, a wykonany w cukierni państwa Kachlickich w Grodzisku.

### XXXIII Międzynarodowy Listopad Poetycki

Już po raz XXXIII Poznański Oddział Związku Literatów Polskich był organizatorem Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, w ramach którego 4 listopada gośćmi Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej byli uczestniczący w nim poeci: Teresa Januchta, Lech Lament oraz Władan Stamenković. Tradycyjnie już spotkali się z uczniami nowotomyskich szkół, by w jesiennej atmosferze porozmawiać o poezji i podzielić się swoją twórczością. Spotkanie Teresy Januchty z czwarto- i piątoklasykami odbyło się w bibliotecznym Oddziale dla Dzieci. Do Zespołu Szkół nr 2 im. Stanisława Staszica, na spotkanie z uczniami klas o profilu humanistycznym, udał się Lech Lament. Słuchacze Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych w Starym Tomysłu natomiast spotkali się z Władanem Stamenkovićem - serbskim publicystą i poetą, mieszkającym w Polsce

Podczas krótkiej wizyty goście zdążyli zwiedzić najciekawsze zakątki naszego miasta, a także złożyć wizytę w Urzędzie Miejskim i spotkać się z Burmistrzem Henrykiem Helwingiem.





Podczas wizyty w Urzędzie Miejskim poeci obdarowani zostali wyrobami z wikliny

### **Wytomyskie święto szarej kluski, kiszzonej kapusty, plynnda i...**

W sali wiejskiej w Wytomyślu 7 listopada obchodzono *Wytomyskie święto szarej kluski, kiszzonej kapusty, plynnda i...* Mieszkańcy Wytomyśla oraz zaproszeni goście mogli spróbować dań przygotowanych przez wytomyskie gospodynie. Wielkopolska pyra była podstawowym składnikiem przygotowanych potraw. Stąd też na stole znalazły się szare kluski, plynnda, kopytka, pyrowa babka i zupa. Nie zabrakło również domowych wypieków. Podczas występu chóru *Wytomyślanie*, działającego pod dyrekcją Karola Rogacza, mieszkańcy Wytomyśla mogli podziwiać zdolności wokalne swoich najbliższych. Artystyczne prezentacje przygotowała także grupa folklorystyczna *Wiaruchna* z Urbanowa, prowadzona przez Lidię Wachowską oraz zespół *Śpiewający Przyjaciele*, kierowany przez Karola Rogacza.

### **Pół wieku razem**

Urząd Stanu Cywilnego zorganizował w listopadzie trzy uroczystości gminne, podczas których świętowano 50. rocznicę pożycia małżeńskiego par zamieszkujących gminę Nowy Tomyśl. W dniu 8 listopada Złote Gody świętowali: Maria i Stefan Berger, Cecylia i Stefan Czubowie, Rita i Mieczysław Dziurla, Teresa i Eligiusz Kamińscy, Teresa i Jerzy Koneccy, Maria i Czesław Królczykowie, Małgorzata i Marian Laufer, Daniela i Leon Mikołajczukowie, Wanda i Zbigniew Sołowczukowie, Krystyna i Leonard Trzaskowscy. Zaproszenie na uroczystość otrzymali również państwo Zofia i Jerzy Burlagowie, jednak pani Zofia nie doczekała momentu wręczenia medalu.



Na zdjęciach od góry Jubilanci podczas uroczystości zorganizowanych w dniach 8 listopada, 16 listopada i 18 listopada

16 listopada w podobnej uroczystości uczestniczyli: Pelagia i Bogdan Bąkowie, Ewa i Marian Boguszowie, Jadwiga i Stanisław Liskowie, Kazimiera i Józef Nowakowie, Barbara i Marian Olszewscy, Teresa i Kazimierz Pigłowie, Maria i Marian Piterowie, Teresa i Franciszek Walkowiakowie, Barbara i Wiktor Warawkowie, Kazimiera i Zbigniew Zającowie, Józefa i Henryk Zalewiczowie.

18 listopada na uroczystość zaproszeni zostali: Helena i Mamert Fiedorowiczowie, Maria i Bogusław Hałowie, Teresa i Władysław Jasińscy, Krystyna i Jan Kaczmarkowie, Krystyna i Kazimierz Knopowie, Janina i Mieczysław Kowalscy, Maria i Władysław Milerowie, Czesława i Edward Mrozkowie, Krystyna i Franciszek Szedlerowie, Urszula i Marian Tratwalowie. Medalami za wieloletnie pożycie małżeńskie, przyznawanymi przez Prezydenta RP, dostojnych jubilatów udekorowali: Burmistrz Nowego Tomysła Henryk Helwing (18 listopada) i Zastępca Burmistrza Wojciech Ruta (8 i 16 listopada). Uroczystości poprowadziła kierownik Urzędu Stanu Cywilnego Beata Jakubowska. Spotkania zwieńczyło wzniesienie jubileuszowego toastu.

### Odnaczenia podczas sesji

Podczas ostatniej sesji Rady Miejskiej w Nowym Tomysłu w kadencji 2006-2010, która odbyła się 10 listopada, wręczono przyznane przez Radę Miejską odznaczenia *Zasłużony dla Gminy i Miasta Nowy Tomysł*. Odnaczenia otrzymali: Jan Bartosiewicz - współzałożyciel i aktywny członek Stowarzyszenia Plecionkarzy i Wikliniarzy Polskich, wspierający swoimi zawodowymi umiejętnościami wszystkie inicjatywy plecionkarzy; Zdzisława Kaczmarek - mieszkanka Lwówka, związana przez długie lata



Na zdjęciu od lewej: Tomasz Wleky, Henryk Helwing, Piotr Szymkowiak, Adam Frąckowiak, Jakub Rutnicki, Jan Bartosiewicz, Zdzisława Kaczmarek, Zdzisław Worsa



pracy zawodowej z Nowym Tomyślą, która poprzez swoją działalność na niwie kultury i sztuki, poprzez utwory poetyckie starała się wpisywać nasze miasto na mapę kulturalną Polski i Europy oraz Jakub Rutnicki - poseł na Sejm RP, prowadzący biuro poselskie w naszym mieście, udzielający nowotomyszanom porad i wsparcia oraz Adam Frąckowiak - od urodzenia związany z Nowym Tomyślą, współwłaściciel rodzinnej firmy *Folios*, radny Rady Miejskiej kadencji 2006-2010, osoba, która z wielkim oddaniem angażuje się w sprawy lokalnej społeczności.

### **Zagraniczna wymiana nauczycieli**

Od 10 do 12 listopada grupa nauczycieli ze Szkoły Podstawowej nr 1 im. Tadeusza Kościuszki w Nowym Tomyślą przebywała z roboczą wizytą w zaprzyjaźnionej szkole w czeskim mieście Proseč. Celem wizyty było opracowanie kolejnego projektu e-Twinningowego.

Podczas wyjazdu nauczyciele z Nowego Tomyśla mieli okazję do zwiedzenia kilku ciekawych miejsc znajdujących się w najbliższej okolicy Proseč. Nowotomyscy pedagodzy, przyglądając się prowadzonym zajęciom, zapoznali się ze specyfiką pracy w czeskich szkołach.

### **92. rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości**

11 listopada w całym kraju uroczystości obchodzono 92. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. W Nowym Tomyślą, pod Pomnikiem Powstańców Wielkopolskich, odbyła się uroczystość patriotyczna z udziałem delegacji kombatanckich, samorządowych władz powiatowych i gminnych, partii politycznych, delegacji przedszkoli i szkół oraz innych instytucji i stowarzyszeń działających na terenie gminy. W okolicznościowym przemówieniu Burmistrz Nowego Tomyśla Henryk Helwing przypomniał radosne chwile odzyskania przez Polskę niepodległości, podkreślając jednocześnie znaczenie słowa *patriotyzm*.

Wartę honorową przy pomniku zaciągnęli harcerze oraz członkowie Towarzystwa Działań Historycznych im. Feliksa Pięty z Bukowca, którzy wystąpili w historycznych mundurach. Oprawę muzyczną uroczystości zapewniła Orkiestra Dęta Nowotomyskiego Ośrodka Kultury pod batutą Karola Rogacza. Po uroczystości Wojskowy Komendant Uzuppełnień zaprosił wszystkich obecnych do odwiedzenia stoiska promującego nowy rodzaj służby, jakimi są Narodowe Siły Zbrojne.

### **Kiedy myślę - Ojczyzna...**

Do miejscowej tradycji należy organizowanie - przez uczniów ze Szkoły Podstawowej w Jastrzębsku Starym - obchodów Święto Niepodległości podczas Mszy św. w miejscowym kościele parafialnym. 11 listopada, już po raz ósmy, dzieci z klas IV-VI wystąpiły w programie artystycznym pod tytułem *Kiedy myślę - Ojczyzna...*, przygotowanym pod kierunkiem Marii Zawartej, recytując wiersze i śpiewając pieśni patriotyczno - religijne. Zgromadzeni mieszkańcy mogli przenieść się do czasów, kiedy Polacy walczyli o wolną Ojczyznę. O uczuciu tęsknoty za Ojczyzną przypomniwała Inwokacja z *Pana Tadeusza* recytowana przez uczennicę klasy piątej Alicję Miarękę.

Przed wejściem do kościoła dzieci przypinały przybyłym na Mszę św. mieszkańcom wsi zrobione przez siebie kotyliony w barwach narodowych.

### Karol Band i Przyjaciele

11 listopada w sali widowiskowej NOK-u odbyła się sceniczna prywatka, zaaranżowana przez nowotomyski big band *Karol Band*, pod dyrekcją Karola Rogacza. W tym niebanalnym koncercie z cyklu *Karol Band i Przyjaciele* wzięło udział wielu debiutantów: Marlena Pluskota, Aleksandra Czajka, Aleksandra Lusina, Barbara Krasnowska, Anita Czajka-Pawlak, Radosław Kret, Aleksander Kowalski, Amanda Dziechciarz, Wojciech Warszawski, Renata Marciniak, Anna Zalewska-Powalisz, Krzysztof Powalisz, Ewelina Kawa, Mikołaj Waśko, Małgorzata Nowak i Katarzyna Łatka. Jedyną osobą, która od wielu lat uczestniczy w imprezie była Edyta Kaczmarek-Rogacz. W rolę konferansjera wcielił się Andrzej Klimczak. Gościnnie w koncercie udział wzięli także policjanci z Komendy Powiatowej Policji w Nowym Tomyślu - Paweł Głódź oraz Adam Flenc, którzy w ramach wyreżyserowanego żartu dbali o porządek podczas imprezy na scenie.



Udane aranżacje muzyczne zapewniły dobrą zabawę widowni kolejnego koncertu z cyklu *Karol Band i Przyjaciele*

### Jesień z pyrą w Borui Kościelnej

Rada Sołecka i Wiejski Dom Kultury w Borui Kościelnej zorganizowały 14 listopada *Święto ziemniaka*. Uczestnicy imprezy m. in. degustowali potrawy z ziemniaków. Dania przygotowali mieszkanki i mieszkańiec Borui Kościelnej: Małgorzata Szłapka - gzik z pyrą oraz pierogi nadziewane grzybami z sosem czosnkowym, Bogusława Trochimowicz - zupę krem z ziemniakami, kluski ziemniaczane nadziewane serem oraz kluski ziemniaczane z mięsem i boczkiem, Jolanta Koch - ślimaczki ziemniaczane z sosem pieczarkowym i kapustą kiszoną na słodko, Anna Zb-

oralska - *szagówki* z boczkiem i kapustą z grzybami, Teresa Moćko - "dusichę z boczkiem i cebulą, Teresa Rau - roladę nadziewaną mięsem mielonym, Grzegorz Urbanowicz - zapiekankę z ziemniakami, pieczarkami i żółtym serem, Iwona Śliczner - ziemniaki z fasolą, a Łucja Binaś (sołtys Borui Kościelnej) - zapiekankę ziemniaczaną z boczkiem. Wszyscy otrzymali przydatną w gospodarstwie domowym nagrodę, natomiast uczestnicy spotkania zgromadzili przepisy kulinarne, które będą mogli wykorzystać w kuchni domowej. Imprezie towarzyszył konkurs *Mam talent*, w trakcie którego każdy mógł zademonstrować swoje umiejętności artystyczne.

### Kraina legend – ziemia sulęcińska

Majestatyczne sosnowe i bukowe lasy, morenowe wzgórza, wijąca się zakolami, urokliwa rzeka Postomia, zaciszne i pięknie wkomponowane w zieleni jeziora Buszno i Lubniewsko, pomniki sulęcińskiej przyrody. Jednym słowem ..... przepiękna ziemia sulęcińska zagościła w poniedziałkowy wieczór, 15 listopada w galerii Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej. Okazją ku temu było otwarcie wystawy fotografii Stefana Wiernowolskiego - *Kraina legend - ziemia sulęcińska*, któremu towarzyszyła promocja albumu *Miasta partnerskie - Kamen, Beeskow, Friedland, Sulęcín, Nowy Tomysl*. Tego dnia w bibliotece nie zabrakło miłośników fotografii, przyjaciół i znajomych artysty, a także przedstawiciele władz samorządowych Sulęcína z Burmistrzem Michałem Deptuchem oraz Ewą Gocel – naczelnikiem Wydziału Inwestycji UM.

Zanim wystawa trafiła do nowotomyskiej biblioteki, prezentowana była w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie Wlkp. oraz w Galerii Krajoznawczej PTTK w Warszawie. Z pewnością tą wystawą nowotomyślanie zostali zachęcani do odwiedzenia przepięknej ziemi sulęcińskiej, a że Sulęcín – to nasze miasto partnerskie – po prostu nie wypada tam nie pojechać.



Autor prezentowanych prac w gronie uczestników wernisażu



### Pasia albo życie biurowe

Aktorzy z działającej w NOK-u Amatorskiej Grupy Teatralnej ponownie stanęli na nowotomyskiej scenie. Wystawili kolejną sztukę autorstwa Renaty Śmiertelnej, tym razem pt. *Pasia albo życie biurowe*. Historia biura porad prawnych, opowiedziana przez 12 aktorów, przyciągnęła w dniach 16 i 17 listopada do Nowotomyskiego Ośrodka Kultury bardzo liczną publiczność, która żywo reagowała na sceniczną grę grupy aktorskiej. Podczas dwóch spektakli na scenie wystąpili: Beata Baran, która wcieliła się w rolę sierżanta policji Praksedy Zawady, Sylwia Kupiec jako goniec Adela Suseł, Renata Orlicka jako sekretarka Róża Kotecka, Eleonora Scieszka jako księgowa Pulcheria Łañska, Aleksandra Walczak - specjalistka od powierzchni płaskich Pelagia Pasia Wątołek, Emilia Wałęsa szefowa firmy Klementyna Musiała, Maria Wolska-Młeczak jako ekonomistka Matylda Mirska, Andrzej Bobkiewicz jako specjalista od reklamy Maurycy Ufny, Marek Binkowski jako komisarz Orest Cichy, Jarosław Młeczak jako pracownik firmy Donat *Dudek* Szuwarek, Jarosław Musiała - pracownik firmy Axel Nowik i Bogusław Nawrot jako "złota rączka" Cezary Tumidaj. W rolę denata wcielił się Patryk Śliwiński. Grupę dochodzeniową tworzyli Kuba Stachecki i Piotr Mańka. Kostiumy przygotowała Karolina Uryzaj. Scenografię wykonały Maria Gawron i Elwira Wolna.



Trwająca ponad godzinę opowieść, ukazująca życie biurowe, zawierała przeplatające się motywy romansu i zbrodni

### Nowotomska Koalicja na Rzecz Rozwoju Bibliotek na konferencji w Poznaniu

Zawiązana - w ramach Programu Rozwoju Bibliotek - w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej we wrześniu br. Gminna Koalicja na rzecz Rozwoju Bibliotek okazała się najliczniejszą w województwie wielkopolskim i jako taka - na zaproszenie

organizatorów - została zaprezentowana przez Burmistrza Nowego Tomysła Henryka Helwina i dyrektora M i PBP - Lucynę Kończal - Gnap podczas konferencji podsumowującej pierwszy rok Programu Rozwoju Bibliotek w Wielkopolsce, która odbyła się 16 listopada w Centrum Kongresowo - Dydaktycznym Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. W konferencji tej wzięli również udział członkowie koalicji: Grażyna Matuszak - regionalistka, Aleksandra Tabaczyńska - redaktor prasy katolickiej i Andrzej Wałęsa - dyrektor nowotomyskiego Gimnazjum. Konferencję zorganizowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, a obok nowotomyskiej biblioteki swoją koalicję prezentowały także: Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy w Jarocinie oraz Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy w Zagórowie.

### Grodziskie inspiracje historyczne w Bukowcu

W filii Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Bukowcu 17 listopada miało miejsce otwarcie wystawy fotografii Romana Błażejczaka i Ireneusza Biechowiaka, zatytułowanej *Grodziskie inspiracje historyczne*. Wystawa, prezentująca ujęcia z rekonstrukcji wydarzeń historycznych w wykonaniu członków Towarzystwa Działań Historycznych im. Feliksa Pięty z Bukowca, trafiła do bibliotecznej filii dzięki uprzejmości Muzeum Ziemi Grodziskiej. Z autorami prezentowanych na wystawie zdjęć spotkali się m. in. : Burmistrz Nowego Tomysła - Henryk Helwing, proboszcz bukowieckiej parafii - ks. Marek Celka, dyrektor M i PBP - Lucyna Kończal-Gnap, sołtys Bukowca - Leszek Drażkowiak, regionaliści oraz członkowie Towarzystwa Działań Historycznych im. Feliksa Pięty z prezesem Dariuszem Kaczmarkiem. Wybór miejsca tej prezentacji był nieprzypadkowy, filia biblioteczna w Bukowcu gromadzi bowiem kopie starych zdjęć, pocztówek, dokumentów życia społecznego i innych materiałów związanych z bukowiecką społecznością.



Wystawę *Grodziskie inspiracje historyczne* można było zwiedzać w filii bibliotecznej w Bukowcu

## Otwarcie ścieżki rowerowej

18 listopada w Starym Tomysłu uroczyste oddano do użytku ścieżkę rowerową, biegnącą ze Starego Tomysłu do Róży. Ścieżka ma 4,152 km długości i 2 m szerokości. Przebiega po nasypie po zlikwidowanej kolejce wąskotorowej. Wybudowanie ścieżki rowerowej było możliwe dzięki dofinansowaniu, jakie gmina Nowy Tomysł uzyskała z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego, w ramach Wielkopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2007-2013. Partnerem gminy Nowy Tomysł, przy realizacji tej inwestycji, było Starostwo Powiatowe w Nowym Tomysłu. Otwarcia ścieżki rowerowej poprzez symboliczne przecięcie wstęgi dokonali Burmistrz Nowego Tomysłu Henryk Helwing, Przewodniczący Rady Miejskiej w Nowym Tomysłu Piotr Szymkowiak oraz Starosta Nowotomyski Andrzej Wilkoński. O przebiegu inwestycji i otrzymanym na zadanie dofinansowaniu opowiedziała naczelnik Wydziału Komunalno - Inwestycyjnego, Rolnictwa i Ochrony Środowiska Adrianna Zielińska. Poświęcenia i pobłogosławienia nowej inwestycji dokonali ks. Paweł Szulcik - proboszcz parafii pw. św. Andrzeja Boboli w Sątopach oraz ks. Marek Denisiuk - wikariusz w parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Tomysłu. W tym samym dniu odbyło się także poświęcenie pamiątkowego kamienia ku pamięci mieszkańców Starego Tomysłu, którzy zginęli podczas II wojny światowej.



Wstęgę przecięli Burmistrz Nowego Tomysłu Henryk Helwing, Przewodniczący Rady Miejskiej w Nowym Tomysłu Piotr Szymkowiak oraz Starosta Nowotomyski Andrzej Wilkoński

## Wielkie Odkrywanie Wielkopolski 2010

Gmina Nowy Tomysł zajęła drugie miejsce w konkursie *Wielkie Odkrywanie Wielkopolski 2010*. Plebiscyt na najciekawsze regiony oraz atrakcje turystyczne trwał przez całe lato. W pierwszym etapie czytelnicy *Polska Głos Wielkopolski* nadsyłałi na



adres redakcji swoje propozycje kandydatur w kategoriach: miejscowość/gmina, atrakcja turystyczna, baza noclegowa, impreza/wydarzenie kulturalne. Spośród propozycji wybranych do II etapu przez Kapitułę Plebiscytu, czytelnicy wyłonili swoich faworytów, głosując poprzez wysyłanie SMS-ów lub na specjalnych kuponach.

Głosami czytelników *Polska Głos Wielkopolski* Gmina Nowy Tomyśl, w kategorii: Miejscowość/gmina, zajęła wysokie II miejsce. Ponadto w kategorii: Atrakcja turystyczna miejsce III zdobyło Muzeum Wikliniarstwa i Chmielarstwa w Nowym Tomyślu oraz w kategorii: Baza noclegowa - III miejsce zdobył Hotel *Atrium* w Nowym Tomyślu. 18 listopada w Pałacu Działyńskich w Poznaniu odbyła się uroczysta gala plebiscytu.

### **Spotkanie pracowników socjalnych**

Uroczystość z okazji Powiatowego Dnia Pracownika Socjalnego, połączona z kampanią informacyjno - promocyjną zamykającą projekt systemowy *Podniesienie kwalifikacji zawodowych osób zagrożonych wykluczeniem społecznym*, współfinansowany ze środków Unii Europejskiej, w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. Spotkanie, które odbyło się 18 listopada, rozpoczęło się prezentacją Ośrodków Pomocy Społecznej z okazji 20. rocznicy działalności jednostek.

Ważnym momentem uroczystości było wyróżnienie osób, mających najdłuższy staż pracy w danej jednostce. Dyplomy otrzymały: Dorota Szuwalska - Kasprzak, Bernardyna Bączyk, Elżbieta Kęsy, Lucyna Przybylska, Małgorzata Szwarga (OPS w Opalenicy); Danuta Michałowicz, Joanna Krasnowska, Zofia Głodek, Małgorzata Pyrska, Grażyna Miler, Lidia Lotka, Aldona Adamczyk-Kamiński, Mariola Silska, Violetta Dura, Hanna Kasperek (OPS w Nowym Tomyślu); Maria Wittke i Łucja Przybyła (OPS w Zbąszyniu); Beata Kowala (OPS w Kuślinie) oraz Dorota Wachowska (OPS we Lwówku). Wyróżniono także osoby, które poprzez swoją pracę i nieskazitelną charakter, zasłużyły na miano osób godnych nagrodzenia: Marlenę Fligier i Patrycję Migdałek (OPS w Miedzichowie); Agnieszkę Litwińską (Warsztaty Terapii Zajęciowej w Zbąszyniu); Wioletę Pilarczyk i Edytę Węgrzyn (Warsztaty Terapii Zajęciowej w Koninie); Michalinę Kałuską i Annę Sarnowską (Środowiskowy Dom Samopomocy w Nowym Tomyślu); Łucję Szmer (Środowiskowy Dom Samopomocy w Opalenicy); Ewę Wawrzyniak i Łukasza Nyczkowskiego (Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Nowym Tomyślu). Życzenia pracownikom socjalnym z placówek zlokalizowanych na terenie powiatu nowotomyskiego złożyli wójtowie i burmistrzowie gmin. Uroczystość zakończyła się częścią artystyczną w wykonaniu Eweliny Kawa oraz Mikołaja Waśko.

### **Barwna podróż do Afganistanu**

Listopadowy gość Klubu Miłośników Podróży *Przez kontynenty*, działającego w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej - Bartek Tofel - 18 listopada zabrał klubowiczów w barwną podróż do Afganistanu. Główną oś pokazu stanowiły dwie jego wyprawy do północno-wschodniej części Afganistanu, nazywanej Korytarzem Wachańskim. Korytarz Wachański to nieprzyjazny człowiekowi rejon, w którym mimo długich zim, braku dostępu do wydawałoby się podstawowych osiągnąć cy-

wilizacji, i wysokich gór (przekraczających 7000 metrów wysokości nad poziomem morza) w zgodzie żyją dwie grupy etniczne - Kirgizi i Wachowie. Ich życie stanowi ciekawe połączenie tradycyjnego nomadyzmu i nowoczesności, dające pewien wgląd w to, jak na znacznych obszarach Azji Centralnej musiały wyglądać czasy poprzedzające rosyjską kolonizację. Autor multimedialnej prezentacji, dzięki żywej tradycji gościnności, był w stanie podróżować lokalnymi szlakami i podglądać życie Wachów i Kirgizów. Podstawowa znajomości dari (dialektu języka perskiego używanego w Afganistanie) pozwoliła mu na nawiązywanie głębszych kontaktów.

### Gwiazda Iraku

19 listopada w Urzędzie Miejskim odbyło się spotkanie, podczas którego Komendant Wojskowej Komendy Uzuppełnień w Nowym Tomyślu ppłk Czesław Bogucki oraz Burmistrz Nowego Tomyśla Henryk Helwing wręczyli odznaczenie wojskowe *Gwiazdę Iraku*. Na podstawie decyzji Ministerstwa Obrony Narodowej, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej *Gwiazdą Iraku* uhonorował st. chor. Pawła Nowaka z Glinna. Od 1 lipca 2004 r. do 8 lutego 2005 r. odznaczony pełnił służbę w Polskim Kontyngencie Wojskowym w Składzie Międzynarodowych Sił Stabilizacyjnych w Republice Iraku. *Gwiazda Iraku* jest nagrodą przyznawaną za nienaganą służbę w polskich kontyngentach wojskowych poza granicami państwa. Jest to odznaczenie pamiątkowe, które nadawane jest w Polsce w czasie pokoju.



Na zdjęciu od lewej: Burmistrz Henryk Helwing, st. chor. Paweł Nowak, Komendant WKU ppłk Czesław Bogucki

## Magia przedmiotu w twórczości Sebastiana Winklera

*Galeria na Płocie*, działająca w Oddziale dla Dzieci Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej, zaprezentowała twórczość młodego, uzdolnionego artysty - Sebastiana Winklera, którego sylwetkę twórczą prezentowaliśmy na łamach PRZEGLĄDU NOWOTOMYSKIEGO (nr 1/2007). Na wystawę złożyło się jego malarstwo oraz szkice powstałe w ciągu ostatnich dwóch lat. Obok anatomicznych motywów pojawiających się w rysunkach Sebastiana, to właśnie przedmioty, ujęte w niezwykle, wyrafinowany sposób są tematem większości prezentowanych prac. Na wernisaż, który odbył się 19 listopada, przybyło liczne grono przyjaciół i znajomych Sebastiana, jego rodzina, nauczyciele oraz dyrekcja nowotomyskiego gimnazjum, do którego niegdyś uczęszczał. Już wtedy dał się poznać od swojej artystycznej strony. Trzykrotnie prezentował swoją twórczość w gimnazjalnej *Galerii Bez Ścian*. Talentem ujął zarówno rówieśników, jak i nauczycieli, którzy po dziś dzień kibicują mu w realizowaniu pasji. Aktualnie, Sebastian jest uczniem drugiej klasy Liceum Plastycznego im. Piotra Potworowskiego w Poznaniu. W dalszym ciągu sukcesywnie rozwija swoje artystyczne umiejętności, zdobywając przy tym - za swoje osiągnięcia - stypendium. Po oficjalnym przywitaniu, goście chętnie zabierali głos, by wyrazić swoje uznanie nie tylko dla talentu, ale także skromnej osobowości młodego artysty. Spotkanie z twórczością Sebastiana, było jednocześnie okazją do zauważenia kolejnych talentów, drzemiących w gimnazjalnej młodzieży, tym razem muzycznych. Piękny głos Marty Zaremby zabrzmiał podczas solowego występu otwierającego wystawę, a jej zwiedzanie umilały także dźwięki saksofonu, na którym zagrał Przemysław Foks.



Sebastian Winkler w otoczeniu gości wernisażu



### Chóry na gościnnym występie

19 listopada w Nowotomyskim Ośrodku Kultury gościły dwa chóry chłopięce *Ažuoliukas* z Litwy oraz *Pirkanpojat* z Tampere z Finlandii. Koncert odbył się w ramach IX Międzynarodowego Festiwalu Chórów Chłopięcych, który zorganizowany został w Poznaniu. Jako pierwszy przed nowotomyślanami zaprezentował się chór z Litwy, po nim na scenie gościli młodzi Finowie. Pierwszy chór urzekł publiczność pięknymi równymi strojami i śpiewem. Koncert drugiego chóru zachwycał ekspresją i różnorodnością.



Chór chłopięcy z Litwy

### Wybory samorządowe

21 listopada w całej Polsce odbyły się wybory samorządowe, podczas których mieszkańcy miast i wsi wybierali radnych, wójtów, burmistrzów i prezydentów.

W wyniku wyborów na radnych Rady Miejskiej w Nowym Tomyślu w kadencji 2010-2014 wybrani zostali: Mariusz Brych, Przemysław Brych, Leszek Drażkowiak, Łukasz Frański, Adam Frąckowiak, Barbara Jandy, Mateusz Jandy, Michał Kasper, Jan Klimko, Tomasz Kuczyński, Bogusław Nawrot, Adam Polański, Janusz Raj, Stanisław Rybarczyk, Jan Skrzypczak, Mieczysław Szczechowiak, Piotr Szymkowiak, Wojciech Śliczner, Grażyna Targiel, Krystyna Wilkoszarska, Tomasz Wlekły. Podczas inauguracyjnej Sesji Rady Miejskiej VI kadencji, która odbyła się 2 grudnia, w wyniku tajnego głosowania na przewodniczącego Rady Miejskiej radni wybrali Tomasza Wlekłego, natomiast funkcje wiceprzewodniczących powierzono: Krystynie Wilkoszarskiej i Leszkowi Drażkowiakowi.



Rada Miejska VI kadencji; (siedzą od lewej): Jan Skrzypczak, Adam Frąckowiak, Mariusz Brych, Stanisław Rybarczyk, Krystyna Wilkoszarska - wiceprzewodnicząca, Janusz Raj, Bogusław Nawrot, Jan Klimko; (stoją, I rząd od lewej:) Tomasz Wleki - przewodniczący Rady Miejskiej, Tomasz Kuczyński, Przemysław Brych, Michał Kasper, Łukasz Frański, Adam Polański, Barbara Jandy, Mieczysław Szczechowiak, Grażyna Targiel, Leszek Drązkowiak - wiceprzewodniczący; (stoją, II rząd od lewej:) Piotr Szymkowiak, Mateusz Jandy, Henryk Helwing - Burmistrz Nowego Tomysła, Wojciech Ruta - zastępca Burmistrza, Wojciech Śliczner

Burmistrz Nowego Tomysła wybrany został podczas II tury wyborów samorządowych, która odbyła się 5 grudnia. Na kolejną - piątą kadencję - na burmistrza Nowego Tomysła wybrany został Henryk Helwing.

### **Dopalaczom mówimy: Stop!**

22 listopada w Gimnazjalnym Centrum Informacji przy Gimnazjum im. Feliksa Szołdrskiego w Nowym Tomysłu, w ramach akcji „Młodzież wolna od uzależnień” odbyło się podsumowanie konkursu plastycznego na plakat pt. “Dopalaczom mówimy: Stop!”. Komisja w składzie: Ewa Maria Piątas, Milena Leszczyńska, Iwona Olichwier, Małgorzata Paszke spośród licznych prac przyznała następujące nagrody i wyróżnienia: 1 miejsce: Aneta Szarawaga, Karolina Błaszczyk, Aleksandra Siepak, 2 miejsce: Adrianna Zwierzchlewska, Anna Bąbelek, 3 miejsce: Patrycja Karbowska, Szymon Kierbedź, Mikołaj Roesler. I wyróżnienie: Marika Krysmann, Claudia Szymanowski, Edyta Kantanista, Gabriela Krzanowska. II wyróżnienie: Wojciech Trębacz, Maciej Czapracki, Norbert Zwierzyński, Klaudia Fertig, Filip Burlaga. Nagrodzone prace zaprezentowane zostały na wystawie szkolnej w holu gimnazjum.

### **W świecie przygód Krzysztofa Petka**

Listopadowe autorskie spotkanie z cyklu *Pisarz nas gości w świecie swojej twórczości*, odbyło się 22 listopada w Oddziale dla Dzieci Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Pub-

licznej w Nowym Tomysłu. Gościem nowotomyskiej młodzieży był Krzysztof Petek - autor wielu powieści przygodowych. Poza pisarstwem zajmuje się również podróżowaniem w odległe zakątki świata, organizowaniem wyjazdów survivalowych i szkół przetrwania, na które chętnie zabiera młodych ludzi chcących przeżyć niezapomniane przygody. Wrażeniami, barwnymi zdjęciami i ciekawymi historiami z niniejszych wypraw podzielił się z gimnazjalistami. Na kartach jego książek pojawiają się wątki oparte na przygodach, w jakich sam uczestniczył, bohaterowie, których pierwowzorem są ludzie poznani osobiście i przeżycia, jakich sam doświadczył. Przykładem może być seria zatytułowana *Operacja Hydra*, w której każda z książek opowiada o nastoletnich agentach działających na rzecz policji w strukturach grup niebezpiecznych dla młodzieży. Autor opowiadał, że w przeszłości został zaangażowany w przeprowadzenie szkolenia z grupą młodych ludzi, przewidzianych do tego typu zadań specjalnych i na tej podstawie, w uznaniu dla ich godnych podziwu postaw, stworzył serię swoich powieści. Uczniowie z dużym zainteresowaniem słuchali Krzysztofa Petka. Zadawali pytania dotyczące szkół przetrwania i zasad panujących podczas takich wyjazdów. Pisarz poruszył wiele interesujących młodzież tematów. Wyjaśnił różnicę między amatorem a profesjonalistą, podkreślił, jak ważna jest technika w pisaniu, ale również ta w samoobronie. Ostatnią z nich nawet zaprezentował. Gimnazjaliści wyszli ze spotkania usatysfakcjonowani czasem spędzonym w bibliotece.



Krzysztof Petek podczas spotkania z nowotomyskimi gimnazjalistami

### **Na Kongresie Bibliotek Publicznych w Warszawie**

W dniach 22 i 23 listopada ponad 500 osób z całego kraju, w tym również reprezentantki nowotomyskiej ksiąźnicy, uczestniczyło w dwudniowym kongresie biblio-



tek publicznych *Biblioteka. Lubię to*, który odbył się w warszawskiej Fabryce Trzciny. W programie, zorganizowanego przez Fundację Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, kongresu znalazły się m. in. warsztaty poświęcone nowoczesnym technologiom w bibliotekach. Bibliotekarze dowiedzieli się, jak budować - przyjazne i atrakcyjne dla użytkowników - strony internetowe bibliotek, jak digitalizować zbiory i w ten sposób promować zasoby bibliotek, lokalną kulturę i tradycję. Podczas kongresu bibliotekarze dowiedzieli się także, jak przyciągać do swoich placówek nowych użytkowników. W założenie Programu Rozwoju Bibliotek wpisane jest przeświadczenie, że biblioteki powinny stać się lokalnymi ośrodkami życia kulturalnego i integrować społeczność. W lokalnych bibliotekach powinna toczyć się walka z wykluczeniem cyfrowym osób starszych, a bibliotekarz powinien umieć pomóc m. in. zapoznać się z internetem. Bibliotekarze biorą udział w szeregu szkoleń specjalistycznych, które są wybierane przez pracowników biblioteki zgodnie z potrzebami społeczności lokalnych. Podczas trzydniowych szkoleń omawiane są nowe lub rozszerzone usługi oferowane mieszkańcom przez bibliotekę, narzędzia, oprogramowanie i przykłady dobrych praktyk. m. in. z promocji kultury, miejsca dla młodych, wiedzy na wyciągnięcie ręki, multimediiów i nowoczesnej komunikacji, miejsca bez barier - usług dla seniorów i osób niepełnosprawnych, przestrzeni dla mieszkańców z inicjatywą, e-administracji i informacji lokalnych. Nowotomska księżnica ma ambicję stać się dla mieszkańców atrakcyjnym i przyjaznym miejscem wspólnego działania.



Reprezentantki MiBPB w Nowym Tomysłu na Kongresie Bibliotek Publicznych w Warszawie

## Świetlica jak nowa

25 listopada w Przyłęku otwarto zmodernizowaną świetlicę wiejską. Zaproszonych na tę uroczystość gości powitał sołtys Bogusław Nawrot. Nowy obiekt poświęcił ks. Marek Denisiuk z parafii pw. NSPJ. Zmodernizowana świetlica została poddana gruntownemu remontowi. Prace objęły m. in.: wymianę podłogi, instalacji elektrycznej, zamontowanie nowych okien i drzwi, zdemonstowanie starego pieca kaflowego i w jego miejsce zainstalowanie kominka z wkładem kominkowym. Wyposażono również wnętrze świetlicy. Chcąc podziękować wszystkim, którzy wnieśli wkład w budowę świetlicy, sołtys wsi Bogusław Nawrot, wraz z przewodniczącym Rady Sołeckiej Stanisławem Flakiem, wręczyli specjalne podziękowania. Wyróżnione zostały osoby fizyczne, firmy i instytucje. Oprawę artystyczną uroczystości zapewnił zespół *Singer Friends*. Zmodernizowana świetlica, wraz z sąsiadującym niedaleko wigwamem i placem zabaw dla dzieci, stanowić będzie ośrodek życia kulturalnego mieszkańców wsi.



Sołtys Przyłęku - Bogusław Nawrot - wraz z przewodniczącym Rady Sołeckiej Stanisławem Flakiem wręczyli podziękowania osobom zaangażowanym w remont świetlicy

## Nagrodzony nowotomyski projekt

W sali konferencyjnej Polskiej Akademii Nauk w Poznaniu odbyła się, 25 listopada, uroczystość podsumowania konkursu *Działania proekologiczne i prokulturowe w ramach strategii rozwoju obszarów wiejskich*. W edycji konkursu z 2010 roku nagrodzonych zostało 16 projektów, a wśród nich ekologiczno - promocyjna akcja *Zamięń foliówkę na wiklinówkę*. Zarząd Województwa Wielkopolskiego uhonorował nowotomyski projekt nagrodą finansową w wysokości 15.000,00 zł, w formie dotacji ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Poznaniu.

### W szeleście spadających liści...

Prawdziwie jesienne, niezwykle romantyczne listopadowe spotkanie zaproponowała 25 listopada swym gościom, w ramach *Czwartkowych wieczorów literacko-muzycznych*, Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomyszu. Sala widowiskowa do ostatniego miejsca wypełniła się miłośnikami poezji, która wpleciona została w oryginalne muzyczne aranżacje. W koncercie wystąpił zespół *Good Staff* w składzie: Michalina Brudnowska /śpiew/, Wojciech Winiarski /gitara klasyczna, lutnia/, Jacek Skowroński /instrumenty klawiszowe/, Robert Rekiel /instrumenty perkusyjne/ i Paweł Głowacki /kontrabas, mandolina/. Michalina Brudnowska zachwyciła swym ciepłym, nietuzinkowym timbrem głosu.



W szeleście spadających liści - jesienne piosenki w wykonaniu zespołu *Good Staff*

### Spotkanie o Zmierzchu

W zimowy, bardzo mroźny i śnieżny wieczór – 1 grudnia - miłośnicy czterotomowej sagi *Zmierzch* Stephenie Meyer spotkali się w Oddziale dla Dzieci Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyszu, by wspólnie, o zmierzchu przenieść się w tajemniczy świat wampirów i wilkołaków. W udanie się w tę podróż pomogli specjalnie zaproszeni na ten wieczór goście: Anna Filipowska- prowadząca gabinet kosmetyczny oraz fryzjerzy z salonu Sebastiana Paluszaka. Wszystkich przybyłych na spotkanie gimnazjalistów biblioteczni goście przemienili w pełne wdzięku, ale i grozy zarazem - wampiry. Następnie, w mrocznej scenerii, do której dekoracje, już tydzień wcześniej, pod okiem plastyczki Aleksandry Kaszczyńskiej, wykonali uczniowie gimnazjum, rozpoczęła się drużynowa rywalizacja. Okazało się, że treść powieści, nie kryła przed jej miłośnikami żadnych tajemnic. Uczestnicy





Uczestnicy spotkania w świecie wampirów i wilkołaków

spotkania bezbłędnie odpowiedzieli na niemal wszystkie pytania dotyczące bohaterów sagi i wszelkich szczegółów z nią związanych. Wszyscy uczestnicy zabawy otrzymali nagrody i zadeklarowali, że z chęcią wezmą udział w kolejnych, planowanych już przez bibliotekarki z Oddziału dla Dzieci wieczornych spotkaniach poświęconych młodzieżowej literaturze.

### **To, co lubi – Stanisław Kasprzyk**

1 grudnia sala wystawowa Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomysłu gościła kameralne grono admiratorów sztuki oraz przyjaciół Stanisława Kasprzyka - urodzonego we Lwowie, a mieszkającego w Krakowie, artysty obdarzonego wieloma pasjami. Niezwykle barwną wystawę jego fotografii i malarstwa można było oglądać przez cały grudzień. Obciążony rodzinnie artystycznymi talentami, sam jest artystą uniwersalnym: maluje, śpiewa, tworzy kompozycje do własnych tekstów, pisze wiersze, rysuje, wykonuje grafiki, ilustruje książki i tomy poezji, fotografuje i filozofuje, tłumaczy z rosyjskiego literaturę z zakresu kulisów malarstwa, czyta w oryginale rosyjskich klasyków, kocha czytać kryminały - również w języku rosyjskim. Udziela się od 1989 roku w życiu plenerowym, przyciąga gitarą i swoim balladowym śpiewem oraz spokojną refleksją o życiu. Próbkę jego muzycznego talentu mogli oklaskiwać uczestnicy wernisażu, podczas którego odśpiewał przy akompaniamencie gitary 3 utwory, w tym jeden kompozycji własnej



W grudniu biblioteczną galerię zdobiły fotografie i obrazy Stanisława Kasprzyka

### **Przenieść Wilno do serca**

2 grudnia gościem grudniowego spotkania w Klubie Miłośników Podróży *Przez kontynenty*, działającym w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym To-



Kulturę Wilenszczyzny przybliżył nowotomyslanom Romuald Mieczkowski

myślu był Romuald Mieczkowski – poeta, prozaik, dziennikarz, felietonista, wydawca i animator kultury polskiej w Wilnie. 3 grudnia spotkał się on również z uczniami Zespołu Szkół nr 2 im. St. Staszica w Nowym Tomyślu. Oba spotkania były okazją do tego, by poszukać w kresowym Wilnie polskich ścieżek, posłuchać fragmentów powstałych tam polskich utworów i obejrzeć materialne świadectwa jego polskości.

### 35. lecie Państwowej Szkoły Muzycznej

W dniach 2 i 3 grudnia Państwowa Szkoła Muzyczna I st. im. Witolda Lutosławskiego w Nowym Tomyślu obchodziła uroczyste jubileusz 35. lecia.

Uroczystości jubileuszowe zainaugurowano 2 grudnia Mszą św., połączoną z koncertem w wykonaniu uczniów, absolwentów oraz pedagogów, w kościele pw Najświętszego Serca Pana Jezusa. Uświetnili ją swoimi prezentacjami nauczyciele: Łukasz Nazarczuk i Sławomir Framski oraz gościnnie - śpiewem i grą na organach - Zdzisław Barski, wieloletni b. dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej w Nowym Tomyślu. Koncert Jubileuszowy odbył się 3 grudnia w sali widowiskowej Nowotomyskiego Ośrodka Kultury. Przygotowała go i poprowadziła Aleksandra Walczak. Wystąpili: chór, orkiestra kameralna pod dyr. Hanny Malickiej, orkiestra dęta pod dyr. Rafała Kubale, kwartet klarnetowy w składzie: Patryk Kawa, Sylwester Szade, Miłosz Wojcieszak i Mateusz Zimny, duet klarnetowy: Sylwester Szade i Miłosz Wojcieszak oraz soliści: Maria Geisler i Zuzanna Cywińska. Zaprezentowały się także zespoły muzyczne, powołane do istnienia dla uczczenia święta szkoły. W tej części swoimi interpretacjami utworów muzycznych zachwycili: Małgorzata Ostapowicz z synami, Piotrem i Jakubem oraz Szymon Kozłowski, Łukasz Matuszewski,



Dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej, Krystyna Szymko, odbierała życzenia i gratulacje od uczniów, absolwentów i uczestników uroczystości



Bartosz Kucz i Maciej Burzyński. Wysłuchano także muzycznych prezentacji absolwentów: Martyny Jankowskiej – wiolonczela, Martyny Nieścierowicz i Wojciecha Zwanziga – fortepian. Solistom oraz zespołom akompaniowała nauczycielka, Aleksandra Zduńczyk.

35.letnią historię powstania Państwowej Szkoły Muzycznej w Nowym Tomysłu oraz jej rozwój przygotowały i zaprezentowały zebrany Anita Czajka - Pawlak, Joanna Zarabska i Aleksandra Walczak. Z okazji Jubileuszu 35. lecia szkoły, starszy wizytator szkolnictwa artystycznego Centrum Edukacji Artystycznej Regionu Wielkopolskiego, Małgorzata Bednarek wręczyła nagrody Dyrektora Centrum Edukacji Artystycznej za szczególny wkład w rozwój edukacji artystycznej w Polsce nauczycielkom: Aleksandrze Walczak – nagrodę I stopnia, Annie Antuszewskiej, Jolancie Geisler, Małgorzacie Ostapkowicz i Krystynie Szymko – nagrody II stopnia. Dyrektor szkoły złożyła władzom samorządowym powiatu i gminy podziękowania za owocną współpracę w zakresie promocji szkoły w środowisku lokalnym, w regionie wielkopolskim, w kraju, a także poza jego granicami, za wspieranie ważnych projektów realizowanych przez szkołę oraz wsparcie szkoły w jej staraniach o poprawę warunków lokalowych.

### **Bożonarodzeniowa zbiórka żywności**

Od kilku lat Ośrodek Pomocy Społecznej w Nowym Tomysłu organizuje świąteczną zbiórkę żywności, której patronuje Wielkopolski Bank Żywności. W tegoroczną bożonarodzeniową zbiórkę żywności bardzo aktywnie zaangażowali się wolontariusze – uczniowie Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Policealnych im. Mikołaja Kopernika w Nowym Tomysłu. Trzydniowa zbiórka, w dniach od 3 do 5 grudnia, przyczyniła się do zebrania 921,5 kg oraz 161 litrów produktów żywnościowych. Wszystkie zebrane dary zostały przekazane za pośrednictwem Ośrodka Pomocy Społecznej w Nowym Tomysłu najuboższym mieszkańcom gminy Nowy Tomysł.

### **Motomikołaje 2010**

5 grudnia w Nowym Tomysłu odbyła się 3. edycja ogólnopolskiej akcji Motomikołaje. Ze względów na panującą tego dnia aurę parada motocykli została odwołana, jednak kilku motocyklistów przyjechało na motocyklach. Impreza odbyła się przy muszli koncertowej. Na scenie zaśpiewały Joasia Ginter wraz z Martyną i Jowitą. Dodatkową atrakcją *Motomikołajów* był pokaz rzeźbienia piłą motorową w drewnie oraz pokaz sprzętu ratowniczego i prezentacja wozu ratownictwa drogowego straży pożarnej. Przed koncertem zespołu *Jack D.Society*, odbyło się losowanie nagród i upominków ufundowanych przez sponsorów. Na zakończenie imprezy wystąpił zespół *Jack D.Society*. Podczas imprezy odbyła się zbiórka pieniędzy, które przeznaczone zostały na zakup ciepłych posiłków dla dzieci z ubogich rodzin. Zbiórką pieniędzy zajął się Zarząd Rejonowy PCK oraz wolontariuszki.



Motory i Mikołaje były najważniejszymi rekwizytami tej imprezy

### Wystawa świątecznych stołów

Pracownia plastyczna Nowotomyskiego Ośrodka Kultury po raz 19. zorganizowała wystawę z cyklu *Zaproszenie do stołu*, której motywem przewodnim było hasło *Gwiazdkowe nastroje*. Aranżacje stołów przygotowały plastyczki NOK-u Maria Gawron i Elwira Wolna. Propozycje dekoracji świątecznych stołów zachwycały pomysłowością i swoistym pięknem. Były też inspiracją do samodzielnego wykonania podobnych dekoracji we własnym domu. Otwarcia wystawy, które miało miejsce 6 grudnia, towarzyszył koncert *Najpiękniejszych polskich kołęd na niebieskiej barfie* w wykonaniu Anny Faber Trio. Wystawa była czynna do 15 grudnia.

### Integracyjne spotkanie z Mikołajem

Ośrodek Pomocy Społecznej oraz Nowotomyski Ośrodek Kultury, przy współpracy pełnomocnika burmistrza ds. uzależnień i Zarządu Rejonowego PCK, zorganizował 7 grudnia spotkanie integracyjne, połączone z przywitaniem Świętego Mikołaja. W oczekiwaniu na jego przybycie, Zespół Dada Art z Poznania zaprosił dzieci do wspólnej zabawy pt. *Tropem świętego Mikołaja*. W czasie trwania imprezy dzieci własnoręcznie malowały gipsowe aniołki i tworzyły z kolorowych balonów zwierzęta. Największą radość jednak sprawiły prezenty, którymi Święty Mikołaj obdarował wszystkie dzieci.

### W poszukiwaniu Świętego Mikołaja

8 grudnia w sali Klubu Osiedlowego Spółdzielni Mieszkaniowej odbył się spektakl dla dzieci pt. „W poszukiwaniu Świętego Mikołaja”, w wykonaniu „Dobrego Teatru” z Poznania. Przedstawienie odbyło się w ramach Mikołajkowych spotkań dla dzieci



Dzieci z radością pozowały do wspólnego zdjęcia ze Świętym Mikołajem

i wprowadziło widzów w świąteczną atmosferę. Aktorzy zaprosili wszystkie dzieci do czynnego udziału w spektaklu, podczas którego tańczono oraz śpiewano znane kolędy.

### Oto narodził się człowiek...

W koncercie kolęd i pastorałek, w oryginalnych aranżacjach, wystąpił 10 grudnia w nowotomyskiej bibliotece publicznej, zespół *In Hope* z Grodziska. Obok tradycyjnych kolęd: *W żłobie leży*, *Cicha noc*, *Gdy śliczna panna*, *Gdy się Chrystus rodzi*, *Oj maluski*, publiczność oklaskiwała również piękne, autorskie utwory: *Oto narodził się*, *Kołysanka* i *Glorii*. *In Hope* z angielskiego tłumaczy się – *Z nadzieją*. Zespół nieprzypadkowo nosi tę nazwę. Tryskając niebywale pozytywną energią, wniósł w mury biblioteki ogromne pokłady nie tylko nadziei, ale również dobra i radości, które emanowały na wszystkich gości wieczoru. Połączenie tradycji z ostrzejszym gitarowym brzmieniem, do tego dźwięki bębnow i wyraziste głosy wokalistek, z całą pewnością na długo pozostaną w pamięci naszych bibliotecznych gości, którzy okazali się bardzo otwarci na nowatorskie muzyczne rozwiązania. W bajeczny klimat świąt wprowadzili: Agnieszka Kaczmarek /śpiew/, Marta Kaczmarek /śpiew/, Mateusz Kaczmarek /bongosy, jamba/, Wojtek Kąski /gitara basowa/ i Wojtek Tomczak /gitara klasyczna i elektryczna/. a koniec nie zabrakło oczywiście życzeń oraz klimatycznego poczęstunku – zaczarowanej herbatki z imbirem oraz piernikowego variete. Koncertowi towarzyszył kiermasz gustownych stroików świątecznych autorstwa Bernadety Loby z Lwówka.



## Pastorałka Nowotomska

Tradycyjnie w niedzielę poprzedzającą święta Bożego Narodzenia (w tym roku 19 grudnia) pod muszlą koncertową zebrało się wielu nowotomyślan, aby uczestniczyć w Pastorałce Nowotomyskiej - misterium wprowadzającym w niezwykłą atmosferę świąt Bożego Narodzenia. W wydarzeniu tym uczestniczyły dzieci, młodzież, muzycy, władze miasta, kupcy i rolnicy, którzy wcielili się w różne pastorałkowe postacie. W przedstawieniu udział wzięło około 50 osób.

Aktorzy śpiewali też - wspólnie z zebranymi mieszkańcami - kolędy oraz przełamali się opłatkiem. Prószyący lekko śnieg stworzył magiczny klimat. Nowotomska pastorałka, jak co roku, wyreżyserowana została przez Renatę Śmiertelną.



Tradycyjnym miejscem wystawiania Pastorałki Nowotomyskiej jest muszla koncertowa

## 92. rocznica wybuchu Powstania Wielkopolskiego

27 grudnia na Placu Niepodległości odbyła się uroczystość patriotyczna poświęcona 92. rocznicy zwycięskiego zrywu powstańczego Wielkopolan. Liczne delegacje złożyły pod pomnikiem Powstańców Wielkopolskich wiązanki kwiatów, oddając tym samym hołd wszystkim znanym i bezimiennym bohaterom ziemi wielkopolskiej.

W okolicznościowym przemówieniu Burmistrz Henryk Helwing podkreślił, iż powstańcom pomogła w zwycięstwie m. in. niezłomna wola i upór w dążeniu do odzyskania niepodległości i udowodnienia światu, że miejsce Wielkopolski, kolebki państwa polskiego, jest w granicach Rzeczypospolitej.



Oprawę uroczystości zapewnili członkowie Towarzystwa Działań Historycznych z Bukowca, którego patronem jest Feliks Pięta - powstaniec wywodzący się z ziemi nowotomyskiej

Tekst: Marzena Kortus, Izabela Putz

Zdjęcia: Archiwum Urzędu Miejskiego w Nowym Tomysłu, Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomysłu, Nowotomyskiego Ośrodka Kultury



**Kuba Czekala** – absolwent Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych na wydziale dziennikarstwo i komunikacja społeczna. Dziennikarz *Głosu Wielkopolskiego*. Zainteresowania: motoryzacja, sport, turystyka, media.



**Lucyna Kończal-Gnap** – polonistka i bibliotekarz, absolwentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, nauczycielka z wieloletnim stażem, obecnie dyrektor Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyszu, wiceprezes Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego, animatorka wielu wydarzeń kulturalnych, działań edukacyjnych i wydawniczych. Zainteresowania: literatura piękna, poezja śpiewana, film, turystyka i edukacja regionalna.



**Marzena Kortus** – zastępca naczelnika Wydziału Rozwoju i Promocji Urzędu Miejskiego w Nowym Tomyszu. Zainteresowania: literatura, fotografia i kulinaria. Publikowała w prasie codziennej i periodykach: *Kronika Wielkopolski* i *Przegląd Wielkopolski*.



**Sylwia Kupiec** – kulturoznawca, pracownik Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyszu. Zainteresowania: socjologia kultury, współczesne zjawiska społeczno – kulturowe, media tradycyjne i elektroniczne, najnowsza historia Polski, muzyka, film.



**Grażyna Matuszak** – absolwentka Studium Technik Teatralno - Filmowych w Łodzi, prywatny przedsiębiorca. Interesuje się historią naszego regionu. Miłośniczka etnografii, folkloru i kultury ludowej. Swe pasje rozwija między innymi tkając na krosnach ręcznych wg starych, już prawie zapomnianych technik, których uczyła się na Podlasiu.



**Izabela Putz** – romanistka, pracownik Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyszu. Dziennikarka tygodnika *Nasz Dzień po Dniu*. Zainteresowania: psychologia społeczna, realia społeczno-polityczne, kultura Białorusi i Ukrainy, a także muzyka i literatura francuska.



**Teresa Tomsia** – poetka, eseistka, animatorka kultury; autorka książek poetyckich: *Wieczna rzeka – Der ewige Fluss* (1996), *Przed pamięcią* (2000), *Skazona biel* (2004), *Wątpiąc, idę* (2005) oraz prozy dokumentalizowanej *Dom utracony, dom ocalony* (2009). Publikowała w *Toposie*, paryskiej *Kulturze*, *Tyglu Kultury*, *Przeglądzie Powszechnym* i in. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich; współpracuje jako scenarzystka i juror konkursów literackich z WBPiCAK (ostatnio przeprowadziła na zaproszenie szkół i bibliotek cykl spotkań *Pamięć ocala*. Mieszka w Poznaniu (strona autorki: [www.teresatomsia.pl](http://www.teresatomsia.pl))





ISSN 1899-1017